

TELEMACH

OGÓLNA TEORIA WSZYSTKIEGO

PYTANIA DO ZNANYCH ODPOWIEDZI...

LIPIEC 2008- MARZEC 2010

O co tutaj chodzi

Pojawiające się na tym blogu od czasu do czasu teksty, nie mają ambicji pouczenia, kształcenia ani nawet przekonywania ewentualnych czytelników. Nie są one także skierowane do szerokiego ogółu. Nie mają one również wspólnego mianownika – stworzone kategorie odzwierciedlają ich różnorodność i przynależność do kilku zupełnie odmiennych zamierzeń paraliterackich.

O co zatem chodzi?

Szczerze mówiąc: nie wiem. Może o radość dzielenia się z innymi również tą drogą?

Jest to dla mnie nowe doświadczenie. A 10.000 odwiedzin w pierwszych dwóch miesiącach zastanowiło mnie i utwierdziło w przeświadczeniu, że warto zadać sobie od czasu do czasu trud i przenieść parę zdań z małego, oprawionego w czarne moleskinowe płótno notatnika na serwer.

Or so it seems. Enjoy!

Najwyraźniej zobaczysz tekst jak przełączysz e-booka do pracy na pełnym ekranie (Ctrl+L).

Potem możesz oczywiście wrócić do zwykłego widoku (Esc).

Zbiór tekstów z blogu pytania.wordpress.com

OGÓLNA TEORIA WSZYSTKIEGO

PYTANIA DO ZNANYCH ODPOWIEDZI...

LIPIEC 2008 - MARZEC 2010

Spis treści

1.O mnie.....	4
2.Nieznana teza Wittgensteina.....	5
3.Z punktu widzenia wilka.....	6
4.Mieczyk Chrobrego. Uwielbiam historię.....	7
5.Podarunek.....	8
6.Definicje.....	9
7.Uczeń Hào Chī i dobra rada.....	9
8.Z punktu widzenia kanibala.....	10
9.Obrońca reduty. Uwielbiam historię.....	11
10.Uczeń Hào Chī i życie pozbawione pragnień.....	13
11.Wieczór. Rozmowa głuchego ze ślepcem.....	13
12.Tajemnica bytu. Pies vs. Kot.....	14
13.Kochanka arcybiskupa.....	15
14.Hào Chī i życie godziwe.....	15
15.Pamięć jako towar.....	16
16.Laptop Franza Kafki.....	17
17.Pytanie patrioty.....	18
18.Polskie Termopile. Uwielbiam historię.....	19
19.Historia pewnej znajomości.....	23
20.Udanych wakacji.....	24
21.Ślepy snajper.....	26
22.Chrześcijański dylemat.....	27
23.Hào Chī uczy się mówić “nie”.....	28
24.Tęcza daltonisty.....	29
25.Tako rzeczce.....	29
26.Drogowskaz.....	32
27.Z pamiętnika idioty. La vida es.....	32
28.Odnaleziona zakładka. Z pamiętnika idioty (5).....	33

29.Czy należy kochać kobiety?.....	34
30.O przyzwoitości.....	36
31.Hào Chī i płatek śniegu.....	38
32.Dylemat Schrödingera.....	39
33.Hagiografia: Sw. Mikołaj z Miry.....	40
34.Z pamiętnika idioty. Flow.....	42
35.Magia dla początkujących.....	44
36.Syn marnotrawny. Historia z morałem.....	45
37.Common knowledge vs. conventional wisdom. Porobiło się.....	47
38.Ameryka. Historia pewnego zabawnego nieporozumienia.....	48
39.Banalność zła?.....	52
40.Z pamiętnika idioty. Wstyd (7).....	54
41.Uwielbiam historię. Nasz geniusz.....	55
42.Nadzieja. Macocha naiwnych.....	58
43.Sen Antysemyty.....	59
44.Czas kryzysu.....	59
45.Czwarta małpa.....	61
46.Nieskończony Wszechświat.....	62
47.Nowy argument na rzecz determinizmu.....	62
48.Hagiografia: Święty Szczepan.....	64
49.Patrzac wstecz. Cena empatii.....	67
50.Można i tak.....	70
51.Doniosłe chwile w historii ludzkości. Filippides.....	70
52.Z pamiętnika idioty. Myślenie pozytywne.....	73
53.Przykład dla młodzieży męskiej. Maciuś Mańkut.....	74
54.Wstęp do probabilistyki dla leniwych.....	77
55.Opis zwycięstwa.....	78
56.Historia prawdziwa: bohater pracy.....	80
57.Wieczny tułacz.....	90
58.Z notatek Doktora Jetzinger.....	91
59.Myśl i język.....	93
60.Doniosłe chwile w dziejach ludzkości. Herostrates.....	95

61.Frrrrrrr.....	98	93.Niespodziewany obrót wypadków.....	166
62.Orientacja seksualna.....	98	94.Braterstwo broni albo jak trafić do encyklopedii.....	166
63.O nieśmiertelności.....	102	95.Na marginesie. Glosa.....	170
64.Hagiografia: Święty Sebastian.....	102	96.Przeczcucie tragedii?.....	172
65.Anegdota.....	106	97.Przypadek nr. 1.....	173
66.Niedosyt.....	108	98.Przypadek nr. 2.....	173
67.Opus Nr. 23.....	109	99.Przypadek nr. 3.....	175
68.Nieomyślność. Arabski spiszek.....	110	100.Intermezzo nr. 1.....	176
69.Finale.....	114	101.Panteon Rodaków (PR). Leon Czołgosz.....	177
70.Motywacja.....	115	102.Wróżba. Swoboda interpretacji.....	181
71.Dużo i dobrze.....	116	103.Wróżba. Swoboda interpretacji (2).....	183
72.Szulce. Noir.....	120	104.Wróżba. Swoboda interpretacji (3).....	185
73.Logika emocjonalna.....	122	105.0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 1, 1.....	186
74.Doktor G. albo ostateczne zwycięstwo bzdury.....	124	106.Walenrodyzm teutoński.....	187
75.Hagiografia: Święty Jerzy. Historia oszałamiającej kariery.....	128	107.Koszmar.....	191
76.Z ostatniej chwili. Odkrycie.....	131	108.Bajki dla niegrzecznych dzieci (1).....	192
77.Szlachetne postanowienia.....	131	109.Bajki dla niegrzecznych dzieci (2).....	193
78.Przewodnik operowy dla głuchych i leniwych.....	132	110.Szczepienia przeciw grypie. Dylematy.....	194
79.Egzystencjalizm a sprawa polska.....	137	111.Noc Nr. 345. Do poduszki.....	195
80.Komunizm, a poczucie humoru. Szkic wstępu.....	138	112.Krzyże. Przyczynek do aktualnej debaty.....	197
81.Szulce. Noir. Więcej.....	139	113.Grypa. Zaufajmy fachowcom.....	201
82.Dobrze albo wcale.....	142	114.A mad tea party revisited.....	203
83.Z wokandy: obrona konieczna.....	143	115.Początek ostatniego rozdziału.....	204
84.El Manifiesto del día. Starczy.....	144	116.Opowieść Wigilijna.....	205
85.Time voyager.....	146	117.Getting away from binary thinking (12/28).....	206
86.Ma Belle, Si Tu Voulais.....	148	118.Postanowienia noworoczne. Przechytrzyć.....	207
87.Z pamiętnika panny służącej. Cała prawda.....	152	119.Ku pokrzepieniu serc. Niepamięć Narodowa.....	208
88.Niezupełnie inteligentny projekt. Minione aberracje.....	154	120.Za co ojczyzna powinna kochać Polaka?.....	211
89.Z wokandy: dobre imię przedsiębiorcy.....	157	121.Krzepiąca myśl.....	212
90.Granice Voyerizmu. Liberalna Francja.....	159	122.Artystom wolno więcej.....	212
91.Patriotyzm fryzjerski.....	162	123.Pana Hodgesa nie było w domu.....	216
92.Rok 1939. Nierówna walka.....	163	124.Kara śmierci. Zadowolające rozwiązanie problemu.....	217

125.Pustka.....	219
126.Nasz wielki wynalazca (1).....	219
127.Nasz wielki wynalazca (2).....	221
128.Pozory idiotyzmu. Idiotyzm pozorny.....	225
129.Hagiografia: Św. Agata. Bezkompromisowość dziewicza.....	226
130.Encyklopedia rzeczy bezpowrotnie minionych (1).....	228
131.Dłgie pożegnania.....	230

1. O mnie

“Stary człowiek. Przeważnie może. Częściej musi.”

Z niepojętych dla mnie powodów ta strona cieszy się, jak na razie, największym zainteresowaniem.

Urodziłem się dawno temu w jednym z dużych miast zaboru pruskiego w czasach, gdy palenie papierosów jeszcze nikomu nie szkodziło, wódkę w eleganckich lokalach piło się ze szklanek a gazeta służyła przeważnie do pakowania włoszczyzny. O ile nie znalazła innego, bardziej prozaicznego zastosowania. Nic się wówczas nie marnowało. A szkoda. W każdym razie, moje pierwsze, świadome wspomnienia dotyczą widoku z okna czynszowej kamienicy. Okno wychodziło na ocienioną starymi kasztanowcami, wybrukowaną granitową kostką jezdnię, po

której od czasu do czasu przejeżdżał wóz konny, a niekiedy nawet automobil. Nie była to jednak jedyna atrakcja. Wieczorem zapalały się latarnie gazowe i od czasu do czasu usłyszeć można było dźwięk dzwonów bijących na wieży pobliskiego kościoła.

Nigdy nie zapomnę upalnego, czerwcowego dnia, w którym padły pamiętne strzały w Sarajewie. Ani – mimo że było to wiele lat później i zupełnie gdzie indziej – dobiegających ze śródmieścia wystrzałów broni ręcznej i maszynowej. Niedzielnej, popołudniowej nudy urozmaicanej jedynie pomrukiem cichej muzyki dobiegającej z wyposażonego w magiczne, zielone oko radioodbiornika. A teraz Radiowa Orkiestra Feliksa Dzierżoniewskiego ze stowarzyszeniem chóru męskiego wykona dla Państwa utwór muzyczny pt. “Hej wio, wiśta wio”. A potem rozpoczniemy dla Państwa transmisję ulubionego programu “Zgaduj zgadula”.

Świat był pełen ciepłych barw i dawno już wymarłych zapachów. Po latach, gdy pojawiły się zupełnie inne zapachy i do szelestu krochmalonej bielizny powoli zaczął dołączać się świszczący szelest obdarzonych egzotycznymi nazwami tworzyw syntetycznych, okazało się, że nie były to aż tak złe czasy jak się na pozór wydawało. W stronę bratniej Czechosłowacji toczyły się kolumny czołgów a na ekranie telewizora straszyły coraz to nowe a jakimś sposobem zarazem stare i znajome twarze.

Ale najpiękniejsze wspomnienia z nigdy nieprzemijającej młodości jeszcze pewnie nadejdą.

2. Nieznana teza Wittgensteina

Lipiec 30, 2008

Z siedmiu tez leżących u podstaw traktatu

logiczno-filozoficznego najślynniejszą jest ostatnia. *“What we cannot speak of we must pass over in silence.”* Gdyby ogłoszono konkurs piękności na najbardziej eleganckie zdanie w historii myśli filozoficznej, siódma teza miałaby z pewnością szansę na zajęcie zaszczytnego, pierwszego miejsca. Mniej znany jest fakt, że w pierwszym wydaniu dzieła, nie była to teza ostatnia. Ostatnia została w następnych wydaniach wykreślona na prośbę autora. Brzmiała ona: *“What we cannot speak of we must pass over in silence.”* – była zatem powtórzeniem poprzedniej. Istnieją co najmniej dwie możliwe interpretacje tego faktu:

1. Był to idiotyczny błąd drukarski. Jest to interpretacja karkołomna jeśli uświadomimy sobie że korekta trwała wiecznie, doprowadzała do szaleństwa drukarzy, a podstawowym tematem dzieła (jedyne zresztą jakie ukazało się za życia autora) była precyzja i logika myślenia.

2. Było to działanie zamierzone. Działanie z pogranicza prowokacji i kokieteri. Spryciarz z tego Wittgensteina.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Hipotezy](#), [Wittgenstein](#)

3. Z punktu widzenia wilka

Sierpień 1, 2008

Z punktu widzenia wilka bajka o czerwonym Kapturku nie jest bajką słuszną. Jest bajką tendencyjną, nieprzyjazną wilkom i, co tu dużo mówić, nie kończąca się najlepiej. Z punktu widzenia wilka bajka powinna się zakończyć zupełnie inaczej. Nie można wrzucać wszystkich wilków do jednego worka i hołdować stereotypom oraz uprzedzeniom. Z punktu widzenia wilka, o wiele więcej sensu ma przyjęcie hipotezy, że należałoby się

dokładniej przyjrzeć babci. Dlaczego mieszkała samotnie w lesie? Przed kim się ukrywała? Czy normalni, uczciwi, nie mający nic do ukrycia obywatele zamieszkują na odludziu? Sprawą powinny się zająć odpowiednie, ku temu powołane czynniki. Albo taki gajowy. Co o nim wiemy? Czy można naprawdę dawać wiarę jego zapewnieniom, że po prostu przechodził koło chatki babci ot tak, przypadkiem? Z punktu widzenia wilka autorzy bajki poszli na łatwiznę.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [bajki](#), [czerwony kapturek](#), [relatywizm](#), [stereotypy](#), [wilk](#)

4. [Mieczyk Chrobrego. Uwielbiam historię.](#)

Sierpień 3, 2008

Dajmy na to taki Bolesław Chrobry. Ciekawy

przypadek. Dwie daty koronacji, żadna nie potwierdzona jednoznacznie przez współczesnych dziejopisów, ale nie bądźmy drobiazgowi. Współczesny kronikarz Ademar de Chabannes wspomina jedynie, że cesarz Otto dał potrzymać Bolesławowi swą włócznię, ale nie czepiajmy się szczegółów i uznajmy, że Długosz, z perspektywy czasu widział sprawę lepiej a przede wszystkim bezstronniej czyli słuszniej. Chrobrym nazwany dopiero przez potomnych, przeżył życie bez świadomości swego przydomka. Bolesław zatem, na razie bez nazwiska ale z ambicjami natury terytorialnej, udał się w otoczeniu podwładnych na Ruś, gdzie – o czym wie każde polskie dziecko – stąpił swój miecz uderzając nim o Bramę Kijowską. Stąd też nazwa miecza: SZCZERBIEC. Dziecko się myli. Brama Kijowska została wybudowana 19 lat po wyprawie Bolesława (jeszcze nie całkiem Chrobrego) na Kijów ale, jak się zdaje, nikomu

to po dziś dzień nie przeszkadza. Znamienne jest jednak, że do wyszczerbienia na nieistniejącej bramie, wybrał sobie Bolesław nie byle jaki miecz, lecz całkiem przyzwoity kawałek oręża, którego rękojeść wykonana jest w technice niello. Co do tej natomiast, wszyscy znawcy są zgodni, to pojawiła się ona w XIII wieku. Aby było całkiem zabawnie, rękojeść zdobią rozmaite napisy m. in. w języku hebrajskim, co sprawia, że ochota faszyzujących bojówkarzy z okresu międzywojennego, aby udając się na pogrom, wpinać sobie miniaturkę szczerbca w klapę marynarki, nabiera surrealistycznego posmaku.

I tak sobie ten nienazwany Chrobry, niewykluczone, że król, szczerbi nieistniejący miecz na nieistniejącej bramie. Od stuleci. U Siemiradzkiego, u Matejki. W podręcznikach historii. W głowach i sercach rodaków. Ku pokrzepieniu serc. Dobranoc Państwu.

Opublikował/a telemach

<http://pytania.wordpress.com>

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#) · Tagi: [Chrobry](#), [Historia](#), [Mitologia](#), [ONR](#), [Paradoks](#)

5. [Podarunek](#)

Sierpień 4, 2008

Thomas Erikson zadaje w “Tyranny of the moment. Fast and slow time in the information age” fascynujące pytanie dotyczące “zaoszczędzonego” czasu. Naciskając w windzie guzik pozwalający zamknąć drzwi o dwie sekundy szybciej, możemy zaoszczędzić według jego obliczeń rocznie około godziny. Pytanie, skierowane do czytelnika, brzmi: jak wyobrażasz sobie spożytkowanie tej zaoszczędzonej godziny? Podaje również szereg mniej lub bardziej trywialnych propozycji, które mają uświadomić absurdalność zaistniałej sytuacji. Problem jednak pozostaje.

Nie mamy najmniejszych trudności gdy ktoś proponuje nam dowolną sumę pieniędzy. Niezależnie od jej wysokości, nie napotykaemy raczej żadnych trudności usiłując sobie wyobrazić, w jaki sposób moglibyśmy sumę tę rozdysponować. Sytuacja zmienia się diametralnie, jeśli ktoś (przy założeniu, że obdarzony byłby takimi możliwościami) zapragnąłby podarować nam czas. Np. dodatkowy miesiąc życia. Pierwszym odruchem jest bezradność. Nagle okazuje się, że nie zdając sobie z tego sprawy, najwidoczniej żyjemy w złudnym przeświadczeniu o własnej nieśmiertelności.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Czas](#), [Erikson](#), [oszczędności](#), [Paradoks](#), [pieniądze](#)

6. [Definicje](#)

Sierpień 4, 2008

Naukowiec: człowiek poszukujący coraz to nowych określeń w celu lepszego i precyzyjniejszego opisanie swej ignorancji.

Doskonałym przykładem jest stosowanie w medycynie określenia “idiopatyczny”. Brzmi o wiele lepiej niż np. “nie mamy zielonego pojęcia skąd się to bierze i co to powoduje”.

Choć oznacza dokładnie to samo.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [definicje](#)

7. [Uczeń Hǎo Chī i dobra rada](#)

Sierpień 5, 2008

Uczeń Hǎo Chī poprosił Mistrza o dobrą radę. Mistrz wysłał go do pobliskiego potoku z

zadaniem przyniesienia wiadra wody. Hǎo Chī przyniósł wiadro wody i postawił przed Mistrzem.

A teraz – powiedział Mistrz – policz ile kropeł przyniosłeś.

Hǎo Chī przy pomocy źdźbła trawy rozpoczął liczenie kropeł wody. Upłynęły trzy dni, trzy noce i poranek czwartego dnia. W południe czwartego dnia krople wody zostały policzone i Hǎo Chī stanął przed Mistrzem.

-Wiem już – powiedział z pokorą – ile kropeł wody było w wiadrze.

-To bardzo dobrze – odparł Mistrz.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Zen dla zmęczonych](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Hǎo Chī](#), [Zen](#)

8. [Z punktu widzenia kanibala](#)

Sierpień 6, 2008

U podstaw każdego wyznania i każdej ideologii leży przeświadczenie jej wyznawców, że rzeczywistość można poddać kontroli i manipulacji, a życzeniom nadać rangę praw naturalnych. Szczególnie łatwo można zaobserwować to to u bliźnich nie dzielących naszego systemu wartości.

Z punktu widzenia kanibala wegetarianizm jest czymś nieobyčajnym, odstręczającym i ze wszech miar godnym potępienia.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [kanibalizm](#), [relatywizm](#), [wegetarianizm](#)

9. Obrońca reduty. Uwielbiam historię

Sierpień 7, 2008

Słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę. Szczególnie, jeśli można to uczynić parokrotnie. I tu lądujemy przy Ordonie, Julianie Konstantym, dowódcy słynnej Reduty, który po długiej i wyczerpującej obronie, wobec braku lepszej alternatywy, bohatersko wysadził się w powietrze wraz z wyżej wspomnianymi fortyfikacjami w celu pogrzebania się pod gruzami.

Wiedzę tę zawdzięczamy Mickiewiczowi Adamowi zwanemu dalej Wieszczem. Każde polskie dziecko poznało i nauczyło się na pamięć utwór zaczynający się od słów „Nam strzelać nie kazano”. Ale nie rozdrabniajmy się

Według Wieszcza, heroiczną decyzję o wysadzeniu umocnień podjął Ordon Julian Konstanty po wnikliwym przeanalizowaniu sytuacji oraz uwzględnieniu stosunku strat

własnych do strat szturmującego wroga, który też miał być pogrzebany, dobrze mu tak. I dlatego czcimy jako dobrzy patrioci Ordon Juliana jako bohatera narodowego i dlatego nazwaliśmy jego imieniem nawet szkaradny przystanek Warszawskiej Koleji Dojazdowej oraz prawdziwe Centrum Handlowe.

Tyle bajki, teraz będzie historia. Podporucznik Ordon nigdy nie dowodził nazwaną później na jego cześć Redutą nr. 54, szczerze mówiąc nie dowodził też żadną inną. Powierzono mu jedynie opiekę nad dwoma starymi działami austriackiego pochodzenia, innymi słowy archaicznym złomem, który w trakcie krótkich potyczek poprzedzających upadek reduty ani razu, wbrew temu co twierdził Wieszczyk, nie wystrzelił bo nie mógł.. Ordonowska reduta zapisała się w historii (w przeciwieństwie do reduty nr. 57) raczej niechlubnie, bo jakiś łamaga w ostatniej chwili zapruszył ogień, przez co doszło do wybuchu, w którym zginęło

więcej obrońców niż wrażeń Moskali. Całość widział na własne oczy Gaszyński Konstanty, opisał potem barwnie Wieszczeni, powinien zainteresować się nim okulista, choć najprawdopodobniej był to zwykły łgarz.

Tyle smutnych faktów, teraz będzie śmiesznie. Ordon, lekko poparzony przeżył i udał się na tułaczkę po świecie. Próbował nawet wstąpić parokrotnie do rozmaitych formacji zbrojnych tworzonych przez Wieszcza i otaczających go genetycznych patriotów ale za każdym razem skutecznie był odpędzany jako zombie. Raz nawet, w 1855 roku zdołał się wreszcie dostać przed oblicze tego, który go tak skutecznie uśmiercił, brakuje jednak sprawdzonych informacji czy pomiędzy obu panami doszło do rękoczynów. Zostaje wolnomularzem, co oznacza dla niego drugą śmierć, tym razem cywilną, bo Polak-Katolik masonowi, a w dodatku ewangelikowi przecież ręki nie poda. Wielokroć odtrącony przez rodaków, walczy u

boku Garibaldiego o wolność Włoch, wreszcie osiada we Florencji, aby w wieku lat 77, zadźwżony przez wierzyteli, popaść w alkoholizm jak również depresję i popełnić samobójstwo.

Jedyną ogólnie znaną pozostałością reauty jest obelisk stojący w zupełnie innym miejscu niż powinien. Tam też od czasu do czasu odbywają się rozmaite uroczystości. W 1937 roku wdzięczni rodacy w ramach pielęgnaacji tradycji narodowej ponownie pomylili reauty i umieścili tablicę pamiątkową nie tam gdzie trzeba tylko jeszcze gdzie indziej. W tą tradycje wpisuje się również Centrum Handlowe Reduta i przystanek WKD Reduta Ordona, oba niecały kilometr dalej niż wykopaliska reauty. Reduta, gdyby to kogoś przypadkiem interesowało, znajdowała się na pograniczu Woli i Ochoty.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [uwielbiam historię](#)

·Tagi: [Historia](#), [Mickiewicz](#), [Mitologia](#), [Mity](#)

[narodowe](#), [Ordon](#), [Reduta](#)

10. Uczeń Hǎo Chī i życie pozbawione pragnień.

Sierpień 9, 2008

Uczeń Hǎo Chī udał się do Mistrza aby zadać mu pytanie, które dręczyło go od dłuższego czasu. Mistrz spoczywał w cieniu krzewu magnoli i wpatrywał się w przepływające po nieboskłonie obłoki. Hǎo Chī poprosił Mistrze o pozwolenie zadania jednego pytania, a gdy je otrzymał, rzekł:

Mistrzu, uczyłeś mnie, że jedynie życie pozbawione pragnień może przynieść spokój i prawdziwe szczęście. Dlatego też, zgodnie z twymi wskazówkami, zapragnąłem prowadzić takie właśnie życie i pozbyć się wszelkich pragnień.

Jak jednak mogę się pozbyć tego pragnienia, nie pragnąc tego?

<http://pytania.wordpress.com>

Mistrz milczał, a szelest trawy stał się tak głośny, że zagłuszył huk wodospadu.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Zen dla zmęczonych](#) · Tagi: [Hǎo Chī](#), [Zen](#)

11. Wieczór. Rozmowa głuchego ze ślepcem.

Sierpień 12, 2008

Przypatrując się niektórym ekscesom bezkrytycznych wielbicieli Dawkinsa, można odnieść wrażenie, że głównym wrogiem ateisty stał się nie fundamentalista lecz agnostyk. Ach ten Dawkins, ten Dawkins. Pewnej pocięchy szukać można by było co prawda u dekonstruktywistów, ale od czasu gdy Baudrillard opuścił nas na zawsze, nie jest to ani łatwe, ani efektowne. A jakże piękne mogło by być spotkanie tych dwóch panów.

Filozof przekonany o nieistnieniu Boga

spotyka filozofa przekonanego o nieistnieniu świata.

Tak czy owak: coraz częściej jesteśmy świadkami dyskusji, w których motywy uczestników sprowadzają się do chęci nawrócenia misjonarza.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#) · Tagi: [Baudrillard](#), [Dawkins](#), [dekonstruktywizm](#)

12. [Tajemnica bytu. Pies vs. Kot](#)

Sierpień 13, 2008

A dajmy na to – taki pies. Albo kot. Niby w obu przypadkach zwierzęta domowe, a patrzcie państwo jaka kolosalna różnica. I to nie tylko w przypadku wyglądu, lub dajmy na to, zachowania. Pies, o czym wie każde dziecko, największym przyjacielem człowieka jest. Chodzi przy nodze,

niewidomego poprowadzi, z lawiny wygrzebie, obejścia strzeże, narkotyk wywącha. Powinien zasługiwać na naszą wdzięczność a może nawet szacunek.

I co? I nic. Pogoda pod psem. Leje, że nawet psa byś przed drzwi nie wygnał. Ty nędzny psie. Psy niewierne, jako najwyższy wyraz werbalnej pogardy mahometan w stosunku do chrześcijan. Jeśli język odzwierciedla nasz sposób myślenia, to niezbyt dobrze pies wypada.

Z drugiej strony - kot. Jaka wymierna korzyść wynika z przyjaźni kota? On po prostu jest. A mimo to nikt nie powie „ty podły kocie!”. O pogodzie pod kotem też nikt nie słyszał.

Z czego wynika nasza wdzięczność? I czy naprawdę trzeba sobie na nią zasłużyć?

—

Kropotkin zamyślił się głęboko, zdając

sobie sprawę, że oto zbyt niebezpiecznie zbliżył się do tajemnicy bytu. Za oknem czekał kot.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Kropotkin](#), [tajemnica bytu](#)

13. [Kochanka arcybiskupa](#)

Sierpień 15, 2008

Zazdrosna o wszystkie inne kobiety, na których oko jego Świętobliwości mogłoby choć przez chwilę spocząć, spędza bezsenną noc gryząc poduszkę z bezsilnej rozpacz i bólu.

Wymykając się ukradkiem późnym wieczorem, obiekt jej uwielbienia pachniał intensywnie wodą po goleniu i trudno skrywanym pożądaniem.

W tym czasie jego Świętobliwość, racząc się z niekłamanym zadowoleniem kieliszkiem ratafii,

usiłuje zajrzeć w karty sztabskapitana Kruegera, mającego ze względu na nadmierne spożycie coraz większe trudności z zapamiętaniem wszystkich reguł wista. Ten dobrze zapowiadający się wieczór, myśli sobie jego Świętobliwość, ma spore szanse równie dobrze się zakończyć.

Stara prawda. Ludzie wierzący grzeszą z o wiele większym przekonaniem niż ateści.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) ·Tagi: [Ateizm](#), [Kochanka Arcybiskupa](#), [Sztabskapitan Krueger](#)

14. [Hǎo Chī i życie godziwe](#)

Sierpień 17, 2008

Hǎo Chī postanowił poprosić Mistrza o wskazówkę jak żyć aby nie cierpieć i nie przynosić cierpienia innym.

Mistrz siedział w cieniu drzewa i wsłuchiwał

się w śpiew ptaków.

- Jak mam żyć -zapytał Hǎo Chī – aby mieć poczucie, że żyję godnie, w zgodzie z samym sobą a przede wszystkim nie sprawiając bólu innym?

Mistrz nie udzielił mu odpowiedzi.

Hǎo Chī ponowił pytanie.

Mistrz ponowił milczenie.

Hǎo Chī pochylił z pokorą głowę i oddalił się.
Na twarzy Mistrza pojawił się smutny uśmiech.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Zen dla zmęczonych](#) · Tagi:

[Hǎo Chī](#), [Zen](#), [好吃](#)

15. [Pamięć jako towar](#)

Sierpień 19, 2008

Jeśli wierzyć uczonym w piśmie, pamięć jest indywidualnym konstruktem i interpretacją, nie zaś, jak mylnie nam się wydaje, wiernym

zapisem tego co przeżyte i minione. Pamiętamy to, co sądzymy że pamiętamy choć złudzenie, że pamięć i przeszłość której ona dotyczy są identyczne, jest nader rozpowszechnione.

Literatura, Muzyka, Teatr, Film, Astrologia. To co rozpoczęło się jako bezinteresowna indywidualna lub zbiorowa przyjemność, prędzej czy później zamienia się w towar. Wszystko na sprzedaż. Skoro nauczyliśmy się frymarczyć uczuciami, emocjami i złudzeniami dotyczącymi teraźniejszości oraz przyszłości, to logiczną konsekwencją musi być – w momencie technologicznego pojawienia się takiej możliwości – rozszerzenie owego proceduru na pamięć jednostkową i kolektywną.

Jeśli wierzyć neurofizjologom, wystarczy w gruncie rzeczy inaczej połączyć synapsy, abyśmy mogli żyć z poczuciem sensu, dobrze spełnionego obowiązku i obarczeni jedynie balastem dobrych wspomnień.

Powstanie rynek pierwotny i rynek wtórny wspomnień. Będziemy mogli nabyć wspomnienia wyprodukowane jedynie w celu ich sprzedaży lub odkupić wspomnienia innych. Czy to dobrze, czy źle?

—
- I dlaczego – pomyślał Kropkin – wcale mi się do tego świata nie śpieszy?

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#) · Tagi: [Pamięć](#), [Wiara](#)

16. [Laptop Franza Kafki](#)

Sierpień 26, 2008

One Cannot Not Communicate

Ach Paul, mój drogi Paul! Ach ten twój pierwszy aksjomat teorii komunikacji! Takie proste zdanie a tyle zamieszania w głowach.

Tyle pytań do znanych odpowiedzi. I nigdy już nie będziemy mogli w blasku kalifornijskiego słońca porozmawiać o tym, kto z nas dwojga bardziej nadaje się do sprawowania jakże zaszczytnej funkcji Przewodniczącego Związku Jednoręki Fryzjerów. Paradoksy odchodzą tak samo jak ludzie. Jak emocje i uczucia. Nawet te najpiękniejsze. Albo, zupełnie nieoczekiwanie, przestają być czytelne. Bo w raz z ludźmi odszedł na zawsze kontekst. I nagle jest tak jak z pismem Majów, którzy gdy przeminęła świetność ich kultury, nadal żyli w pobliżu budowli, których konstrukcji nie rozumieli, dzieł sztuki, których nie byli w stanie ocenić i napisów, których nie byli w stanie odczytać. Zyjemy w przedziwnym, aczkolwiek zupełnie irracjonalnym przeświadczeniu, że postęp jest czymś naturalnym, prawem natury, czymś co jest dane i co posiada własną dynamikę. Coraz więcej wiedzy, dóbr doczesnych, coraz bardziej

ucywilizowane obyczaje, coraz więcej dzieł sztuki i człowieczeństwa. Zyjemy tak, nieświadomi, że los Majów czyha cały czas w cieniu, za rogiem, za następnym drzewem. Ze bliźni, wyciągający do nas rękę i pocieszający nas dobrym słowem w każdej chwili może zapragnąć wyrwać nam serce z piersi i pożreć je na surowo.

Są takie dni, gdy tylko zmęczenie jest prawdziwe.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Kafka](#), [Watzlawick](#), [zmęczenie](#)

17. [Pytanie patrioty](#)

Sierpień 29, 2008

Podniósł głowę i spojrzał na mnie z niedowierzaniem. Chwilę się zastanowił zanim zaczął mówić.

- Gdy przed laty – powiedział – po wieloletnim okresie nieobecności w kraju, po raz pierwszy zdecydowałem się wybrać w bliskie memu sercu strony, zebrali się wokół mnie moi polscy przyjaciele i zaczęli mnie przestrzegać. Przestrzegać przed umysłowym zaduchem z nieuzasadnionymi aspiracjami do wielkoświatowych manier i osiągnięć. Przed chciwością, chytryością, małodusznością i skundleniem pozostałych w ojczyźnie rodaków. Przed wszechogarniającą korupcją, zawiścią tych którym się gorzej powiodło i nienawiścią tych, dla których nie do zniesienia będzie fakt, iż mogę sądzić, że im nie powiodło się lepiej. Przed znieczulicą i obojętnością udającymi obłudnie chrześcijańską pokorę, przed nieuczciwością uznawaną za społeczną normę. Przed powszechną zgodą na wszechogarniającą brzydotę i dyktaurę agresywnego kiczu. Przed brudem, przed szarością ozdobioną tandetną pstrokacizną reklam, przez co krajobraz

przypomina zaniedbaną prostytutkę ozdobioną tandetną biżuterią. Przed barbarzyństwem niestrawnej, ciężkiej kuchni okraszonej ciepłym mdłym alkoholem etylowym lub, o zgrozo, słodkawym winem. Przed zacierzeniem zadufanych i przed brakiem manier u maluczkich. Przed wiarą w zabobon udającą pobożność i natarczywość udającą gościnność. Przed mieszaniną megalomanii i kompleksów kładącą wierzyć, że nikt nie wycierpiał niewinnie tyle co Polacy. Przed strachem na widok odmienności ukrywanym pod płaszczykiem pogardy. A przede wszystkim, przed niezrozumiałą ułomnością mieszkańców kraju nad Wisłą, jakimś niepojętym rodzajem daltonizmu, którego istotą było to, że tego wszystkiego nie dostrzegali.

Ostrzeżeniom nie było końca. Mimo to nie zmieniłem zamiaru i pojechałem. I wiesz co?

Zastygłem w oczekiwaniu.

-Wszystko było dokładnie tak, jak oni to

opisywali. Identycznie.

Wpatrywaliśmy się w gładkie lustro Jeziora Genewskiego zwanego przez miejscowych po prostu Lac Léman. Na horyzoncie, gdzieś daleko, od strony Montreux albo Vevey zaczynały zbierać się ciemne, deszczowe chmury. Przez długie minuty nie padło ani jedno słowo.

- Powiedz mi – zapytał po chwili – dlaczego ja tak kocham ten pokręcony kraj?

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Rozmowy nad brzegiem jeziora, brudnopis](#) · Tagi: [Jezioro Genewskie](#), [Patriotyzm](#), [Polska](#)

18. [Polskie Termopile.](#) [Uwielbiam historię](#)

Wrzesień 1, 2008

Polskie Termopile, wszyscy uczyliśmy się w

szkole, nazywają się Westerplatte i to stamtąd, w ramach nieugiętej, heroicznej walki bohaterskiej garstki polskich obrońców z ogromną machiną militarną połączonych sił Wehrmachtu, SS, Luftwaffe i Kriegsmarine prosto do nieba trójkami szli, chociaż może były to czwórki. I tak dalej. Dzień za dniem, godzina za godziną zacięty opór. Tak było niewątpliwie, bo przecież podręczniki historii nie kłamią, czasem tylko ku pokrzepieniu serc trochę przeinaczają lub pomijają niewygodny fragment. Zaczniemy zatem prostować, chociaż, obawiam się, nikt nas za to nie polubi.

Graf Manfredo Gravina był nie tylko Wysokim Komisarzem Ligi Narodów ale również autorem porozumienia, z którego wynikały trójstronne ustalenia dotyczące statusu Westerplatte. Stronami porozumienia były Polska, Niemcy i Wolne Miasto Gdańsk. Polskie podręczniki pomijają grafę i słusznie bo jeszcze ktoś mógłby zacząć zadawać

niewygodne pytania do czegoż też umawiające się strony się zobowiązały. Strona Polska np. do tego, że posterunek wartowniczy na Westerplatte nie będzie liczył więcej niż dwóch oficerów, 20 podoficerów i 66 osób personelu. W jaki sposób po trwającej 7 długich dni śmiertelnej bitwie liczba poddających się była ponad dwukrotnie wyższa nie powinno nas interesować. Pewnie cud. Polacy nie byli jedyną stroną łamiącą umowy i nie powinniśmy im tego wytykać. Nie będziemy kłaść. W każdym razie liczebność garnizonu pilnującego składnicy tranzytowej wynosiła wg rozmaitych źródeł 205-220 żołnierzy i oficerów.

O godzinie 4:47 wystrzały z przeznaczonego na zezłomowanie stareńkiego liniowca dogorywającego jako statek szkoleniowy a zwanego przez polskich historyków z niejasnych powodów uporczywie pancernikiem rozpoczęły oficjalnie II wojnę światową, która trwała już od pewnego czasu i rozpoczęła się

bombardowaniem Wielunia (wg. źródeł polskich i zachodnioeuropejskich) lub incydem na moście Marco Polo (Marco Polo Incident) dwa lata wcześniej. Wersja ta obowiązuje w Azji, obu Amerykach, Australii oraz Oceanii – czyli prawie wszędzie. Nie ma się jednak co dziwić skoro część bardziej patriotycznych źródeł fińskich przenosi początek wojny światowej na 1940 rok a w myśl rosyjskiego dziejopisarstwa patriotycznego do 21 czerwca 1941 roku panował w zasadzie pokój.

Wraże pociski nie trafiły w nic szczególnego, bo jak z zawstydzeniem wspominają źródła niemieckie, dowództwo statku nie dysponowało mapą, na której byłby zaznaczony cel bo zapomniało takową zabrać ze sobą a zresztą widok zasłaniał las. W każdym razie 1 września przywieziona przez Schleswig-Holstein grupa szturmowa w sile jednej kompanii (Marinestrosstruppkompanie w sile 225

żołnierzy) w towarzystwie SS-Heimwehr Danzig nie dała sobie rady i zmuszona została przez siedzących w bunkrach bohaterskich obrońców Westerplatte do odwrotu. Drugiego Września, gdy drugi atak również się nie powiódł Westerplatte zostało pod wieczór zbombardowane przez 60 bombowców nurkujących Stuka i jak pisał w swych (dziwnym trafem prawie nigdy nie cytowanych) wspomnieniach Major Sucharski, gotowe było się w przypadku następnego natarcia wroga się poddać, do czego jednak nie doszło bo następny atak nie nastąpił. Od czasu do czasu strzelano sobie przez następne dni, Niemcom było to z powodu całkowitego braku militarnego znaczenia Westerplatte najwidoczniej obojętne, walki nie wiązały żadnych sił a z symboliki jaką Westerplatte miało dla Polaków strona niemiecka nie zdawała sobie najwidoczniej sprawy. Ósmego września nastąpił wreszcie zmasowany atak Niemców z użyciem artylerii

oraz miotaczy ognia i Polacy wywiesili białą flagę. O rozmiarach swego niehumanitarnego heroizmu dowiedzieli się więźni do niewoli obrońcy Westerplatte dopiero w obozie jenieckim od współtowarzyszy niedoli. Ci wiedzieli naturalnie lepiej, bo słuchali komunikatów Rozgłośni Polskiego Radia z Warszawy.

Budowa mitu polskich Termopil i nadmuchiwanie patriotycznego balona rozpoczęło się na dobre dopiero w czasach wczesnego PRLu. Weteranów Obrony Westerplatte zapisano do ZBOWiDu i obwożono po akademiach „ku czci” po całym kraju przez lat czterdzieści. Każde miasto powiatowe uzyskało ulicę bądź plac im. Obrońców Westerplatte a miasta wojewódzkie i ulicę i plac. Imię to nadano jednej uczelni wyższej, jednej brygadzie pancerniej, dwóm statkom, licznym hufcom harcerskim oraz niezliczonej ilości szkół podstawowych,

gimnazjów, liceów i zespołów szkół zawodowych. Obok koszmarnego pomnika, pod którym przedstawiciele władz partyjnych, delegacje aktywu robotniczego i w zależności od stanu zdrowia czterech do dziesięciu dziadków weteranów składało co rok wieńce postawiono z niezrozumiałych powodów radziecki czołg T34. Weterani, zadowoleni z uzyskanych rent zbawidowskich nie przyczyniali się do demaskacji mitu. W miarę upływu czasu większość z nich uwierzyła, że naprawdę to było tak jak pokazano to w filmie autorstwa brata Tadeusza Różewicza.

Filmie czarno-białym i słusznym.

----- reedited 2009 -----

Ponieważ, mimo upływu czasu, wciąż pojawiają się uwagi tudzież obelgi sugerujące, że termin “Polskie Termopile” po wsze czasy zarezerwowany jest dla Bitwy nad Wizną (cześć ich pamięci), koniecznym wydaje się wyjaśnienie, że tytuł powyższego tekstu był

wynikiem świadomej przekory. Tradycja do odruchowego sięgania przez polskich literatów i dziejopisów do miejsca antycznej klęski Leonidasa jest długa i stanowi w zasadzie doskonały materiał na odrębną historię. Niezliczone są polskie Termopile i ich piewcy. Nie, nieprawdą jest jakoby po raz pierwszy użyto tego terminu w stosunku do Bitwy pod Węgrowem (3.2.1863). Również bitwy pod Zadwórzem (1920), Dytiatynem (1920) i obrona Wizny w 1939 roku nie wyczerpują wszystkich możliwości. Warta wspomnienia jest Bitwa pod Borysowem (1812). Ta ostatnia znana jest raczej jedynie polskim historykom – ale może to i lepiej, nie ma się specjalnie czym chwalić. Jak do sprawy podszedł Tadeusz Miciński pominiemy w tym miejscu milczeniem. Polskie Termopile sławili ponadto m.in. Norwid, Konopnicka, Różewicz. Za każdym razem inne. Oni mogli – to i ja mogę. Ironia, wbrew głębokiemu przeświadczeniu

rozmiłowanych w klęskach genetycznych patriotów, nie jest bynajmniej równoznaczna z blasfemią.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#)

·Tagi: [Major Sucharski](#), [Mity narodowe](#), [Termopile](#), [Westerplatte](#)

19. [Historia pewnej znajomości](#)

Wrzesień 4, 2008

M. zawsze była kobietą niezależną.. Pierwszą naprawdę niezależną, którą miałem okazję poznać. Było to przed laty. Od tej pory śledzę jej fascynujące losy.

Nasze drogi krzyżowały się nieczęsto ale z zadziwiającą konsekwencją. Poznałem ją w Berlinie, wówczas jeszcze zachodnim, szukając schronienia przed gwałtowną czerwcową ulewą. Elegancki sklep okazał się być salonem

kuśnierskim. Stała za ladą czekając najwidoczniej na jakże rzadkich o tej porze roku gości. Zamieniliśmy kilka zdań, zanim nasza rozmowa przerwana została poprzez pojawienie się groźnie wyglądającego właściciela, który wyłonił się z zaplecza poprawiając kamizelkę opinającą opasły brzuch.

Po paru latach spotkałem ją ponownie. Był styczeń, na sztokholmskich ulicach szalała zadyмка, Stała za kontuarem jasno oświetlonej lecz wyludnionej kafejki. Co było zrozumiałe biorąc pod uwagę, że można tam było nabyć jedynie lody. Gelati italiani. Wyraziłem zdziwienie i przez chwilę rozmawialiśmy. Podstarzały włoski właściciel o wyglądzie zakurzonego amanta przyglądał mi się nieufnie, jakby oczekując że opuszczę jego lokal. Ostatnio słyszałem że. przebywa w Atenach i związała się z dyrektorem pewnej rozgłośni radiowej. Nie porzuciła jednak swej

niezależności. Otrzymała w radiu etat jako striptizerka.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Historia](#), [Kobieta niezależna](#), [Strptiserka](#)

20. [Udanych wakacji](#)

Wrzesień 8, 2008

Ci, którzy opisują swe podróże to kłamcy, już sam fakt, że to czynią jest wystarczającym powodem aby im nie wierzyć“

Ci, którzy uważają, że wypowiedź ojca starożytnej geografii pełna jest nieuzasadnionego sarkazmu, przesadnego radykalizmu, ba, niegodnej naukowca przesady, powinni wysłuchać skróconej historii wyspy Hy Brazil.

Wyspę Hy Brazil odkrył na południowy wschód od Irlandii niejaki Madoc ab Gwynedd, o

którym również można by w nieskończoność, ale to już zupełnie inna bajka. Umówmy się, że o ile istniał (a raczej mało na to wskazuje) był on Celtem, prawdopodobnie walijskim księciem, a z całą pewnością piramidalnym kłamcą. Wyspę odkrył w roku 1170, wracając z odkrytej przez siebie właśnie Ameryki. To nie jest żart. Wielu poważnych uczonych o tym pisało a dzieci uczyły się tego w angielskich szkołach.

Pierwsza, historycznie udokumentowana ekspedycja odkrywcza, której celem była penetracja naniesionej przez pilnych kartografów na większość późnośredniowiecznych i renesansowych map wyspy, odbyła się w roku 1480. Ponieważ nie została ona uwieńczona sukcesem, wysłana została w roku 1497 cała flota pod dowództwem niejakiego kapitana Cabota. Dziwnym trafem jednak i tym razem nie udało się wyspy odnaleźć.

Dokładne położenie lądu Hy Brazil ustalił wreszcie ponad wszelką wątpliwość w roku 1636 Nathaniel Rich, kapitan floty JKM króla Anglii. Pierwszy dokładny opis pochodzi jednak dopiero z roku 1674. Zawdzięczamy go kapitanowi Johnowi Nisbetowi. Bogactwo szczegółów jest zdumiewające. O prawdziwości jego relacji zaświadczyli Szkoci, uwolnieni przez Nisbeta z niewoli, w której trzymali ich niegodziwi mieszkańcy wyspy. W 1675 roku, dzięki inicjatywie pana Mathiew Calhoona, który zwrócił się w tej sprawie z petycją do króla Karola I, Hy Bryzil stała się oficjalnie częścią brytyjskiego terytorium. W 1684 roku wyspę odwiedził niejaki Morogh O’Ley i spędził na niej dwa przyjemne dni. Nie był on ostatni – niezliczone zastępy podróżników odwiedzały lub widziały Hy Brazil. Szczegółowe opisy pojawiają się przez cały wiek XVIII i trudne są do zliczenia.

Chociaż w 1825 oficjalnie i ostatecznie

ustalono, że takiej wyspy nie ma, ani też nigdy nigdy nie było, podróże wcale nie ustawały. Tym bardziej, że jeszcze w 1865 roku, można było znaleźć Hy Brazil na oficjalnych mapach brytyjskiej admiralicji.

Ostatni raz Hy Brazil ukazała się brytyjskiemu pisarzowi T.J. Westroppowi w roku 1872. Uprzednio widział wyspę już dwukrotnie i dwukrotnie spotkał się z kpinami niedowiarków. Prawdopodobnie dlatego zabrał na pokład jachtu, jako świadków, mamusię i grupę przyjaciół, aby razem z nim zobaczyli co należy. Zobaczyli. I dali świadectwo.

Tekst powyższy pragnę zadedykować wszystkim, którzy przekonani są, że skłonność do wiary w mity i złudzenia dotyka zawsze jedynie innych. I życzę udanych wakacji na Hy Brazil, przepięknej, owianej mgłami wyspie na Atlantyku. Dojazd nie powinien być trudny, wyspa oddalona jest jedynie o około 100 mil morskich od południowo-zachodnich brzegów

Irlandii.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Hi Brazil](#), [Hy Brazil](#), [Mitologia](#), [naiwność](#), [złudzenia](#)

21. [Ślepy snajper](#)

Wrzesień 10, 2008

Wszyscy Kreteńczycy kłamią, rzekł niegdyś pewien mieszkaniec Krety. Wypowiedź ta zapoczątkowała epokę zwątpienia w podstawy logiki opierającej się na akceptacji faktu, że prawda i fałsz muszą się koniecznie wykluczać. I modelu rzeczywistości, dla której ten rodzaj logiki stanowi fundament. I percepcji tego modelu, stanowiącej podstawę tego, co zwykliśmy nazywać komunikacją.

Nie wiadomo czy wszyscy Kreteńczycy kłamali. Nie wydaje się to obecnie ani istotne

ani wielce prawdopodobne. Nie wiadomo nawet czy Epimenides żył naprawdę, czy tylko został wymyślony przez potomnych. Aelian, Pauzaniusz i Plutarch należą tutaj do grona podejrzanych. Mało prawdopodobną wydaje się również historia jego 57-letniego snu. Szczerze mówiąc – nie wahajmy się użyć tego słowa – jest to najoczywistsza bzdura. Russell i Whitehead mogli spokojnie zająć się czymś pożyteczniejszym, np. hodowlą owiec. Albo uprawą pieczarek. Lub też produkcją wykałaczek. Bądź też naprawą automatycznych skrzyni biegów. Wymyślaniem strategii marketingowych wspierających sprzedaż napędzanych energią słoneczną pojazdów. Nie mogli? Nonsense. Dla chcącego nic trudnego, jak głosi ludowe przysłowie i nie ma powodu aby mu nie wierzyć.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi:

[Epimenides](#), [Paradoks](#), [przysłowia](#), [Russell](#), [Whitehead](#)

22. [Chrześcijański dylemat](#)

Wrzesień 19, 2008

Litość, pomyślał Kropotkin, jest ogólnie uznawana za cnotę. Kogoś, kto zasługuje sobie na miano bezlitosnego rzadko potrafimy obdarzyć naszą sympatią. Nawet gdy jesteśmy przekonani, że nie pragniemy łatwego pocieszenia, w głębi duszy trudno nam przyjąć, że miłosierdzie jest czymś zbędnym. Bądź zdrożnym. Przeświadczenie, że świat pozbawiony miłosierdzia wydałby nam się miejscem smutniejszym, bardziej pustym i na pewno o wiele mniej gościnnym, jest raczej powszechne.

Z drugiej strony jednak, litość jest przecież zbyt tam gdzie nikt nie cierpi. Czyżby

zatem obecność cierpienia była warunkiem nieodzownym do tego aby litość nie utraciła swej racji istnienia?

Kropotkin zastanawiał się do późnych godzin wieczornych. Po zapadnięciu zmroku za oknami dał się słyszeć wielki szum. Kropotkin wyszedł na balkon i zadarł głowę do góry.

Nad domem kołował powoli Anioł Stróż sąsiada ateisty.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty, brudnopis](#)

·Tagi: [Anioł](#), [Ateizm](#), [Kropotkin](#), [Litość](#)

23. [Hǎo Chī uczy się mówić “nie”.](#)

Wrzesień 23, 2008

Uczeń Hǎo Chī postanowił nauczyć się odmawiać. W tym celu udał się do Mistrza prosząc go o radę. Mistrz siedział nieruchomo w progu swego domostwa i wpatrywał się w

swoje dłonie. Powietrze drżało od upału, a z oddali dobiegało szczekanie psa.

- Wielokrotnie – odezwał się Hǎo Chī – próbowałem nauczyć się odmawiać. Nie potrafiłem tego jako dziecko, nie umiem tego również teraz. Za każdym razem, gdy muszę komuś powiedzieć „nie” ogarnia mnie poczucie bezradności i wstydu.

Mistrz przyglądał się dalej swym dłoniom powoli poruszając palcami.

- Nie potrafiąc nikomu odmówić cierpię – ciągnął Hǎo Chī – a cierpienie zakłóca mój spokój ducha. Czy mógłbyś powiedzieć mi co mam czynić aby pozbyć się cierpienia.

-Wykluczone – odparł Mistrz.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Zen dla zmęczonych,](#)

[brudnopis](#) ·Tagi: [Hǎo Chī](#), [nie](#), [Zen](#), [好吃](#)

24. Tęcza daltonisty

Wrzesień 26, 2008

Z punktu widzenia strusia chowającego głowę w piasek, rzeczywistość przestaje istnieć. W tym momencie, bezstronnego obserwatora nadchodzi przemożna ochota wymiany poglądów z przypadkowo przechodzącym przedstawicielem radykalnego konstruktywizmu. Przeważnie okazuje się jednak, że przedstawiciel wybrał inną drogę. I akurat nie przechodzi. Albo co gorsza pozostał w domu. Można i tak.

Dlatego lepiej porzucić pragnienia wiodące bezpośrednio w ślepią uliczkę zwątpienia, oddając się miast tego rozmyślaniom na jakikolwiek inny temat. Na przykład na temat jakości życia.

Jakość życia w rzeczywistości zdominowanej przez pozbawionych wyobraźni konformistów, bądź obdarzonych jej nadmiarem tchórzy, zdaje

się przypominać tęczę daltonisty.

Tęcza daltonisty jest piękna, niepowtarzalna i składa się z wielu kolorów, że wymienię tylko żółty, beżowy, różowy, marchwiowy, pomarańczowy oraz, nieomal bym przeoczył, fiolet biskupi.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [daltonizm](#), [jakość życia](#), [konstruktywizm](#), [pragnienia](#), [tęcza](#)

25. Tako rzecze...

Październik 7, 2008

Wieczór był pogodny i pomimo dobiegających z oddali odgłosów ruchu ulicznego – w miarę spokojny. Z tarasu willi położonej na południowych stokach Kwirynału roztaczał się imponujący widok na wieczne miasto. Lucius Tarquinius Mehta, czwarty wicecenzor siedemnastego departamentu w ministerstwie

literatury otarł pot z czoła, głęboko westchnął, sięgnął po naczynie z chłodnym winem rozcieńczonym wodą i ponownie pograżył się w lekturze. Po godzinie walki z rozwidlającymi się wątkami, pokonując narastające znużenie, dotarł wreszcie do końca tekstu. Z podobnym stylem nieprawdopodobnych bredni udających historyczną fantastykę miał do czynienia po raz pierwszy w swej długiej karierze. Autor, najwyraźniej pozbawiony jakichkolwiek hamulców, dał upust swej rozpasanej wyobraźni, podając nie tylko sugestywnie alternatywną wizję dziejów, lecz przekroczył również wszelkie granice zdrowego rozsądku, używając jej także jako tła do powikłanej i pozbawionej zarówno wszelkich walorów estetycznych jak też jakichkolwiek znamion prawdopodobieństwa krwawej oraz bezsensownej opowieści. Opowieść rozpoczyna się od ekspansji prowincjonalnej, żydowskiej sekty założonej przez niejakiego Chrestosa,

który uznał się za proroka. Po upływie trzech centurii szaleństwo religijne opanowuje całe imperium aby doprowadzić w końcu do wojen pomiędzy nawiedzonymi i skorumpowanymi a resztą ludzkości, zwanej z trudnych dla czytelnika do pojęcia powodów barbarzyńcami. Imperium rozpada się na wschodnie i zachodnie. Wieczne miasto upada, następują wieki mroku, zacofania, upadku wiedzy, sztuk i wyzynywania się wzajemnego na wszystkich trzech kontynentach. Odkrycie terytoriów transoceanicznych następuje z 800 letnim opóźnieniem, podobnie jak większość najprostszyc wynalazków takich jak druk, elektryczność, telekineza, leki trzeciej i czwartej generacji. Ludzkość, dziesiątkowana przez zarazy oddaje się niepojętym rytuałom i wojnom, których celem jest ustalenie jedynej słuszności obrządku tego samego boga. Europa staje się miejscem niekończących się rzezi przerywanych krótkimi okresami pokojowej

nędzy jak również płonących stosów, na których giną kobiety, przez autora zwane z niepojętych powodów czarownicami. Po upływie dziewiętnastu centurii od narodzenia Chrestosa, z niejasnych przyczyn nazywanego przez krwiożerczych wyznawców zbawicielem, ludzkość dokonuje szeregu technicznych wynalazków i natychmiast wykrwawia się w dwóch ogarniających świat wojnach tylko po to aby, uzbrojona po zęby, stanąć przed widmem zagłady planety.

Lucius Tarquinius Mehta, czwarty wicecenzor siedemnastego departamentu w ministerstwie literatury, jako czytelnik odczuwał oburzenie, odrazę i smutek. Podobnie jak każdy, kto cenne chwile swego życia poświęcił lekturze wytworu chorego umysłu, steku uwłaczających zdrowemu rozsądkowi aroganckich i pełnych pogardy dla ludzkiego geniuszu bredni. Jako urzędnik odpowiedzialny za ochronę moralności publicznej cesarstwa wiedział

jednak co należy uczynić i sięgnął bez wahania po pieczęć z napisem “non imprimatur”.

Po wieczornym niebie przepełnął powoli, kierując się w stronę lądowiska na przedmieściach wiecznego miasta, sterowiec z Niniwy. W przeciwnym kierunku odlatywał dostojnie megasterowiec udający się do Persepolis. Lucius Tarquinius Mehta, czwarty wicecenzor siedemnastego departamentu w ministerstwie literatury poczuł nagle zmęczenie i pomyślał o zbliżających się letnich wakacjach. Jego wzrok powędrował w stronę zdobiącego nadgarstek ciekłokrystalicznego kalendarza. Był dopiero czerwiec. Czerwiec 2712 roku. Od narodzenia Zaratustry

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Alternatywy](#), [ludzkie szaleństwo](#), [prawda historyczna](#), [Zaratustra](#)

26. Drogowskaz

Październik 15, 2008

Słońce powoli zachodziło, a z dolin wypełzały wieczorne mgły. Mistrz i uczeń siedzieli obok siebie wsłuchując się w milczeniu w przedwieczorną ciszę.

- Za każdym razem– powiedział Hǎo Chī – gdy zadaję Ci pytanie, dajesz mi odpowiedź, która rodzi nowe pytania.

Mistrz pogłębił swe milczenie.

- Jakie zatem pytanie– ciągnął Hǎo Chī – muszę Ci zadać, aby uzyskać odpowiedź,, która byłaby drogowskazem w drodze ku doskonałości?

Mistrz spojrział na ucznia i rzekł:

- Szukasz doskonałości w moich odpowiedziach na Twe pytania? Czy spoglądając w lustro spodziewasz się ujrzeć odbicie mojej twarzy? Czy widziałeś kiedyś ślad, jaki pozostawiają na niebie przelatujące ptaki?

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Zen dla zmęczonych, brudnopis](#) · Tagi: [Drogowskaz](#), [szukanie doskonałości](#), [Zen](#)

27. Z pamiętnika idioty. La vida es...

Październik 24, 2008

Kropotkinowi śniło się że śpi. Mimo że sen nie sprawiał mu najmniejszej przyjemności, nie potrafił się jednak obudzić. Nagle w jego śnie pojawił się nie wiadomo skąd żółw uciekający przed Achillesem. Przegalopowali obok śpiącego Kropotkina i zniknęli za grzbietem pobliskiego pagórka.

- Zdumiewające – mruknął do siebie przez sen Kropotkin i przewrócił się na drugi bok.

- Zdumiewające? – zdziwił się Pedro Calderón – nie widzę w tym niczego zdumiewającego mój drogi Sigismundo.

- Nie nazywam się Sigismundo – zaprotestował Kropotkin przez sen – i zaraz się obudzę.

Ale się nie obudził. Sen nie chciał się skończyć, mimo że leżąca obok niego kobieta usiłowała przeciągnąć jak największą ilość kołdry na swoją stronę.

- A w ogóle to kim pani jest? I skąd się pani tu wzięła? – zapytał przez sen zbaraniały Kropotkin – sądziłem że to moje łóżko!

- Nie dyskutuj – ucięła nieznajoma – tylko pogłaszcz mnie po udach! Wiesz przecież, jak bardzo to lubię.

Czy tego nie było przypadkiem już u Michaux?

– zastanawiał się gorączkowo Kropotkin, którego powoli zaczęła ogarniać panika.

- Nie było – powiedział po chwili zastanowienia Pedro Calderón.

- Mów pan za siebie – ofuknął go Michaux.

- Ależ Henri, nie zapominaj o zasadach dobrego wychowania – napomniała karcącym tonem kobieta.

W tym śnie zaczyna się robić tłoczno, pomyślał zrezygnowany Kropotkin.

Spoza grzbietu pagórka wyłonił się Achilles. Za nim, najwidoczniej usiłując go dogonić, biegł żółw.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty, brudnopis](#)

·Tagi: [Kropotkin](#), [Sen](#), [de la Barca](#), [Michaux](#), [Achilles](#), [La Vida es sueño](#), [Surrealizm](#)

28. [Odnaleziona zakładka. Z pamiętnika idioty \(5\)](#)

Listopad 6, 2008

Komm, lass uns reden, solange wir reden, sind wir nicht tot.

Canetti, niezależnie od tego co można się o nim dowiedzieć od biografów jego żony, to był jednak całkiem rozsądny gość. Chociaż z drugiej strony niezła świnią. A zatem mówisz

mi, że chcesz porozmawiać. Czy aby na pewno? Ludzie tak mało ostatnio ze sobą rozmawiają, że istotnym wydaje się zastanowienie nad przyczyną takiego stanu rzeczy. Niektórzy gorący zwolennicy rozmowy pragną się jedynie wypowiedzieć. Inni znów szukają nieustannie kogoś kto ich wysłucha. Jedni i drudzy, szukając rozpaczliwie słuchacza, zapominają o tym, że rozmowa jest sztuką aktywnego słuchania. Jest sztuką zadawania pytań połączoną z gotowością wysłuchania odpowiedzi. Czy w świecie przekrzykujących się zwolenników świętej racji, rozumianej jako racja własna, ktoś jeszcze o tym pamięta?

Tak czy owak – pomyślał Kropotkin – dentysta to wymarzony zawód dla gaduły nie znoszącej gdy mu się przerywa.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Kropotkin](#), [Canetti](#), [zakładka](#), [rozmowa](#), [milczenie](#), [dentysta](#)

29. [Czy należy kochać kobiety?](#)

Listopad 14, 2008

Judeo-greckie bądź łacińskie fundamenty naszej cywilizacji tak bardzo nam się spodobały, że przyznając się do dziedzictwa, wypinamy z dumą pierś, mamrocemy kilka nazwisk filozofów, wspomnimy kolumnę jońską, twierdzenie Pitagorasa lub jeszcze ewentualnie rzymskie Akwedukty i chętnie przechodzimy do porządku dziennego nad najokrutniejszymi żartami i szyderyczym rechetem historii odziedziczonym z dobrodziejstwem inwentarza.

Dzisiaj będzie o kwestii kobiecej.

Kwestia kobieca zostaje dokładnie naświetlona już w Dekalogu. W zależności od tego czy zaufamy Księdze Wyjścia czy też raczej Księdze Powtórnego Prawa, możemy sobie

wybrać jedną z dwóch równie zabawnych wersji 10-ego Przykazania.

Wg Księgi Wyjścia brzmi to tak:

“Nie będziesz pożądał domu bliźniego twego. Ani żony bliźniego twego, ani jego niewolnika, ani jego niewolnicy, ani jego wołu, ani jego osła, ani żadnej innej RZECZY, która należy do bliźniego twego.”

Miłośnicy Księgi Powtórzonego Prawa obarczeni zostają dodatkowo nakazem pozbycia się żądź, których obiektem było by pole bliźniego. Błędną jednak wydaje się interpretacja, iż kobiety bez konieczności posiadania wyrzutów sumienia mogą sobie dowoli pożądać męża bliźniej swojej.

Zrównanie kobiety z wołem, osłem i innymi dobrami doczesnymi nie pozostawia zbyt wiele miejsca na liberalną wykładnię.

W Biblii doszukać możemy się również początków myśli leżącej u podstaw nowoczesnego prawa rozwodowego: obok

ukamieniowania cudzołżnicy przewidywane były inne, łagodniejsze formy jak np. wypędzenie małżonki na pustynię. Wobec istniejącej wówczas infrastruktury rezultat był jednak łatwy do przewidzenia.

Z łagodnych obyczajów kultury helleńskiej wybierzemy sobie tendencyjnie okres demokracji ateńskiej bo pojawia się tutaj pewna nowatorska ciekawostka. Powodem do odtrącenia żony, oprócz jej złośliwej bezdzietności, był również fakt że dała się zgwałcić lub uwieść. Wówczas dzieci pozostawały przy mężu i przeważnie stojąc z tatką na progu domostwa ciskały kamieniami, starając się trafić szybko oddalającą się mamusię.

Studiując rzymskie Prawo XII Tablic możemy natomiast być mimowolnymi świadkami cywilizacyjnego postępu. Romulus pozwolił mężowi odtrącić żonę, o ile “popelniła cudzołżstwo, chciała go otruć lub sporządziła

falszywy klucz” Zapomniał jednakże dać żonie prawo odtrącenia męża i to niezależnie od tego co mąż sporządził albo czego zaniechał.

Odtrącona żona miała jednakże prawo odwołać się do niezależnego sądu składającego się z kolegów męża, który to sąd, po wysłuchaniu oświadczenia pragnącego się pozbyć ciężaru małżonka wydawał sprawiedliwy wyrok.

Czy należy kochać kobiety? Tak, za niebotyczną, niewyobrażalną cierpliwość, którą wykazały w ciągu ostatnich 6000 lat.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [dziedzictwo kulturowe](#), [Historia](#), [prawa kobiet](#), [Rozwód](#)

30. O przyzwoitości

Listopad 18, 2008

Tatuś niegdyś cenionego, a nawet powszechnie czytanego poety zwykł mawiać: „Kiedy nie

wiesz, jak się zachować, zachowuj się przyzwoicie”. Jakże lubimy takie okrągłe, porażające swą prostotą zdania. Wpisujemy je do naszego wewnętrznego sztambucha, polerujemy szmatką dobrego samopoczucia i wiedząc nareszcie swoje, już jako lepsi ludzie, ruszamy przed siebie z troszeczkę bardziej podniesionym czołem, niosąc nieoświeconym kaganek oświaty. To co ładne i efektowne zasługuje na szczególną uwagę. Pochylmy się zatem nad cytatem-drogowskazem z należą mu uwagę i troską.

Przyzwoitość jest pojęciem jedynie na pierwszy rzut oka łatwym do zdefiniowania. Potocznie kojarzona ona bywa z postępowaniem zgodnym z hierarchią powszechnie uznanych i obowiązujących akurat wierzeń i wartości. Aby nie pozostać gołosłownym, posłużmy się najlepiej ogólnie znanymi przykładami z historii powszechnej. Bezsensowne marnotrawstwo było na przykład – i jak się

wydaje słusznie – od czasów zamierzchłych powszechnie uznawane za nieprzyzwoite. Dla takiego dajmy na to Attylli, aka Bicz Boży, nader przyzwoitym było zastąpienie bezsensownego mordowania kobiet i dzieci o wiele bardziej spektakularnym i przynoszącym jego otoczeniu uciechę rozrywaniem końmi. Z punktu widzenia Girolamo Savonaroli natomiast, należało uchronić dobrych chrześcijan przed widokiem gołych bab namalowanych na płótnie, rozpasaniem wynikającym z mycia zębów oraz noszenia wygodnych ubrań albo co gorsza biżuterii. Dostrzegł to nawet Boticelli, który do płonącego na Piazza de Signoria stosu ochoczo dorzucił swe najpiękniejsze obrazy. W swym dążeniu do przyzwoitości absolutnej, dobry ten i skromny mnich, nie ugiął się konsekwentnie aż do swego niewesołego końca, ani szykanom kościelnym ani świeckim. Nieprzeliczone były zastępy rycerzy przyzwoitości. Przedsiębiorczy

angielscy żeglarze, pochylając się z troską nad ciężkim losem amerykańskiego farmera, nie pozostawali obojętni, lecz jako dobrzy chrześcijanie, mimo ewidentnych trudów i grożących niebezpieczeństw, dbali przez 200 lat z okładem o urozmaicenie etniczne Nowego Świata, przewożąc dzielnie przez ocean materiał ludzki pozyskany u zachodnich wybrzeży Afryki. Należy zaznaczyć, że materiał nie tylko nie doceniał troski o postęp cywilizacyjny, lecz unikał przewiezienia i w swej krnąbrności masowo umierał pod pokładem nie bacząc na straty jakie ponosili biali dobroczyńcy. Jednym z najbardziej znanych nowożytnych zwolenników przyzwoitości był np. niejaki Jean Jacques Rousseau. Nie mogąc znieść autorytarnych i opartych na przemocy metod wychowania dzieci stosowanych przez współczesnych mu, nieoświeconych jeszcze bliźnich, postanowił poświęcić swój cenny czas na stworzenie dzieła

poświęconego wychowaniu zgodnemu z naturą, które to dzieło, nie tylko przeszło do historii ludzkiej przyzwoitości, lecz po dziś dzień uznawane jest za podstawę nowoczesnej pedagogiki. Ponieważ własne rozliczne dziatki przeszkadzały by mu w pracy twórczej, polecił żonie oddać je po urodzeniu do przytułku, gdzie zgodnie z panującą wówczas modą zaraz sobie zmarły. I tak można w nieskończoność, aż po dzisiejsze czasy.

Przeświadczenie, że zawsze mamy wybór pomiędzy dobrem a złem, jest co prawda nie pozbawione pewnego uroku, ale jakże naiwne. Przeważnie wybieramy pomiędzy złem które rozumiemy a złem którego nie potrafimy dostrzec. Wszystko wskazuje na to, że rzecz ma się analogicznie również z dobrem.

I tutaj możemy uciec się do bardziej obrazowej metafory. Przeważnie dokonujemy wyboru pomiędzy interpretacją szóstego rozdziału Codex Seraphinianus i tekstu zawartego w

Manuskrypcie Woynicha. Ze szczególnym uwzględnieniem 32 stron tego ostatniego. Ale to już zupełnie inna historia i zgodnie z wpojonym poczuciem przyzwoitości oszczędzimy jej zmęczonym zapewne już czytelnikom tzn. będziemy nią zanudzać kiedy indziej.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Attila](#), [banał](#), [Codex Seraphinianus](#), [niewolnictwo](#), [przyzwoitość](#), [Rousseau](#), [Savorola](#), [Słonimski](#), [Voynich Manuscript](#)

31. [Hǎo Chī i płatek śniegu](#)

Listopad 25, 2008

Wieczorem ucichł wiatr i zapanowała cisza. Gdy wydawało się, że nic ważnego nie może się już wydarzyć, z nieba, lekko wirując, spadł płatek śniegu.

- Czy jeden płatek śniegu – pomyślał Hǎo Chī –

to już wystarczająco dużo, aby móc powiedzieć, że spadł śnieg? A jeśli nie, to ile płatków śniegu jest koniecznych, aby śnieg mógł zostać nazwany śniegiem? I czy to samo nie dotyczy kropel deszczu? Podmuchów wiatru?

Hǎo Chī zapragnął podzielić się swymi rozterkami z Mistrzem, w porę jednak przypomniał sobie jego słowa, że “dosyc” to zawsze mniej, niż nam się wydaje, ale więcej, niż inni sądzą, że jest nam potrzebne.

Nad doliną zbierały się chmury spokojnego smutku.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Zen dla zmęczonych](#),
[brudnopis](#) · Tagi: [dosyc](#), [Hǎo Chī](#), [Zen](#), [好吃](#)

32. [Dylemat Schrödingera](#)

Grudzień 4, 2008

Sen był ciężki, męczący, pełen majaków i trudnych do rozpoznania wizji. Przebudzenie zaś powolne, trudne. W końcu Schrödinger otworzył oczy, po to jedynie, aby przekonać się że pełen półmroku pokój przedzielony został kratą na dwie równe połowy.

- Dziwne – wymamrotał -gdy zasypiałem jeszcze tego nie było.

Usiadł na łóżku i rozejrzał się dokładniej. W czasie gdy spał zaszły najwidoczniej istotne zmiany. Pokój nie miał drzwi ani okien. Zniknęły znajome sprzęty. Trudno było również dociec skąd dochodzi rozproszone światło.

Gdy wzrok wreszcie oswoił się z półmrokiem, zauważył, że wbrew pozorom pomieszczenie nie było całkiem puste. W niedostępnej mu, znajdującej się poza kratą części, widoczny był duży, szklany pojemnik pełen przezroczystej

cieczy. Nad pojemnikiem, zawieszony na cienkiej linie, unosił się stalowy ciężarek. Linka połączona była z urządzeniem przypominającym swym wyglądem licznik Geigera-Müllera. Obok urządzenia widoczny był przytwierdzony do ściany metalowy pojemnik. Całość wyglądała raczej niepokojąco i coś Schrödingerowi przypominała, chociaż nie mógł sobie akurat w tym momencie uzmysłwić co.

- Czy ja przypadkiem – pomyślał – dalej jednak nie śnię? Bo jeśli nie, to wygląda na to, że ktoś zrobił mi niezłe świństwo.

Gdzieś z zewnątrz, zza ściany, dobiegło miauczenie kota.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [dualizm](#), [ironia](#), [Schrödinger's cat](#), [Sen](#), [teoria poznania](#)

33. [Hagiografia: Sw. Mikołaj z Miry](#)

Grudzień 7, 2008

Postać nader interesująca, ten urodzony w Patarze Nicolaos.

Wyświęcony na księdza przez swego własnego stryjka, biskupa o takim samym imieniu, był bez wątpienia postacią historyczną, choć na beatyfikację zasłużył sobie szeregiem czynów równie nieprawdopodobnych jak i niedorzecznych. Czegóż tam nie ma, cudowne rozmnożona żywność, wskrzeszanie zmarłych, uratowani młodziankowie, bryły złota wrzucane po kryjomu przez okno w celu ratowania czci dziewic, uciszanie burz, zmiana kierunku wiatrów, straszenie cesarzy po nocach. Do cudów zaliczono nawet fakt, że mały Nicolaos potrafił jako niemowlę w trakcie kąpieli stać samodzielnie w wannie. Barwna i uwielbiana przez współczesnych postać. Zawód wykonywany: biskup, zawód wyuczony:

cudotwórca. Wiara w cuda, w rodzaju tych, których sprawcą miał być nasz Nicolaos jest co prawda godna pozazdroszczenia lecz trudna do bezkrytycznej akceptacji.

Zajmijmy się zatem tym co pozostawili historycy. Nie zostawili wiele. To co wiemy o Mikołaju zawdzięczymy mnichowi Andreasowi z Krety, który opisał udział Nicolaosa, podówczas już biskupa Mirny, niespecjalnie atrakcyjnej miejsciny w Azji Mniejszej, w pierwszym soborze w Nicei. Jest Rok Pański 325. Głównym powodem zwołania soboru przez uważającego się po roku 313 za zwierzchnika chrześcijan cesarza Konstantyna I (pomysł że głową kościoła zawsze był arcybiskup Rzymu pojawił się, wbrew obecnym sugestiom katechetów, trochę później) była różnica zdań pomiędzy duchownymi jakże młodego wówczas jeszcze kościoła w sprawie natury Trójcy Świętej. Problem przeszedł do historii pod nazwą kontrowersji ariańskiej i

dotyczył w dużym uproszczeniu raczej kluczowego zagadnienia boskiej natury Jezusa, jak również wyobrażeń dotyczących Ducha Świętego. Ponad 2000 duchownych, w tym 318 biskupów klóciło się na koszt Konstantyna zażarcie o to, czy Bóg jest tylko jeden czy też jest raczej trojakię natury, jak również czy Jezus zawsze już był Bogiem, czy też dopiero mógł być za takiego uważany od momentu przyjęcia przezeń chrztu. Naprzeciw siebie stały dwa nieprzejednane stronnictwa głęboko przekonane o wyższości swej racji, pomińmy szczegóły, być może z wyjątkiem jednej ważnej uwagi, że – jeśli wierzyć kronikarzom – w porównaniu z atmosferą soboru, każde pomeczowe spotkanie kibiców dwóch nieprzyjaznych sobie drużyn piłkarskich może spokojnie uchodzić za kulturalne oraz pełne przyjaznego spokoju wydarzenie. I tu wchodzi na arenę dziejów nasz krzepki biskup Nicolaos. W trakcie trwających do

dwóch miesięcy sporów i kłótni dochodzi do tumultu połączonego z rękoczynami. Rzucając się z pięściami na Ariusza, głównego ideologa zgromadzonych wokół Euzebiusza z Nikomedii Arian i waląc go (nie wstydźmy się użyć tego sformułowania) po pysku, przechyla szalę zwycięstwa na korzyść stronnictwa Patriarchy Alexandrii. Święta Trójca w znanej nam obecnie postaci zwycięża, zwolennicy prymatu jedyne Boga wszechmogącego wycofują się na z góry upatrzone pozycje, aby w następnym stuleciu utracić wszelkie znaczenie i wpływy, a na koniec zostać przez zwyciężkich braci w wierze obłożeni ekskomuniką.

Bardzo prawdopodobne, że to właśnie Nicolaosowi z Miry mamy do zawdzięczenia obecny kształt katolickiej doktryny dotyczącej natury Trójcy Świętej. Jak również wzmożone obroty przemysłu cukierniczego w przedzień 6 grudnia, dnia w którym zmarł Nicolaos, nam bliżej znany jako Święty Mikołaj. Cudotwórca i

prawdziwy człowiek czynu.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#) · Tagi: [Hagiografia](#), [Nicolaos](#), [Sw. Mikołaj](#)

34. [Z pamiętnika idioty. Flow.](#)

Grudzień 11, 2008

Dzień, w którym Kropotkin postanowił stworzyć dzieło wiekopomne, zaczął się podobnie jak większość wszystkich innych dni. Kropotkin wstał, wziął długi prysznic, ubrał się i zjadł owsiankę. Pomysł stworzenia dzieła zaczął krystalizować się podczas spożywania owsianki aby osiągnąć stan niezłomnego postanowienia w trakcie picia porannej kawy. Kropotkin poczuł jak ogarnia go radosne podniecenie i zamknął drzwi na klucz i na wszelki wypadek dodatkowo zaryglował.

Natchnienie, pomyślał, jest stanem rzadkim i dlatego cennym. Tym bardziej, gdy pojawia się w sprzyjających okolicznościach. Natchnienie jest stworzeniem płochym.

Zdanie to spodobało się Kropotkinowi do tego stopnia, że postanowił uwiecznić je w specjalnie w tym celu nabytym niegdyś notatniku. Niestety nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, gdzie go schował.

- W komodzie – mruknął – ani chybi w komodzie.

Ale w komodzie notatnika nie było.

- Pewnie jest w kieszeni palta – pomyślał – albo w kuferku na szafie?

Notanika nie znalazł jednak ani w kieszeni palta, ani w kuferku. Nie było go również w szufladzie biurka, w kieszeniach marynarki ślubnej, w rękawie ubranka noszonego po raz ostatni do pierwszej komunii. Nie było go w szafce z lekarstwami ani w futerale na

skrzypce.

- Do worka na kije do krykieta nie mam nawet zamiaru zaglądać – powiedział stanowczo sam do siebie.

Była to mądra decyzja zważywszy, że worek podarował przed laty domokrażcy.

Przygnębiony ilością miejsc, w których notatnika nie było, Kropotkin spędził resztę dnia na bezowocnych poszukiwaniach, odnajdując przy okazji wiele od dawna zaginionych przedmiotów, w tym również niektóre, których istnienia nawet nie podejrzewał.

Pod wieczór, uświadomiwszy sobie, że w międzyczasie zapomniał co chciał w zagubionym notatniku zapisać, usiadł wyczerpany na stojącym przy biurku krześle. Jego wzrok padł na leżącą na środku blatu czystą kartkę papieru. Po chwili namysłu, ujął pióro i zaczął pisać:

Szanowny Panie Csikszentmihalyi!

W pierwszych słowach mego listu pragnę zaznaczyć, że nie jestem człowiekiem ordynarnym. Niemniej jednak, pragnę Panu zaproponować, aby pocałował mnie Pan w dupę.

Za oknem zapadał zmierzch. Nad domami, głośno kracząc, przelatywały jak co wieczór jakieś szkaradne ptaki, kierując się w stronę skutych mrozem podmiejskich lasów. Dobrze im tak.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Natchnienie](#), [Mihalyi Csikszentmihalyi](#), [wrony](#), [Kreatywność](#)

35. [Magia dla początkujących](#)

Styczeń 5, 2009

Niezależnie od tego, czy dzielimy

przeświadczenie Ramóna Gómeza de la Serny, że dowodem istnienia centaurów jest fakt, iż tyle obłoków je przypomina, myślenie magiczne wlecze się za nami od lat jak nie przymierzając krowa za tramwajem. Podobno wiemy, że Barrhus Skinner się mylił, niby przetrawiliśmy drugie a szczególnie trzecie prawo A.C. Clarce'a, nawet pozwoliliśmy na to, aby Castaneda zasłużenie pokrył się kurzem.

Z Fritjofa Capry przestaliśmy się śmiać przed laty, bo w końcu jak długo można. Poradniki sławiące moc myślenia pozytywnego spoczywają na dnie starego kufra z uszkodzonymi zawiasami a wywody Richarda Feynmana dotyczące Nauki spod znaku kultu Cargo zajmują poczesne, widoczne miejsce na Najważniejszym Regale.

I tylko nadal nikt nie potrafi nam wyjaśnić, dlaczego hoemopatyczne krople pomagają chemikowi, który doskonale wiedząc, że nie zawierają żadnej aktywnej substancji, z

powodzeniem stosuje je od lat aby pozbyć się kataru.

Ponadto, nauce znany jest fakt, że ilość ateistów na pokładzie samolotu zmniejsza się proporcjonalnie do wzmagania się kołysania spowodowanego powietrznymi turbulencjami.

Szczęśliwego Nowego Roku!

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [A.C. Clarce](#), [Barrhus](#), [Feynman](#), [homeopatia](#), [myślenie magiczne](#)

36. Syn marnotrawny. Historia z morałem.

Styczeń 12, 2009

Streszczenie poprzednich odcinków:

Pewien sympatyczny i pracowity obywatel posiada dwóch synów. Młodszy, wiedziony

brakiem rozsądku i raczej nieuzasadnionym przekonaniem, że życie może być przyjemniejsze jeśli tylko weźmiemy sprawy we własne ręce, prosi ojca o przynależną mu część majątku i opuszcza dom rodzinny.. Pozbawiony ojcowskiego nadzoru, żyje ponad stan roztrwaniając posiadane zasoby finansowe w sposób przyjemny czyli na napoje wyskokowe i dziwki zwane również nierządnicami. Próba zrobienia kariery jako świniopas spala na panewce, system kredytowy jest jeszcze w powijakach, niedostatek zaczyna być coraz bardziej dokuczliwy. Stanąwszy przed mało atrakcyjnym wyborem pomiędzy śmiercią z niedożywienia a powrotem do domu w charakterze skruszonego potomka, decyduje się na drugi wariant. Ojciec, nie posiadając się z radości, nie tylko rezygnuje z możliwych represji i pouczeń lecz również urządając wystawny i kosztowny bankiet daje otoczeniu niedwuznacznie do zrozumienia, że

postępowanie młodszego potomka jest jego sercu bliższe. Zrozumiałe oburzenie starszego syna Ojciec kwituje nakazem by cieszył się z powodu brata, który „był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się”.

Następnego dnia, po wyczerpującej nocy spędzonej na gonitwie myśli, starszy syn zażądał wydania przysługującej mu części majątku. Zapakowawszy dobra ruchome na osły juczne, muły i wielbłądy udał się do pobliskiego miasta, wynajął pokój w gościńcu i rozpoczął życie wystawne oraz pozbawione trosk o dzień jutrzejszy. Ponieważ przepijanie i przejadanie oszczędności w towarzystwie kobiet lekkich obyczajów okazało się być bardziej uciążliwe niż początkowo sądził, postanowił oddać się bez reszty hazardowi. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy zamiast przegrać wszystko co do ostatniego grosza, rozbił w miejscowej speluncie jackpot

puszczając właściciela z torbami. Będąc nowym posiadaczem przybytku przyglądał się zrozpaczony rosnącemu z dnia na dzień stanowi konta. Nie wiedząc co począć z nagłym i nieoczekiwanym bogactwem rozpoczął pożyczać pieniądze na procent jak również na prawo i lewo preferując najmniej solidnych współobywateli i przedsięwzięcia obarczone największym ryzykiem. Po upływie roku okazało się jednak, że pieniędzy nie ubywa lecz wprost przeciwnie. Wkrótce był najzamożniejszym człowiekiem prowincji i utraciwszy ostatecznie nadzieję na zostanie biedakiem udał się skruszony do domu rodzinnego. Zgodnie z oczekiwaniami Ojciec sprzął go po pysku, nazywając nieudacznikiem, łamagą i swym największym nieszczęściem. W nocy młodszy syn długo nie mógł zasnąć przewracając się z boku na bok...

c.d.n.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Syn marnotrawny](#). [Ewangelia](#). [Happy End](#).

37. Common knowledge vs. conventional wisdom. Porobiło się.

Styczeń 16, 2009

Skąd wiemy to co wiemy? I skąd wiemy, że można polegać na tym, co przecież musi być prawdą, bo „wszyscy o tym wiedzą”?

Chętnie wierzymy, że świat jest dokładnie taki jak nam opowiedziano że jest. Dokładnie taki, jaki chcielibyśmy aby był. Taki jaki kochamy bądź jakiego się obawiamy. Wierzymy, że jedzenie marchwi poprawia wzrok (nie poprawia), spożywanie szpinaku przez dzieci jest pożyteczne bo tenże zawiera dużo żelaza (nie jest i nie zawiera), szkoci chętnie grają na kobzie boć to ich narodowy instrument (nie grają), że Graham Bell wynalazł telefon (nie wynalazł) a Fleming odkrył penicylinę (nie

odkrył). Wierzymy (na szczęście nie wszyscy), że „kto wcześniej wstaje temu Pan Bóg daje”, że „oszczędnością i pracą narody się bogacą”, że Ameryka została nazwana na cześć Amerigo Vespucci, James Cook odkrył Australię a Magelan jako pierwszy opłynął ziemię dookoła. Ze francuski artylerzysta odstrzelił nos sfinksow, a Hitler był wegetarianinem. Ze „muzyka łagodzi obyczaje”, a wieloryb jest największym zwierzęciem na ziemi.

I tak można w nieskończoność. Albo prawie. Niezliczone są przykłady tego, co zdumiewająca większość bliźnich uważa za oczywiste fakty. I jakże nikłą jest nadzieja, że świadomość, jak kruche bywają fundamenty, na których budujemy konstrukcje zwane „własnymi poglądami” chroni przed podążaniem śladami błędzących. Nie chroni. Wlokąc za sobą balast zużytych banałów i bezużyteczną półwiedzę, nazywając mieszaninę półprawd i wynikających z ignorancji

przesądów wykształceniem, wskazujemy często palcem na tych co byli przed nami, wyśmiewając ich naiwne wyobrażenia o tym jaka naprawdę jest rzeczywistość, nauka, historia. Nazywamy ich wiedzę przesądami a naiwną wiarę w prawdziwość kulturowych mitów złudzeniami ignoranta.

Wieczorem, krótko przed zaśnięciem, próbując sobie przypomnieć czy Kubuś Puchatek mógł znać Kubusia Fatalistę wywieszamy w końcu białą flagę zmęczenia, skręcamy w boczną uliczkę myśli trywialnych bądź nieprzyzwoitych i zasypiamy wreszcie spokojnie śniąc o wygranej na loterii, życiu szczęśliwym i spokojnym bądź dupie Kasi-Maryni. Czy jakoś tak. Dobranoc, pchły na noc.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Bell](#), [Bertrand Russell](#), [Dupa Kasi-Maryni](#), [Fleming](#), [Marchew](#), [Szpinak](#), [telefon](#), [Vespucci](#), [Wieloryb](#), [złudzenia](#)

38. [Ameryka. Historia pewnego zabawnego nieporozumienia.](#)

Styczeń 20, 2009

A zatem zaryzykujemy twierdzenie, że w czasach powszechnego dostępu do informacji, równie powszechny jest dostęp do sądów błędnych, popularnych pomyłek, nieporozumień wynikających z czyjejś dezynwoltury, złej woli, niedbalstwa bądź ignorancji. Raz popełniona pomyłka może zostać skorygowana, równie dobrze może zostać powielona siedem trylionów razy uzyskując rangę prawdy objawionej, historycznego faktu lub prawa natury. Zrodzona przez górę mysz rośnie spokojnie do pokaźnych rozmiarów i jeśli damy jej wystarczająco dużo czasu i wystarczającą ilość gorliwych pomocników wyposażonych w przyrząd do klikania może przerosnąć górę.. Pierwszym

odruchem użytkownika internetu skonfrontowanego z sądem kontrowersyjnym a rozpowszechnionym jest sprawdzenie (naturalnie przy pomocy wyszukiwarki) jak się rzecz ma naprawdę. Osąd, czy rezultat takiego postępowania można uznać za smutny czy też śmieszny, pozostawmy czytelnikowi.

Rok 1492 zapisał się w pisanej dużą literą Historii jako rok odkrycia Ameryki przez pana o nazwisku Cristóbal Colón zwanego w naszym pięknym kraju Kolumbem. Wielkie to było dokonanie i wielkości jego nie umniejsza fakt, że Colón odkrył kontynent zamieszkały od czasów późnego pleistocenu. Po prostu odkrył kontynent razem z potomkami tych, którzy odkryli go przed nim, ale najwyraźniej niesłusznie i w sposób niezasługujący na nasz szacunek lub uznanie. Sam Kolumb udał się w podróż jeszcze trzy razy po czym zmarł w przeświadczeniu, że niczego nie odkrył lecz jedynie zgodnie ze swym zamiarem dotarł do

Azji, której odkrywać nie trzeba było bo już była od pewnego czasu odkryta. Wyposażeniem drugiej i trzeciej ekspedycji Kolumba zajmował się niejaki Alberico Vespucci: florentyński kupiec, autor rozlicznych listów i jak łatwo udowodnić notoryczny kłamca, oszust i mitoman. Chociaż po raz pierwszy postawił swą nogę na pokładzie w roku 1500 jako uczestnik wyprawy Pinzona, w napisanym 1504 roku i skierowanym do Pierro Soderiniego liście przypisuje sobie zasługę odkrycia kontynentu amerykańskiego w roku 1497 co jest kłamstwem nieudolnym, jako że w tymże roku zajęty był przygotowaniem do trzeciej wyprawy Kolumba. Korespondencja, teksty umów i pokwitowania dowodzą iż rok 1497 spędził w Seville. W roku 1504 po raz pierwszy podpisuje się imieniem Amerigo a czasem Amerigo. Błędy są zrozumiałe jeśli uświadomimy sobie, że do nowego niepospolitego imienia nasz wesoły Alberico

musiał się przyzwyczaić.

Cofnijmy się jednak do roku 1497. Rok ten był pamiętny ze względu na wyprawę odkrywczą niejakiego Johna Cabota. Pomysłodawcą był król Henryk VII Tudor (tatuś tego Henryka, któremu błędnie przypisuje się sześć żon, ale o tym kiedy indziej) a sponsorem, organizatorem i finansistą niejaki Richard Ameryk, walijski arystokrata, kupiec i w ogóle sympatyczna postać. Wyprawa dotarła do wybrzeży dzisiejszej Kanady, pierwsze mapy odkrytej linii brzegowej od Nowej Szkocji po Nową Funlandię były właśnie jej skromnym wynikiem. To między innymi te właśnie mapy posłużyły później geniuszowi renesansowej kartografii, Martinowi Waldseemuellerowi jako pomoc, gdy podjął się swego wiekopomnego dzieła, stworzenia pierwszej mapy całego podówczas znanego świata. Mapa była piękna, wykonana techniką drzeworytową i bogato zdobiona. Pokazywała ona, obok chudego

niebywale kontynentu zwanego Mundus Novus również w swej górnej części osoby Ptolomeusza (tak jak autor uważał że wyglądał) oraz niejakiego A. Vespucci (tak jak autor sądził, że na to zasłużył). Na dole widoczny jest napis z którego wynika, że autor dzieła uwzględnił, obok dokonań ptolemeańskich również osiągnięcia i wiekopomne odkrycia autora aktualnego bestsellera pt. „Quattor Amerjici Vespucci Navigatione“ (Cztery podróże Amerigo Vespucci, książki przetłumaczonej na 37 języków i z niejasnych powodów uznanej wówczas za dzieło naukowe a w dodatku wiarygodne. Autor: Amerigo Vespucci. Pozycja o tyle ineteresująca, że zawierała między innymi twierdzenie autora, że to on właśnie jest odkrywcą Ameryki. Pięćdziesiąt lat po śmierci obu podróżników, potomkowie Kolumba musieli się spotkać z potomkami Vespucciego przed sądem aby sprostować przynajmniej część zawartych w

niej niewiarygodnych bredni florentyńskiego megalomana i bazarza
Jednakże w 1507 roku dziecko zostało niestety wylane niechcący wraz kąpielą i nic na to nie można było już poradzić. Mapa Waldseemuellera krążyła po Europie w ponad tysiącu egzemplarzy, podobizna florentyńskiego megalomana utrwaliła się do tego stopnia w świadomości i kolektywnej pamięci współczesnych, że odkreślenie oczywistej pomyłki nie było już możliwe. Bezpośrednia sugestia, jakoby mógł istnieć związek pomiędzy nowym imieniem Alberico Vespucciego a nazwą nowego kontynentu pojawiła się po raz pierwszy w towarzyszącej Mapie Świata broszurze noszącej tytuł „Cosmographiae introductio”. Jej autorem był najprawdopodobniej partner Waldseemuellera, Martin Ringmann. W oparciu – jak sam przyznaje – o lekturę i ocenę wymienionego powyżej bestsellera, w którym autor przypisał

sobie zasługi dotyczące wszystkich nieomal odkryć dokonanych w Nowym Świecie redukując konkurentów do sławy – włącznie z Kolumbem – do roli swych pomocników, Ringmann snuje rozważania czy spotykana na coraz liczniejszych mapach nazwa America nie może przypadkiem być wynikiem chęci uczczenia wielkiego podróżnika i genialnego odkrywcy. Przyznaje jednak w miarę uczciwie, że rozważania na ten temat mają charakter czysto spekulatywny. Sam Waldseemueller, gdy dotarły do niego wieści o raczej wątpliwej wiarygodności relacji Vespucciego, zastępuje w kolejnych wydaniach swego dzieła nazwę America bardziej neutralnym określeniem Terra Incognita. Na próżno, ogół już wie lepiej. I to nieomal wszędzie. Odmienne poglądy utrzymują się jedynie w Bristolu i – o dziwo – w nikaraguańskiej prowincji nazywanej przez Majów już w czasach prekolumbijskich

Amerrique. Prowincji odkrytej przez Kolumba w trakcie jego czwartej podróży.

Od dziesięcioleci toczona przez historyków i lingwistów debata, czy Ameryka zawdzięcza swą nazwę zamożnemu walijskiemu kupcowi, czy też raczej pomysłowości Majów, zdaje się nikogo raczej specjalnie nie interesować.

Powszechny jest triumf folrentyńskiego fanfaronu zawdzięczającego swą ugruntowaną w międzyczasie sławę pomyłce niemieckiego kartografa. Państwo wątpią? Przyjemnego klikania w obrębie Wikipedii życzę Państwu. Przyjemnego klikania.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#) · Tagi: [Amerigo Vespucci](#), [Mity i złudzenia](#), [Kolumb](#), [Waldseemüller](#)

39. [Banalność zła?](#)

Styczeń 25, 2009

Sformułowana przez Hannah Arendt teza o banalności zła zagnieździła się w naszych głowach nabierając jakości i znaczenia prawdy obiegowej. I zastępując, przynajmniej u większości pretendujących do miana ludzi odczytanych oraz oświeconych, jakże niegdyś rozpowszechnione przeświadczenie o altruizmie jako niezbywalnej normie kulturowej. A także mniej lub bardziej naiwne wyobrażenia o powszechnie uznawanych atrybutach człowieczeństwa. Zimbardo z Pribramem pomogli na swój sposób, a Konrad Lorenz dostarczył przekonujących przykładów przerzucając misterny most pomiędzy brzegami neuroetologii i psychologii ewolucyjnej. Począwszy z końcem lat siedemdziesiątych trudno było mieć jeszcze jakiegokolwiek złudzenia co do natury i

drzemiących w genach naszego gatunku potencjałów. Wnioski – obojętnie jakim dialektycznym łamańcom bądź wygibasom by je nie poddać – były i niestety nadal są uniwersalne, smutne i dla większości niezmiennie trudne do zaakceptowania. Spóbjmy zatem poszukać pociechy w historii.

Bazyli II Młodszy, chluba Dynastii Macedońskiej, wzór chrześcijańskiego władcy, cesarz zwany przez panegirystów Równym Apostołom, zanim odesłał carowi Samuelowi piętnaście tysięcy Bułgarów, którzy zdali się na jego łaskę po przegranej bitwie pod Kleidion, kazał im wyłupić oczy. Na każdą setkę przypadał jeden jednooki prowadzący 99 ślepców. Gdy ów potworny pochód piętnastu tysięcy, któremu już dawno będzie daleko do tej liczby, dotrze do dalekiej stolicy i przedefiluje przed Samuelem, omdleje on z przerażenia i w dwa dni później umrze obłąkany.

Tak sobie poczyniał chrześcijański monarcha w

roku pańskim 1015 z poddanymi innego chrześcijańskiego monarchy. Do historii nasz Bazyli przeszedł jako władca bogobojny i sprawiedliwy, w dzisiejszej Grecji otaczany przez kręgi klerykalno-patriotyczne nadal – mimo upływu lat – estymą i szacunkiem. Zmarł 15 grudnia 1025 roku i został pochowany, jak na dobrotliwego władcę oraz prawego chrześcijanina przystało, w specjalnie dlań wzniesionym mauzoleum leżącym w obrębie Bazyliki pod wezwaniem Sw. Jana Ewangelisty. Mauzoleum stało by pewnie do dzisiaj, gdyby nie zostało w 1204 roku ograbione i doszczętnie zniszczone przez zmierzających do Ziemi Świętej uczestników IV wyprawy krzyżowej. Niosący zbłąkanym owieczkom saraceńskim znak pokoju i dobrą nowinę rycerze, elita i kwiat chrześcijaństwa, mieli po prostu po drodze. Teza o banalności zła wydaje się błędna gdy zanurzamy się w przeszłość.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Bazyli II](#), [Hannah Arendt](#), [IV wyprawa krzyżowa](#), [okrucieństwo](#), [Pribram](#), [Samuel](#), [Zimbardo](#), [zło](#)

40. [Z pamiętnika idioty. Wstyd \(7\)](#)

Styczeń 29, 2009

Wstyd umyka wszelkim próbom opartej na racjonalnych przesłankach analizy. Jakże często wstydzimy się nie potrafiąc pojąć co jest źródłem tego przedziwnego i niepojętego uczucia. Wstyd, odczuwany w samotności i będący reakcją na własny, godzien naszego potępienia uczynek wydaje nam się być szlachetniejszym uczuciem niż wstyd wynikający z przyłapania nas na tymże uczynku przez bliźnich. Ale czy dotkliwszy?

Złapani na kłamstwie, wstydzimy się bardziej niż gdy kłamiemy. Wstydzimy się najprostszych czynności fizjologicznych, mimo iż mamy świadomość, że są one przecież nieuniknionym udziałem ogółu. Wstydzimy się gdy się kochamy i poszukujemy ustronnych miejsc, w których możemy bezkarnie oddać się miłości.

W przeciwieństwie do miłości, nienawiści nie wstydzimy się nigdy.

Nowe szaty cesarza – pomyślał Kropotkin przypatrując się pomarszczonemu tyłkowi monarchy – nie tylko są piękne, ale zasługują na to aby je głośno, publicznie pochwalić.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Kropotkin](#), [wstyd](#), [miłość](#), [nienawiść](#), [hipokryzja](#)

41. Uwielbiam historię. Nasz geniusz.

Luty 3, 2009

Oj będzie wrzask. Pewnie skończy się nawet na oskarżeniach o kalanie gniazda. Zaczniemy zatem niewinnie od wierszyka.

Wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, greckie go wydało plemię.

Dlaczego? Dlatego.

Przeświadczenie, że ludzkość zawdzięcza heliocentryczny wizerunek wszechświata narodowi polskiemu pisanemu przez duże P (tutaj prężymy dumnie pierś), a reprezentowanemu przez wybitnego naszego własnego odkrywcę Kopernika Mikołaja, który jako pierwszy na to wpadł, jest w naszym pięknym kraju niebywale rozpowszechnione. Szkoda, że nieprawdziwe.

W ferworze zapoczątkowanej w XIX wieku i toczonej z zaciśniętymi zębami absurdalnej debaty dotyczącej przynależności etnicznej

duchownego, ogółowi zaciekle kłócących się patriotów obojga narodów umknął drobny szczegół. Sformułowanie i szczegółowy opis teorii heliocentrycznej – wraz z szeregiem wyliczeń, z których wynikać miało jak autor do tego doszedł, zawdzięczamy **Arystarchowi z Samos**. Wzmiankowany jest ten Arystarchos w Polsce raczej półgębkiem. Zmarły w 230 roku p.n.e. uczeń **Stratona z Lampsakos** nie tylko stworzył heliocentryczny system, lecz również, jako pierwszy obliczył (zresztą błędnie) odległość dzielącą Ziemię od Słońca. Dokładne informacje na temat teorii heliocentrycznej Arystarchosa zawdzięczamy Archimedesowi (który z lubością go cytował) i stoikowi Kleantesowi (który zaproponował postawienie Arystarcha przed sądem za bluźnierstwo). Żeby było zupełnie śmiesznie: odkrywców modelu heliocentrycznego było przed Kopernikiem co niemiara. Sto lat po Arystarchu odkrycia dokonał ponownie **Seleukos z**

Seleukii. Ponieważ żył w Mezopotamii spokojnie możemy dokonać kolejnej transwersji naszego wierszyka, który tym razem musiałby brzmieć tak:

„Wstrzymał Słońce, ruszył Ziemię, irackie wydało go plemię” Smieszne, prawda?

Można by przypuszczać, że triumf ludzkiego umysłu w postaci zwycięstwa, przynajmniej z punktu widzenia umysłów nieskomplikowanych zdecydowanie słuszniejszej i sympatyczniejszej ptolemejskiej wizji kosmosu, da nam chwilę wytchnienia. Ależ skądże. W 5 wieku n.e. żyjący w Kartaginie **Marcjanus Kapella** wpada na zadziwiający pomysł, że planety mogą krążyć wokół słońca. Nie tylko wpada – on nawet spisuje swą szaleńczą teorię ale uchodzi mu to na sucho. W 1028 roku, arabski uczyony **Ibn al-Haytham** publikuje dzieło pt „Wątpliwości dotyczące Ptolomeusza”. W dziele nie przedstawia wprawdzie modelu

heliocentrycznego lecz nie pozostawia z dogmatów Ptolomeusza kamienia na kamieniu. Dzieł niewiernych w Europie nikt nie czyta, ogólnie rzecz biorąc czasy nie są sprzyjające czytaniu w ogóle. A szkoda, bo nader mądry był to człowiek i nauka zaoszczędziła by kilkaset lat błąkania się po manowcach przesądów i zabobonów. I to w kilkunastu rozmaitych dziedzinach. Potem jeszcze wiekopomnego kopernikańskiego odkrycia dokonało kilku innych uczonych między innymi w 1030 **Al-Biruni** (ale to się nie liczy bo to byłow Indiach), **Abu Said al-Sijzi** (jakiś Arab, a zatem nie musimy brać pod uwagę), i w końcu w XIII wieku **Qutb al-Din** (też nie nasz, a szczerze mówiąc wręcz przeciwnie).

I wreszcie, 19 lutego 1473 roku wchodzi na arenę dziejów syn śląskiego mieszczanina z Nysy podpisującego się Kopernicg i pani Wetzenrode czyli Polak z krwi i kości a w dodatku katolik oraz zdeklarowany przeciwnik

Zakonu Krzyżackiego, czyli wreszcie ktoś, kto może tym razem z patriotycznie słusznych pozycji zapoczątkować kopernikańską rewolucję. Kopernik zapoczątkowuje. Nie umniejszajmy jego zasług bo był to człowiek interesujący i wyprzedzający pod wieloma względami swą epokę. Nie bądźmy prześmiewni, mali ani złośliwi. Nie wytykajmy mu, że notorycznie uchylał się od używania w korespondencji języka ojczystego, z niezrozumiałych dziś powodów pisząc prywatne listy i sporządzając osobiste notatki na przemian po łacinie i w języku wroga. Dzięki uprzejmości niezapomnianego Gustawa Adolfa, może się o tym przekonać każdy, kto zada sobie trud zapoznania się z ocalałym księgozbiorem naszego ziomka. Do zobaczenia, wraz z notatkami i obszerną korespondencją w bibliotece w Uppsali. Gdyby kogoś interesowało. Nawet do własnego króla pisał ten Kopernik w języku obcym, polecając

uwadze władcy napisany przezeń na cześć JKM utwór poetycki. Napisany zresztą po grecku. Takie to były czasy. Jego dokonania jako administratora i twórcy rewolucyjnej jak na owe czasy teorii pieniądza powinny mu zapewnić nasz dozgonny szacunek. Bardziej zapewne, niż jego wiekopomne przemyślenia i rozliczne publikacje dotyczące scholastyki.

Dlaczego jednak z pierwszego wydania „De revolutionibus orbium coelestium“ zniknęły wszelkie, jeszcze w rękopisie obecne opisy i odnośniki dotyczące odkryć Arystarcha i przemyśleń arabskich poprzedników pozostanie tajemnicą autora. Wśród polskich historyków dominuje pogląd, że chodziło o to aby nie drażnić hierarchów kościoła powoływaniem się na jakichś pogan. Czasy nadchodziły trudne. Kościół katolicki jakoś nie mógł się przyzwyczaić do propozycji naszego rodaka. Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że protestanci nie byli ani gorsi ani lepsi.

Nie ma jednak powodu do nieuzasadnionego czarnowidztwa. Nie minęło nawet kilkaset lat i już sympatyczny papież, nomen omen Benedykt ale dla odmiany XIV, zdjął 17 kwietnia 1757 roku nałożoną na błędzących wiernych ekskomunikę i Ziemia mogła zacząć oficjalnie krążyć wokół Słońca również dla osób wierzących. A potem było już z górki. W 1835 roku dzieło naszego rodaka zostało usunięte z indexu ksiąg szkodliwych i zabronionych. Na ulicach europejskich miast płonęły gazowe latarnie i jakby ktoś chciał, to mógłby sobie wówczas poczytać dzieło naszego rodaka w pociągu. Gdyby tylko chciał.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#)

·Tagi: [Archimedes](#), [Arystarchos](#), [Benedykt XIV](#), [Cleantes](#), [heliocentryzm](#), [Kopernik](#), [Mity narodowe](#), [Patriotyzm](#), [Seleukios](#)

42. [Nadzieja. Macocha naiwnych.](#)

Luty 5, 2009

Douglas R. Hofstadter, w swych – w założeniu wiekopomnych, a w rzeczywistości tak szybko zapomnianych – Metamagical Themas (Questing for the Essence of Mind and Pattern), wychodząc od niezapomnianej kostki Rubika, zahaczając krótko o Mozarta i T.A. Edisona dochodzi do zdumiewającej konkluzji. Wszelka kreatywność – bez wyjątku – bierze się jego zdaniem z permutacji tego co zastane. Innowacyjność jako taka jest pochodną zręczności w żonglowaniu analogiami połączonej z wytrwałością. Jeśli chcemy odkryć coś zupełnie nowego, coś co nie istnieje, musimy wziąć to co istnieje i tak długo obracać w rękę aż ukaże się nam „nowe”.

Obracanie w rękę przyciężkawego tomu Hofstadtera przez jego wiernego czytelnika Józefa K. – mimo iż czyni to nieprzerwanie od

momentu ukazania się dzieła czyli od 1985 roku – nie przyniosło na razie spodziewanych rezultatów. Nie tracąc zasadniczo nadziei, Józef K. zaczyna się jednak zastanawiać, czy nie lepiej jednak zająć się wędkarstwem.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Nocny lot](#), [brudnopsis](#) · Tagi: [Hofstadter](#), [Kreatywność](#), [nadzieja](#), [naiwność](#), [Paradoks](#), [zmęczenie](#)

43. [Sen Antysemity](#)

Luty 9, 2009

«Si le juif n’existait pas, l’antisémite l’inventerait.»

J-P. Sartre, “Réflexions sur la question juive”

Antysemita, tłumiąc w sobie okrzyk przerażenia i rozpacz, budzi się w środku nocy z koszmarne snu. Snu, w którym okazało się, że Żydów nie ma, nigdy nie było i nigdy nie

będzie. Zlany zimnym potem, siada na brzegu łóżka i sięga roztrzęsionymi dłońmi po papierosa. Po chwili namysłu postanawia nie budzić śpiącej obok, nieświadomej grozy sytuacji żony, wsuwa kaptcie i udaje się do kuchni. Tam, nad szklanką ciepłego mleka powoli wraca do siebie. Stwierdziwszy z ogromną ulgą że był to jedynie zły sen, postanawia przy najbliższej okazji ponownie przemyśleć wysokość datku dziękczynnego, który przecież powinien być adekwatny do groźby unikniętego cudem niebezpieczeństwa.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopsis](#) · Tagi: [Antysemityzm](#), [Idiotyzm](#), [Datki](#), [Sartre](#)

44. [Czas kryzysu.](#)

Luty 12, 2009

Samuel J. Towland, zwany też – dla

odróżnienia od ojca i dziadka – trzecim, właściciel posiadłości z widokiem na zachód słońca, jachtu, rezydencji letniej i rezydencji zimowej, żony, którą można było pokazać, trójki dzieci z wymaganiami, biblioteki, dwóch kochanek, dyplomu znanej uczelni, samochodu terenowego wyglądającego jak limuzyna i limuzyny będącej samochodem terenowym, kolekcji monet i antyków jak również psa rasowego z medalem oraz dyplomem, spojrzął po raz ostatni na wyciąg z konta, poprawił stosik leżącej przed nim korespondencji, wstał od masywnie rzeźbionego biurka, podszedł do otwartego okna, wdrapał się na parapet i skoczył.

Trzydzieste siódme piętro to nie w kij dmuchał. Juan Arroyo Diaz, mimo popularnego w rodzimym Curundú nazwiska i jeszcze bardziej popularnych imion, obywatel się bez numeru porządkowego. Jego stan majątkowy ograniczał się do taczki, miotły, kubła, ubrania noszonego

na grzbiecie i wyświechtanego portfela, w którym obok rozpadającego się panamskiego paszportu, trzech pomiętych banknotów, sfalszowanego prawa jazdy i nieważnej karty kredytowej opiewającej na nazwisko Jason T. Brown, przechowywał również list od żony. Małżonka donosiła w nim o urodzinach siódmego z kolei dziecka. Juan Arroyo Diaz z zapalem zamiatał chodnik przed imponującym biurowcem należącym do Towland Enterprises, zastanawiając się jednocześnie nad niepojętym cudem natury, który sprawił, że jego niewidziana od ponad roku żona powiła potomka.

Czytelników, przeczuwających zbliżający się nieuchronnie dramat, pragnę uspokoić. Ciało Samuela J. Towlanda, uderzając z głuchym hukiem o chodnik, nie uczyniło zamiataczowi najmniejszej krzywdy, jako że znajdował się on w tym momencie po drugiej stronie budynku. Szczerze powiedziawszy, nie zauważył on

nawet zdarzenia i skończywszy zamiatać, oddalił się.

Literatura i życie to dwie zupełnie różne sprawy.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi:

[Kryzys finansowy](#), [Literatura](#), [Los](#), [Przypadek](#)

45. [Czwarta małpa](#)

Luty 14, 2009

“see no evil, hear no evil, speak no evil”

Droga wiodąca od spokojnej mądrości stanowiącej fundament nauk koshin-do ku śmietnisku kultury masowej była szeroka i prowadziła najwyraźniej z góry. Mizaru, Kikazaru i Iwazaru – początkowo symbol mądrości i odrzucenia zła – udało nam się w ciągu kilku dziesięcioleci zdegradować do ikonki popkultury, symbolu graniczącego z

cynizmem konformizmu lub braku odwagi cywilnej. Każdemu według jego potrzeb, zwykł mawiać klasyk. Nie będziemy zatem z klasykiem dyskutować i uznamy z pokorą, że mamy obecnie to, na co zasłużyliśmy. Przynajmniej większość z nas.

Trzy mądre małpy – przynajmniej takie były intencje i eksplikacje szintoistycznych nauk – miały przypominać nam o konieczności i obowiązku odrzucenia zła pod każdą postacią. Odmowa uczestnictwa w tym co złe i odrażające poprzez odwrócenie wzroku, zasłonięcie uszu i zamknięcie ust miała jednoznaczną interpretację będącą równoznacznikiem bytu bezgrzesznego, rezultatem świadomego wyboru, przykładem do naśladowania i przywilejem mędrców.

Najdziwniejszy jest jednak los który spotkał czwartą małpę – Shizaru, mającą symbolizować niezgodę na czynienie zła. Shizaru znikła z szintoistycznej ikonografii jako pierwsza,

gdzieś na początku XVII wieku, aby już nigdy więcej nie powrócić.

Przypatrując się jej nielicznym, przetrwałym wizerunkom, trudno powstrzymać się od gorzkiego uśmiechu. Siedziała obok swych uśmiechniętych towarzyszek z raczej przestraszonym wyrazem pyska osłaniając skrzyżowanymi rękoma podbrzusze i okolice krocza.

Pewnie miała swoje powody.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [konformizm](#), [koshin-do](#), [obojętność](#), [three monkeys](#), [zło](#)

46. [Nieskończony Wszechświat](#)

Luty 17, 2009

W uznawanym za nieskończony wszechświecie, ilość miejsc, w których nas z

całą pewnością nie ma, jest również nieskończona. Miejsce w którym akurat jestem – pomyślał sobie Kropotkin – jest tylko jedno. Tyle, jeśli chodzi o przestrzeń.

Kropotkin poczuł się nieswojo i postanowił spędzić resztę wieczoru pijąc syrop na kaszel i rozmyślając o pieniądzach.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

47. [Nowy argument na rzecz determinizmu](#)

Luty 19, 2009

Znużony niekończącą się wędrówką poprzez zaśnieżone wąwozy ulic, Kropotkin wreszcie dotarł do dwuskrzydłowych drzwi z masywnego dębu. Mosiężne klamisko zakończone imitacją głowy lwa znajdowało się na wysokości kropotkinowej brody, tak się

kiedyś budowało.

Po krótkiej szarpaninie powitała go obszerna sień i znajoma mieszanina zapachów świeżo wypastowanej podłogi, krochmalu i szelakowej politory. Chwilę później stał przed drzwiami prowadzącymi do apartamentu na drugim piętrze. Wybrał z rozwąga klucz, lecz zanim zdążył otworzyć drzwi, te otwarły się same. W drzwiach stała kobieta przeciętnej urody ubrana w narzutę normalnie przykrywającą łożę w sypialni i raczej nic więcej.

- Nareszcie – powiedziała z wyczuwalną pretensją w głosie – najwyższy czas.

- Kim pani jest – wykrztusił Kropotkin – i co pani tu robi?

- Głupie pytanie, głupia odpowiedź – odparła wyniośle nieznajoma – niech Pan w końcu wejdzie, bo nabawię się przeziębienia.

Kropotkin wszedł posłusznie i spróbował ocenić sytuację. Sytuacja nie dawała się, stawiała opór i napawała Kropotkina coraz

większym niepokojem. Coś się nie zgadzało.

- To moje mieszkanie – wrzasnął Kropotkin.

- Czy ktoś twierdził coś innego? – zapytała kobieta – zamiast stać jak kołek w przedpokoju mógłby Pan zdjąć palto i kalosze. Mógłby Pan wówczas ewentualnie podrapać mnie po plecach.

- Niczego nie będę zdejmował – zdenerwował się Kropotkin – proszę się wynosić bo zawołam policję.

Ze znajdującej się na końcu korytarza łazienki dobiegały odgłosy uruchamianego prysznica.

Po chwili do odgłosów dołączył lekko zachrypnięty baryton i zaczął wychwalać uroki zachodów słońca w okolicach Astrachania.

- Kto to? – zapytał szeptem Kropotkin – kto jest w mojej łazience?

- Zajcew – odparła krótko kobieta.

- Zajcew? – szepnął Kropotkin – no tak, Zajcew. Jaki znowu Zajcew!? Ja żadnego Zajcewa nie znam!

- A wie pan co – przerwała mu kobieta – niech Pan jednak nie zdejmuje palta. Skoro Pan już ubrany, to może Pan skoczyć za róg do Delikatesów i kupić butelkę przyzwoitego szampana. I może jakieś winogrona, jak pan sądzi? Zajcew uwielbia winogrona.

Przypadkowi, spóźnieni przechodnie, widząc przemykającego się wzdłuż oświetlonego gazowymi latarniami zaułka i zmierzającego w stronę pobliskiego sklepu z towarami kolonialnymi osobnika, przyglądali mu się z mieszaniną udawanej obojętności i nieukrywanego zdumienia. Obiekt ich zainteresowania nerwowo wymachiwał rękoma mruczając coś niezrozumiale pod nosem.

- A przecież – mruczał sobie Kropotkin – tak bardzo chciałem dziś wieczorem popracować nad traktatem o wolnej woli. Tak bardzo.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Wolna wola](#), [determinizm](#), [szampan](#),

[winogrona](#)

48. [Hagiografia: Święty Szczepan](#)

Luty 23, 2009

Święty Szczepan jest świętym wyjątkowym. Pierwszy męczennik Chrześcijaństwa zasługuje na naszą szczególną uwagę. Przypatrzmy mu się zatem bliżej bo warto. Myliłby się ten, kto by sądził, że nasz Szczepan – zwany dalej dla ułatwienia studiów porównawczych Stephanosem – zawdzięcza swą palmę męczeństwa i tytuł świętego nienawistnym poganom, którzy uwzięli się na zwolenników religii opartej na miłosierdziu i miłości bliźniego. Było zupełnie inaczej i z perspektywy czasu raczej śmiesznie.

Stephanos był nieomal rówieśnikiem Chrystusa, rok młodszy od Nazareńczyka, przeżył go jednak jedynie o lat kilka. Zadbała o

to gmina braci w wierze. A było tak:

Po śmierci Jezusa, malutka gmina chrześcijańska postawiła sobie za punkt honoru, obok głoszenia sławy Pana, opiekę nad potrzebującymi ze szczególnym uwzględnieniem nędzarzy, chorych, wdów i sierot. Opieka polegała na wspomaganiu takowych dobrym słowem a także uczynkiem. Mówimy tutaj o dobrach materialnych, sprawa jest raczej jasna i nie ma powodu aby owijać ją w bawełnę. W krótkim czasie doprowadziło to niebywałego wzrostu popularności Chrześcijaństwa, szczególnie wśród chorych nędzarzy oraz obdarzonych licznym potomstwem wdów. Te akurat garnęły się do nowej religii że aż ho. Gmina, a szczególnie stojący na jej czele Apostołowie staneli w obliczu sytuacji kryzysowej, której niełatwo było sprostać. Rysowała się groźba rozłamu: frakcja judeoaramejczyków posiadała zupełnie inne wyobrażenia na temat priorytetów i misji

chrześcijaństwa niż judeogrecy. Istotą kontrowersji było czy Apostołowie powinni poświęcić w pierwszej kolejności zagadnieniom krzewienia wiary czy też raczej praktykowaniu miłosierdzia. Rzesza potrzebujących skłaniała się ku drugiemu wariantowi, Apostołowie preferowali pierwszy. Istotne też było, komu należy się więcej miłosierdzia: wdowom oraz sierotom aramejskim, czy też raczej judeogreckim. Aby uniknąć rozłamu, zwołano walne zgromadzenie chrześcijan i wybrano z łona obu frakcji siedmiu diakonów, których zadaniem była troska o nędzarzy, wdowy i sieroty, Apostołowie mogli w końcu odetchnąć i zająć się chwaleniem Imienia Pańskiego. Jednym z diakonów był nasz Stephanos, jak imię wskazuje mąż o greckim rodowodzie, wybrany w celu reprezentowania judeogreckich wdów i sierot. Te bowiem czuły się dyskryminowane, twierdząc że datki i zapomogi płyną raczej w kierunku zupełnie

niewłaściwym, czyli nędzarzy aramejskich. To właśnie z grupy podopiecznych Stephanosa rozczarowanych niewystarczającą ich zdnaiem opieką wypłynął donos do Synhedrynu jakoby nasz miły diakon miał powiedzieć, iż Chrystus miał jakoby z całą pewnością powiedzieć iż Świątynię Jerozolimską należy zburzyć. Coś takiego i jeszcze kilka innych ciekawostek w tym stylu mających doprowadzić Synhedryn do białej gorączki. Stephanosa wezwano przed oblicze i zadano mu jedno jedyne pytanie, a mianowicie, czy zarzuty mają odbicie w rzeczywistości. W odpowiedzi Stephanos zaczerpnął oddechu i wygłosił zawiłą mowę obrończą trwającą dwa dni z której nikt niczego nie zrozumiał. Byłaby to sprytna taktyka, gdyby jakieś лихо nie pokusiło naszego diakona aby – gdy główne niebezpieczeństwo zdawało się być zażegnane – wznieść nagle oczy ku niebu i zawołać: „Widzę jak otwiera się niebo a syn człowieczy stoi po prawicy Pana!”. Każdy

może mieć chwilę słabości. Synhedryn potrzebował kilku sekund na skazanie Stephanosa na zwyczajowe w takim przypadku ukamienowanie. Nadzór natychmiasowego wykonania powierzono młodemu, zaangażowanemu człowiekowi o imieniu Saulus, znany zapewne większości polskich czytelników pod pseudonimem Szaweł. Z obowiązku wywiązał się Saulus przykładowo, dbając o wystarczającą ilość kamieni, chętnych do rzucania, a nawet samemu rzucając. Nie wiemy czy trafił i czy jego rzut był rozstrzygający. Gdyby jednak tak było, to byłby to ciekawy przyczynek do historii chrześcijańskiej martyrologii. Saulus przeszedł do historii jako Święty Paweł, Ojciec Kościoła, ten od podróży misyjnych i listów. Zestawienie – wśród jego rozlicznych zasług – obok sławiącej potęgę miłości pieśni zawartej w „Liście do Koryntian” również celnych rzutów kamieniami, których wynikiem był pierwszy

męczennik kościoła może wprawić i wprawia w zadumę.

W rozlicznych pismach Sw. Pawła na próżno szukać wzmianki o onegdaj ukamieniowanym przezeń Stefanosie. Pamięć bywa zawodna, szczególnie jeśli chodzi o błędy młodości.

Dalczego Sw. Szczepan został patronem bednarzy, woźniców, murarzy, tkaczy, krawców i cieśli pozostanie tajemnicą tych, którzy na ten pomysł wpadli. Skierowane do niego modlitwy pomagają jak ręką odjął w przypadku napadu szału, bólów głowy i ataków kamicy nerkowej.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [bol głowy](#), [Hagiografia](#), [kamica nerkowa](#), [kamieniowanie](#), [martyrologia](#), [męczeństwo](#), [Pamięć](#), [Stephanos](#), [Sw. Paweł](#), [Sw. Szczepan](#)

49. [Patrzac wstecz. Cena empatii.](#)

Marzec 1, 2009

Empatia może przybierać zadziwiające formy. Zadzwiająca niejednokrotnie nawet dla tego, kto ją odczuwa.

Nieuchronne i mimowolne uczucie niepewności i zagubienia, ogarniające ludzi głęboko wierzących, w momencie gdy zostają skonfrontowani z historią pierwszych wieków chrześcijaństwa, powinno skłaniać nas do pełnej współczucia refleksji. Czy jednak skłania?

Począwszy od nadprzyrodzonego wniebowstąpienia Nazareńczyka, rozpoczyna się trwający dwa stulecia nieustający festiwal cudów i zjawisk niemożliwych do ogarnięcia rozumem. Głoszący chwałę Pana apologeci nowej religii wskrzeszają zmarłych, pomnażają w razie potrzeby dobra doczesne, uzdrawiają nieuleczalnie chorych z łatwością muszącą

zawstydzają ówczesnych lekarzy, władają biegle obcymi językami mimo braku znajomości tychże, widzą rzeczy, których nie ma i sprawiają, że niemożliwe i nieistniejące objawia się w miarę potrzeby również niedowiarkom. Nie zawsze wprawdzie, ale wystarczająco często, aby rzesza owieczek wzrastała w tempie postępu geometrycznego. Można wręcz odnieść wrażenie, że wobec cudotwórczej apostolskiej wszechmocy, śmierć męczeńska była raczej kwestią kaprysu, luksusem wynikającym z osobistej decyzji lub wynikiem radosnego dążenia do uzyskania wiecznej chwały, niż smutną, wynikającą z niezaskuszonych represji koniecznością. Gibbon trafnie zauważył, że w czasach szerzącego w Galii chrześcijaństwo Ireneusza, pod koniec II wieku, nawet wskrzeszania zmarłych nie uważano już za wypadek niezwykły. Cud ten był zjawiskiem częstym i powodowanym przez wspólne błagania

wiernych miejscowego Kościoła połączone z postami i umartwianiem powłoki doczesnej. Nie aż tak może częstym aby prowokować ziewanie znudzonych powszedniością aktu wiernych, lecz wystarczająco powszednim aby skłaniać coraz rzadszych sceptyków do formułowania bezczelnych rząduń.

Czytamy zatem:

„Pewien Grek szlachetnego rodu oparł na tej doniosłej podstawie wszystkie swe argumenty przeciwko chrześcijaństwu, przyrzekając Teofilowi, biskupowi Antiochii, że natychmiast przyjmie religię Chrystusową, jeśli będzie miał satysfakcję, ujrzenia choćby jednej osoby rzeczywiście zmartwychpowstałej. Godnym uwagi jest fakt, że ten najwyższy duchowny pierwszego Kościoła wschodniego, jakkolwiek bardzo mu zależało na nawróceniu przyjaciela, uznał za stosowne odmówić jego słusznemu i uzasadnionemu wyzwaniu“

E. Gibbon „Moce cudotwórcze pierwotnego

kościola“ w „Upadek cesarstwa Rzymskiego, II, ss. 27-31

Festiwal cudów i zjawisk nadprzyrodzonych ustał tak samo raptownie jak się rozpoczął – a mianowicie natchmiast po edyktie Konstantina instalującym chrześcijaństwo jako powszechny obowiązek poddanych, czyli w momencie instytucjonalizacji nowej wiary. Cuda przestały być konieczne, czas łagodnej perswazji i nieodparty argumentów przemiał, nawrócenie niewiernych można było wreszcie wymusić siłą. A opornych poddać nieodzownym sankcjom, do złudzenia przypominającym stosowane uprzednio wobec chrześcijan.

I w tym momencie człowiek głęboko wierzący powinien zacząć mieć poważny dylemat. Raptowne pozbawienie Ojców Kościoła mocy cudotwórczych, rzuca niezbyt korzystne światło na domniemany charakter chrześcijańskiego

Boga, który najwyraźniej nagle, nieomal z dnia na dzień postanowił pozostawić wiernych sam na sam z ewentualnymi wątpliwościami, zmuszając tym samym zwolenników opartej na koncepcji miłości bliźniego doktryny, do stosowania narzędzi przemocy, z paleniem ewentualnych sceptyków żywcem włącznie.

Wierzącemu pozostaje jedynie niezłomna wiara w to, że niezbadane są wyroki opatrności. Agnostyk zaś zaryzykuje z uśmiechem twierdzenie, że Bóg chrześcijan postanowił najwidoczniej być wygodny lub złośliwy. Trudno bowiem założyć, że się nagle zmęczył.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Cuda pierwotnego kościoła](#), [Empatia](#), [Gibbon](#), [Ireneusz](#), [Sceptycyzm](#)

50. Mozna i tak.

Marzec 2, 2009

Noc była duszna, upalna i obfitująca w rozrywki dla dorosłych.

Nad ranem, krótko przed świtem, nadszedł wreszcie sen. Sen był z początku lekko zamazany, ale po chwili obraz się wyostrzył. Brzeg Nilu. Kołyszące się zarośle papirusu. Plusk wody.

Nagle z Nilu zaczęły wyłazić tłuste, spasione krowy.

- Tylko nie znowu te krowy – jęknął Józef – wszystko, tylko nie krowy.

Krowy posłusznie zawróciły i zniknęły w odmętach.

Józef, uspokoiony rozwojem wypadków, objął ramieniem talię żony Putyfara i spał dalej cicho pochrapiując. Na zewnątrz, za okiennym otworem, powoli budził się dzień.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#)

51. Doniosłe chwile w historii ludzkości. Filippides.

Marzec 6, 2009

Niekończący się korowód postaci wątpliwego autoramentu otwiera niejaki Filipiddes. Jeśli wierzyć spisującemu swe relacje 60 lat po bitwie Herodotowi, dziwny ten człowiek miał jakoby na zlecenie Miliadiadesa pobiec z Maratonu do Sparty w celu sprowadzenia posiłków, tak potrzebnych do pokonania niedobrych Persów. Spartanie, zajęci akurat świętowaniem, nie wystawili posiłków lecz zaofiarowali posłańcowi dobre słowo i wyrazy solidarności z bratnim ludem ateńskim. Tyle historyk. Jak się skończyła bitwa wiadomo powszechnie, jak skończył Miliadiades również. Wdzięczność pobratymców była bezgraniczna i niepoohamowana, Miliadiades został uczczony z

należyta pompą, aby następnie zgnić w ateńskim więzieniu. Szczegóły zawdzięczamy Neposowi, pewnie tak było.

Maraton od Sparty dzieliło 245 kilometrów, Filippides nie mógł jednak tego w żaden sposób wiedzieć, ponieważ kilometr wynaleziono znacznie później. Gdyby wiedział, najprawdopodobniej by się przestraszył i nie dobiegł. Według Herodota posłaniec potrzebował na przebycie dystansu dwa dni i dwie noce. Szacowny ojciec greckiej historiografii nie wspomina, czy Filipiddes pobiegł natychmiast z powrotem, czy też bitwa odbyła się bez jego udziału.

W jaki jednak sposób nasz Filipiddes pojawia się ponownie w opisie bitwy autorstwa żyjącego 500 lat później Plutarcha i znów biegnie, tym razem w pełnej zbroi ale w zupełnie innym kierunku, pozostanie na zawsze tajemnicą bajkopisarzy uznawanych dziś przez nas z braku rozsądnych alternatyw za

historyków. Tym razem droga wiedzie do Aten, reszta znana jest z rozlicznych opisów, przeważnie autorstwa pisarzy z zamiłowaniem do powierzchownego ale efektownego wspomnienia dziejów bądź spragnionych taniego patosu poetów. Filippides biegnie, biegnie, biegnie aby w końcu wbiec na Areopag, wrzasnąć „zwycięstwo!” i skonać na oczach licznie zgromadzonej widowni. Tutaj nasuwa się dużo pytań – chociaż od razu powinniśmy uczciwie przyznać, że nie należy raczej spodziewać się sensownej odpowiedzi. Czym tłumaczyć niepojęty spadek formy posłańca? Dlaczego nie zdjął zbroi, lecz wybrał się w drogę objuczony jak wielbłąd? Bez rynsztunku byłoby przecież łatwiej, a koledzy na pewno by popilnowali. I najważniejsze: jakim bezgranicznym idiotą musi być osobnik, poświęcający swe życie aby zakomunikować innym to, o czym prędzej czy później tak czy owak by się dowiedzieli? Przyjmijmy już

lepiej, że Plutarch (a za nim Lukian) historię tę najzwyczajniej zełgał. Rzuca to nowe światło na postać Quentina Tarrantino, który powinien być w obliczu powyższego postrzegany przez nas jako kontynuator tradycji klasycznego dziejopisarstwa. Ale co tam.

Nie zmienia to jednak faktu, że 1750 lat później, 10 kwietnia 1896 roku, dla uczczenia wymysłu hellenistycznego mitomana, Pierre de Coubertin wzywa grupę bogu ducha winnych entuzjastów lekkiej atletyki do powtórzenia wyczynu Filippidesa. Coubertin sam nie biega, jako palacz cygar i smakosz lubi przypatrywać się jak biegają inni. Maraton dzieli od Aten 37 kilometrów, po zaokrągleniu wychodzi Coubertinowi 40, do startu, gotowi, hop. Na metę wbiega (po dwóch godzinach, pięćdziesięciu osmiu minutach i pięćdziesięciu sekundach) Spiros Louis, wieśniak biegnący nie ze względu na wrodzony entuzjazm, lecz dlatego, że nie miał innego wyjścia. Pełniąc

akurat zasadniczą służbę wojskową, nie potrafił odmówić życzeniu bezpośredniego przełożonego. Po zwycięstwie Louisa naród grecki oszalał z radości, a obdarzony przez naturę zdumiewającą siłą perswazji major Papadiamantopoulos dostał z rąk króla odznaczenie. A Coubertin zostaje nawet baronem. Jak widać, zwyczaj nagradzania osób mających ze sprawą niewiele wspólnego, był już wówczas nader rozpowszechniony.

O ile jednak Sz. P. pragną się dowiedzieć, dlaczego współcześni męczennicy począwszy od 1908 roku muszą biec po przebyciu 40 kilometrów jeszcze dwa kilometry z hakiem, to proszę bardzo, odpowiedź jest nader prosta. W 1908 roku, igrzyska olimpijskie odbywały się w akurat Londynie, a otyli oraz rozleniwieni członkowie rodziny królewskiej nie mieli najmniejszej ochoty na opuszczanie w słoneczny, upalny dzień wschodniego tarasu Pałacu Buckingham. Dystans wydłużono zatem

dla wygody Jaśniepaństwa. I tak już zostało.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Powszechna historia idiotyzmu](#) · Tagi: [Bitwa pod Maratonem](#), [Cornelius Nepos](#), [Cynizm](#), [Herodot](#), [Igrzyska Olimpijskie](#), [Maraton](#), [Militiades](#), [Mitologia](#), [Plutarch](#)

52. [Z pamiętnika idioty.](#) [Myślenie pozytywne.](#)

Marzec 10, 2009

Geld ist nicht wichtig. Hauptsache man hat welches.

Karl Valentin

Kropotkin postanowił przyjrzeć się uważniej światowym finansom. Przyglądanie się wprawilo Kropotkina w lekką depresję i dlatego postanowił przypatrzeć się dla odmiany finansom własnym. Dylemat, czy w pierw

poświęcić chwilę cennego czasu pakietowi posiadanych akcji, czy też raczej stanowi oszczędności, nie był dylematem trudnym bo oszczędności już nie posiadał. Rozeszły się ostatnio. Jakoś tak.

- A zatem – pomyślał – zacznijmy od akcji. Sądził, że nic już nie jest w stanie nim wstrząsnąć, ale najwidoczniej było to przekonanie błędne.

- Ciężko przyszło – mruknął przypatrując się ruinom – ale za to łatwo poszło.

Ponieważ dalsze przypatrywanie się nie miało większego sensu, Kropotkin postanowił oddać się rozmyślaniom na temat upadku Konstantynopola w 1453 roku. Oblężenie zakończyło się dla obleganych raczej niekorzystnie, ponieważ ktoś przed kolejnym szturmem zapomniał zamknąć furtkę. Prawdopodobnie odźwierny miał słaby dzień. Ponieważ tę część mieszkańców, która nie została pognana na targ niewolników, Turcy

natychmiast po zdobyciu miasta wyróżnili co do nogi, do dzisiaj nie udało się ustalić, kto był winien tego drobnego zaniedbania. Innymi słowy, sprawcy tego zabawnego qui pro quo najzwyczajniej się się upiekło.

- Wszystko ma swe złe i dobre strony – pomyślał Kropotkin – najważniejsze to dostrzegać te dobre i nie tracić nadziei. Na przykład taka szklanka. Może być ona, proszę szanownej publiczności albo do połowy pełna albo do połowy pusta. Ha!

Zdumiony oryginalnością tego spostrzeżenia uniósł butelkę do spragnionych ust. Szklanki zostały co do ostatniej wytłuczone przez rozochoconego Zajcewa w trakcie zesłotygodniowej libacji.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [akcje](#), [Bizancjum](#), [Kropotkin](#), [Kryzys finansowy](#), [myślenie pozytywne](#), [upadek Konstantynopola](#)

53. [Przykład dla młodzieży męskiej.](#) [Maciuś Mańkut.](#)

Marzec 15, 2009

Rozliczne są historie niezłomnych patriotów dawanych młodzieży za wzór przez autorytety moralne i tych, którzy pragnęli bądź nadal pragną za takowe uchodzić. Gaius Mucius zajmuje miejsce szczególne, pokolenia młodzianków wychowywano w przeświadczeniu, że jak przyjdzie co do czego, to trzeba naśladować i nie ma zlituj. Niezłomny charakter i żelazna wola: Mucjusz Scewola. Oj popularny był ten Scewola w ojczyźnie naszej. Już Kochanowski Jan, będąc samemu w wieku raczej zdiadziałym, stawiał go młodziankom za wzór:

Pali rękę Scewola dla ojczyzny: a my
I w zimną wodę onej włożyć się wzdrygamy?
Nie cierpieć nic, czynić nic – własne polskie

dzieło

Bodajże się o takim Polaku nie śniło!

Pomińmy ocenę wartości literackiej i
przypatrzymy się aspektom dydaktycznym.
Zamiary poety wydają się jasne. Wniosek
powinien nasunąć się młodziankowi
automatycznie i utrwalić pod postacią odruchu
bezwartunkowego: prawdziwy patriota cierpi.
Im więcej cierpi, tym większy zeń patriota.
Powoli zaczyna nam świtać, gdzie należy
doszukiwać się archetypu romantycznego
modelu patriotyzmu straceńczego, gdzie nawet
samookaleczenie jest dowodem poświęcenia i
powodem do dumy. Ale do rzeczy,
przypomnijmy to co uchodzi za fakty. Jest rok
508 przed narodzeniem, od trzech lat – po
wygnaniu ostatniego monarchy – w Rzymie
panuje rodzaj obywatelskiego samorządu
mającego przejść do historii pod nazwą
republiki. Lars Porsenna, etruski władca, oblega
wraz ze swymi oddziałami miasto, wówczas

jeszcze nie wieczne, w celu ujarznienia i
podporządkowania, taka już wredna natura tych
królów. Rycerz rzymski Gajus Mucius wykrada
się poza mury, wkracza do wrażego obozu z
zamiarem zrobienia Porsennie kuku, rzuca się
na odzianego w najbardziej efektowne i
ozdobne szaty osobnika i przebija go mieczem.
To, że miast króla, uśmierca królewskiego
sekretarza, potwierdza niestety najgorsze
stereotypy rozpowszechniane na temat
inteligencji wojskowych. To, że rzuciwszy się
do ucieczki, daje się złapać strażom, może,
choć niekoniecznie musi, dowodzić
niedołężstwa. Doprowadzony przed oblicze
monarchy przyznaje się bez bicia do zamiaru
królobójstwa po czym pakuje prawicę w
płonący żar i przy akompaniamencie
skwierczącego mięsa wygłasza swe słynne
przemówienie na temat miejsca odwagi
cywilnej w panteonie rzymskich wartości,
swych własnych motywów oraz ilości

współobywateli, którzy – co raczej nie rokuje monarsze długowieczności – z graniczącym z pewnością prawdopodobieństwem za jego, Muciusa przykładem podążą. Moment ten wywarł na potomnych tak duże wrażenie, że uwieczniony został przez ponad dwa tuziny renesansowych i barokowych artystów, wymieńmy tylko dla porządku Tintoretta, Schiavone, Lebruna, Rubensa i VanDycka. Scena przedstawiana była nieomal zawsze w ten sam sposób: panowie Gajus Mucius i Lars Porsenna stoją sobie odprężeni i zagłębieni w pogawędkę, przy czym ten pierwszy – mimo trzymanej w ogniu i ulegającej powolnemu zwęgleniu kończyny – śmiecha się uprzejmie. Nieopodal leżą zwłoki lubującego się w modnych strojach sekretarza, ale nikt nie zwraca na nie szczególnej uwagi. Słowem splapstick w najczystszej postaci.

Dalszy przebieg wypadków jest ogólnie znany. Panowie dochodzą do porozumienia, król życzy

naszemu bohaterowi dużo szczęścia w życiu osobistym i sukcesów w życiu zawodowym, po czym, uznając wyższość moralną bohaterstwa rzymskiego nad etruskim, postanawia zwinąć namioty i się odalić. Mucius waraca do Rzymu, otrzymuje (co jest zrozumiałe) przydomek Scaevola i szmat ziemi na Zatybrzu w charakterze gratyfikacji.

Zabawną tę, aczkolwiek mało prawdopodobną historię zawdzięczamy najprawdopodobniej wyobraźni autora wiekopomnej Historii Rzymu, Liwiuszowi. Niewykluczone, że również Dionizos z Halikarnasu maczał tutaj swe palce, jednym słowem: dziś nie sposób już dociec który zmyślił, a który tylko odpisał. Obaj żyli w czasach Augusta, gdy zapotrzebowanie na wspaniałą, dorównującą współczesności przeszłość było ewidentne. Tacyt w każdym razie twierdził, że chodzi tu o problematyczny rodzaj legendy, problematyczny bo Porsenna zdobył i

podporządkował sobie Rzym nie napotykając przy tym zresztą większych trudności. Szereg historyków podzielało ten pogląd, tym bardziej, że nazwisko Scaevola pojawiło się dopiero pod koniec III wieku p.n.e., a przedstawiciele rodu nosili, wszyscy bez wyjątku, imiona Quintus i Publiusz.

Dlaczego przez wieki otaczano podziwem i stawiano młodzieży za wzór matoła, którego jedynym osiągnięciem było historycznie nieuzasadnione samookaleczenie, pozostanie dla próbującego myśleć racjonalnie czytelnika tajemnicą. Szczególnie gdy uświadomimy sobie dobrze – zarówno przez historyków jak i przez antropologów kultury – udokumentowany fakt: w VI i V wieku p.n.e. w kręgu kultur łatyńskich, karano przypaleniem prawej dłoni zdrajców, złodzieji i krzywoprzysięzców.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Powszechna historia idiotyzmu](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Historia Rzymu](#),

[Liwiusz](#), [Mucius Scaevola](#), [Patriotyzm](#), [Tacyt](#)

54. [Wstęp do probabilistyki dla leniwych](#)

Marzec 18, 2009

Latem – a dokładnie 5 lipca 1838 roku – ukazała się drukiem książka nosząca tytuł “Przygody Artura Gordona Pyma z Nantucket”. Zdumiewająca to i zagadkowa z wielu względów opowieść. Mimo iż strony tytułowej nie zdobiło nazwisko autora, wiemy dziś, że jej twórcą był Edgar Allan Poe. W treści, pośród szeregu przeróżnych zdarzeń, na szczególną uwagę zasługuje historia zabicia i zjedzenia chłopca okrętowego przez zgłodniałego Pyma i jego dwóch towarzyszy niedoli. Chłopiec nazywa się Richard Parker. Poe umiera 11 lat później w niejasnych okolicznościach.

Latem – a dokładnie 5 lipca 1884 roku – jacht o nazwie Mignonette tonie w odległości 1600 mil

na północny zachód od Przylądka Dobrej Nadziei. Czterooosobowej załodze udaje się uratować, niestety bez jakichkolwiek zapasów. Po 19 dniach dryfowania trzech rozbitków zabija i zjada chłopca okrętowego. Konsumenci nazywają się Dudley, Stephens i Brooks , zjedzony nosi nazwisko Richard Parker. Cała sprawa znajduje, po cudownym ocaleniu uczestników posiłku, swój finał przed sądem jej Królewskiej Mości w Londynie, przechodząc do annałów sądownictwa jako przypadek znany później pod nazwą “Korona przeciw Dudleyowi i Stephensowi”.

Józef K. proszony przez dziecko o wyjaśnienie na czym polega rachunek prawdopodobieństwa, jak również jaka jest tegoż prawdopodobieństwa definicja, zaczyna powoli podejrzewać, że chyba nie najlepiej wybrał przykład. Czuje się nieswojo obawiając się, że ogarniające go poczucie zakłopotania jest nieprzypadkowe.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Nocny lot](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Artur Pym](#), [dziecko](#), [Mignonette](#), [Poe](#), [R. vs. Dudley & Stephens 1884](#), [Richard Parker](#), [Yann Martel](#)

55. [Opis zwycięstwa](#)

Marzec 22, 2009

Gdyby dręczony potwornym kacem generał Oskar Potiorek nie spędził wieczoru na pijatyce w klubie oficerskim, a potem w burdelu otyłej Madame Sbebetowic, lecz jak Pan Bóg przykazał, a zdrowy rozsądek podpowiadał, na łonie rodziny, wypadki potoczyłyby się z pewnością zupełnie inaczej. Ale spędził i teraz wszyscy byli wściekli, najbardziej zaś Rummerskirch, który po wizycie w ratuszu zastąpił Leopolda Loykę za kierownicą krowiastej limuzyny Gräf-Stift. Potiorek już trzy razy zmienił swe instrukcje dotyczące trasy

przejazdu do leżącego na drugim końcu miasta lazaretu, w którym na niezapowiedzianą wizytę Arcyksięstwa oczekiwał poraniony odłamkami rzuconego przez terrorystę granatu Merizzi. Gdy w końcu kolumna pojazdów osiągnęła i pokonała Latinsky Most, skołowany zupełnie Rummerskirch, miast pojechać prosto, skręcił w prawo, w ulicę Franciszka Józefa. Zauważywszy swą pomyłkę zatrzymał automobil i – przy akompaniamencie rzucanych półgłosem przekleństw Potiorka i pełnego irytacji posapywania Jego Arcyksiążęcej Mości – wrzucił wsteczny bieg, rozpoczynając w sposób nacechowany nieudolnością będącą przekleństwem ludzi niepewnych, mozolny manewr cofania. Być może, gdyby za kierownicą siedział dowiadczony Loyka, wszystko zakończyło by się pomyślnie, nie obeznajomiony jednak z wymaganiami limuzyny Rummerskirch wszystko pomylił i, przy akompaniamencie przeraźliwego zgrzytu

umęczonej skrzyni biegów, najzwyczajniej zadławił silnik. Od strony stojących na trotuarze gapiów rozległy się szydercze śmiechy i gwizdy. Na czole generała Potiorka pojawiły się grube krople potu, a twarz arcyksięcia oblała się purpurą.

Szczerliwym trafem szybko znalazło się kilku wiernych monarchii przechodniów gotowych popchnąć unieruchomiony automobil. Dołączył do nich młody, cherlawy człowiek ze śmiesznym wąsikiem, do tej pory obserwujący scenę z zalanego słońcem tarasu leżącej parę metrów dalej kawiarni Moryca Schillera.

Wspólnymi siłami udało się wreszcie nawrócić pojazd i uruchomić silnik. W momencie gdy limuzyna nabierała rozpędu, Zofia (dla jednych Chotek, a dla innych księżna von Hohenberg) zdołała jeszcze obdarzyć młodego człowieka w wyświechtanym ubraniu pełnym wdzięczności spojrzeniem.

Gawrił Princip odprowadził znikającą w

perspektywie ulicy limuzynę wzrokiem i skierował swe kroki w stronę tarasu kawiarni gdzie oczekiwał go napoczęty uprzednio sandwich. Po drodze, mijając kosz na śmieci, pozbył się bez żalu zawiniętego w brudną chustkę do nosa nowiutkiego browninga model FN 1910. Upalne popołudnie 28 czerwca 1914 roku dopiero się rozpoczynało. Gawrił cieszył się na nadchodzący, ciepły wieczór. Nudny, spokojny wieczór spędzony przy dźwiękach bośniackiej kapeli, misce z okraszoną smalcem kaszą i szklance chłodnego piwa.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [28 Juni 1914](#), [Arcyksiężę Ferdynand](#), [Gavrilo Princip](#), [Historie niebyłe](#), [I Wojna Swiatowa](#), [kasza](#), [Sarajewo](#), [smalec](#), [Zamach](#)

56. [Historia prawdziwa: bohater pracy](#)

Marzec 26, 2009

Będzie dla odmiany długo i wyczerpująco. Ale ciekawie. Znużenie historiami niebyłymi skłania nas do poświęcenia dla odmiany naszej uwagi faktom na pozór nieprawdopodobnym – choć starannie udokumentowanym . Tym razem chodzi o wielkiego człowieka, człowieka którego wielkość nie sprostała próbie czasu. Ale co tam.

Zdumiewająca doprawdy to postać i nie sposób zająć się wszelkimi aspektami życia i działalności tego giganta myśli i czynu. Dla nas powinno być ważne, że otrzymał wszystkie nieomal najwyższe polskie odznaczenia. Czy zasłużył, nie ma sensu dziś dociekać. Nie ma się zresztą czego wstydzić, inne narody nie były pod tym względem lepsze i wiedząc o jego słabości, obwieszały go bez umiaru. W ojczyźnie miłowano go do tego stopnia, że

nazwano jego imieniem osiem miast, jedną górę i jedną wyspę. Tylko jedną i to dziwi, bo wysp w ojczyźnie ojca narodu był przecież dostatek. Gdy zmarł, za jego trumną szły trzy bataliony królów, prezydentów i dyktatorów. W pierwszym rzędzie konduktu pogrzebowego dojrzeć można było zgodnie pogrążonych w smutku Helmuta Schmidta, Saddama Husseina, Jassira Arafata, Leonida Breżniewa i Margareth Thatcher. Tak odprowadza się prawdziwych bohaterów. Ale po kolei.

Nasz tytan urodził się 7 maja 1892 roku, zadekretował jednak, by poddani obchodzili jego urodziny 25 maja. Składanie hołdów wymagało odpowiedniej meteorologicznej oprawy, a takowa 7 maja była raczej niepewna.

W 1912, jako dwudziestoletni młodzian, przebywa akurat w miejscowości Cenkovo na terenie dzisiejszych Czech. Będąc z zawodu bezrobotnym dołącza się na niejasnych zasadach do strajku miejscowych robotników

domagających się wyższych zarobków. W trakcie strajku poznaje **Marusę Novakovą**, niepełnoletnią córkę miejscowego lekarza. Utrzymując się z pożyczanych i nie oddawanych pieniędzy, składa dziewczynie kilka interesujących ofert, między innymi propozycję okradzenia zamożnego tatusia i zbliżenia o charakterze intymnym. Marusa ustosunkowuje się pozytywnie, zaznacza jednak, że wolałaby wpierw udać się do ołtarza. Gdy nasz bohater dowiaduje się że Marusa jest w ciąży, deklaruje natychmiast, jak na prawdziwego mężczyznę przystało, gotowość zawarcia małżeństwa i przyjęcia posady załatwionej przez teścia. W dniu ślubu wsiada do pociągu z krótko przedtem poznaną Lizą Spinner i wyjeżdża do Wiednia. Syn Leopard Novakov przychodzi na świat w 1913 roku w Pradze Czeskiej.

Jest rok 1913. **Liza Spinner** kocha naszego bohatera miłością prawdziwą i

bezkompromisową. Przychodzi jej to tym łatwiej, że jest od niego o 10 lat starsza. W Wiedniu zajmują mały apartament, którego ciasnota staje się uciążliwa po tym jak wprowadza się doń dodatkowo Lizy najnowszy kochanek. Jak przystało na kochającą kobietę, Liza Spinner podczas rozlicznych miłosnych zmagañ drapie naszego bohatera a nawet namiętnie gryzie, ten zdradza jednak coraz większą irytację. W tym czasie bohater nasz udziela się od czasu do czasu lirycznie pisząc dla Lizy wiersze, a gdy nie pisze okrada ją regularnie z oszczędności aby mieć pieniądze na przygody natury damsko-męskiej. Pewnego dnia Liza oświadcza mu że jest w ciąży. Nasz bohater nie daje temu wiary, udaje się w podróż związaną z interesami i już więcej z niej nie powraca. Syn, Hans Spinner rodzi się w Wiedniu w 1914 roku, zostaje austriackim inżynierem, aby zostawszy wiele lat później powołany do Wehrmachtu, zginąć w 1943 roku

w Jugosławii, w trakcie walk z miejscowymi partyzantami.

W 1914 roku widzimy naszego bohatera w Zagrzebiu w towarzystwie **Teresy Stazner**, młodej damy z lepszego towarzystwa. Poznali się przypadkowo w Wiedniu na wyścigach konnych i tak zawiązała się nić sympatii. Teresa stara się pomóc naszemu bohaterowi uniknąć służby wojskowej – bez skutku. Ten, ze swojej strony, stojąc przed komisją poborową usiłuje symulować głuchotę, sprawa kończy się nieomal przed plutonem egzekucyjnym. Z twierdzy wyciąga go wreszcie ustosunkowany ojciec panny Stazner, niestety nie oznacza to zwolnienia od służby wojskowej. W trakcie służby bohater nasz uczy się strzelać i osiąga w tej dyscyplinie zdumiewająco dobre wyniki zdobywając trzecie miejsce w konkursie strzeleckim Cesarskiej i Królewskiej Armii. W końcu zostaje wysłany na front rosyjski i już z niego nie powraca. Z początkiem roku 1915

Tersa Stazner powije bliźniaki, Gabriellę i Paula. Gabriela umiera w kołysce, Paul zostaje później inżynierem.

W 1915 roku możemy spotkać naszego bohatera w Rosji, w okolicy przysiółka Korutowo, dokąd udało mu się akurat szczęśliwie zdezerterować. Spotyka się tutaj z całym szeregiem atrakcyjnych rosyjskich dziewcząt, jak również z młodymi, równie atrakcyjnymi mężatkami. Jedną z nich jest **Lusia Sedłowska**, kobieta wykształcona i obdarzona wszechstronnymi talentami. Nasz ulubieniec proponuje jej wspólną ucieczkę do Ameryki, Lusia nie reflektuje, bo się boi męża. I słusznie, ten bowiem zastając zakochaną parę w sypialni, tłucze żonę a do uciekającego amanta wali z dubeltówki. Lusia błaga, aby nie bił zbyt mocno, bo jest w ciąży. Syn, Kirył Sedłowski rodzi się jeszcze w 1915 roku, aby później zostać radzieckim weterynarzem. Poważnie postrzelony, trafia nasz protagonista

do lazaretu, gdzie opiekuje się nim pielęgniarka **Ira Gligoriewa**, z którą już uprzednio łączyły go zażyłe stosunki. Stanąwszy jako tako na nogi, poślubia ją w pobliskim Swiażeńsku. Ira jest zazdrosna o będącą w zaawansowanej ciąży Lusię, co doprowadza do niesnasek, jak również do nawiązania bliższych stosunków z niejaką **Darią Andirelową**, uroczą lekarką z arystokratycznym rodowodem, gotową dzielić z nim nie tylko łóżce lecz również wprowadzić go do lepszego towarzystwa. Ira Gligoriewa umiera w trakcie przedwczesnego porodu. Syn, Sierjoża Gligoriew zostaje później działaczem partyjnym w radzieckim Briamsku.

Po śmierci żony nasz bohater wprowadza się do willi Darii, gdzie obejmuje opiekę nad stajniami. Wkrótce przeprowadzają się oboje do Moskwy, w domu rodziców swej nowej oblubienicy poznaje **Ołę Kutinę**, uroczą studentkę nauk ekonomicznych. Daria Andirelowa pragnie zalegalizowania związku,

Ola w zasadzie też, ale się boi tatusia. Z Darią porozumienie jest trudne, źródłem niesnasek są wygórowane żądania finansowe kandydata na męża. W końcu Daria wyrzuca go z domu. Syn, Josip Andrilow przychodzi na świat w 1916 roku. Ginie zestrzelony w 1944 roku nad Berlinem jako pilot radzieckiego bombowca.

Z Moskwy udaje się nasz bohater do St. Petersburga aby odwiedzić **Ninę Bazan**, najlepszą przyjaciółkę wspomnianej już pobieźnie Oli. Nina ma siostrę bliźniaczkę o imieniu **Swietłana**, po upływie trzech miesięcy obie zachodzą w ciążę co jest kłopotliwe, ponieważ nasz bohater zaręczony jest z Niną ale zakochał się w międzyczasie w niejkiej Newie o której niestety niewiele wiadomo. Bliźniaczki, aby uniknąć skandalu postanawiają obciążyć odpowiedzialnością za brzemienny stan Swietłany jednego z jej nauczycieli. Sytuacja robi się nieprzyjemna gdy z sejfu rodziny Bazanów giną w niewyjaśnionych

okolicznościach kosztowności. Obrażony niesłusznym jego zdaniem podejrzeniami, bohater naszej opowieści wyprowadza się z niegościnnego domu, niestety nie zauważywszy, że w międzyczasie wybuchła rewolucja październikowa. Za brak papierów zostaje zaarrestowany i wysłany na Sybir. Syn, Władimir Bazan przychodzi na świat w 1918 roku. Zostanie lekarzem w Leningradzie.

W drodze na Syberię udaje się naszemu dobremu znajomemu wyskoczyć z pociągu w okolicach Omska. Otaczają go opieką miejscowi Kirgizi, schronienie znajduje ostatecznie w jurcie zamożnego posiadacza ogromnych stad bydła, niejakiemu Zalida Badahura. Badahur ma córkę niezwyklej urody o imieniu **Zuhra**. Nasz bohater zostaje pasterzem i obiecuje Zuhrze ożenek. 18. marca 1918 roku stają na ślubnym kobiercu. Zuhra zachodzi w ciążę. W zorganizowanym przez zwycięską Armię Czerwoną konkursie

jeździeckim Zuhra, mimo błogosławionego stanu, zdobywa główną nagrodę: szczerozłotą podkowę. Następnego ranka nasz bohater, z podkową w bagażu podręcznym dosiada konia i udaje się do Omska. Syn Kadi Badahur rodzi się w 1918 roku. Zostanie później inżynierem petrochemikiem w Baku.

Czasy były niebezpieczne. W drodze do Omska nasz jeździec zostaje zaarrestowany, na nic próby tłumaczenia że jest Kirgizem. W trakcie rozlicznych przesłuchań dostrzega nagle urocze dziewczę w mundurze i stwierdza, że chyba się znają. **Pelagija Bielolusowa**, pseudonim rewolucyjny Polka, też sobie coś przypomina. To ona po raz pierwszy pokazuje mu przechowywaną na piersi fotografię wodza rewolucji Włodzimierza Ilicza. Mimo pewnych nieporozumień wynikłych z przelotnej znajomości naszego bohatera z mieszkającą w sąsiedztwie nauczycielką, niejaką **Anną Iwanowicz**, wszystko kończy się dobrze.

Związek małżeński zostaje zawarty 19 czerwca 1919 roku. Syn Zarko Broz przychodzi na świat tego samego roku, zostaje zawodowym wojskowym i żyje po wojnie w Jugosławii.

Czasy były nadal niebezpieczne, ale też nad wyraz ciekawe. Na pewien czas tracimy naszego bohatera z oczu. W 1934 roku widzimy jak opuszcza więzienie w Omsku i zamieszkuje u prawosławnego biskupa o nazwisku Rozman. Przedstawia się jako inżynier Rudi, Austryjak. W ogrodach biskupich poznaje dziewczę o imieniu Vida. Odkrywają, że łączy ich wspólne umiłowanie muzyki, Vida pragnie udać się do Wiednia aby studiować grę na fortepianie w tamtejszym konserwatorium. W przebraniu uciekają wspólnie przez zieloną granicę. **Vida Kogej** zostaje studentką, bohater nasz natomiast nawiązuje bliższe kontakty z miejscowymi komunistami. Przyprawia nawet do domu rozmaite kobiety przedstawiając je Vidzie jako aktywistki i

działaczki. Vida zachodzi w ciążę a nasz ulubieniec postanawia ją poślubić. Dochodzi jednak do wniosku, że jego miejsce jest jednak gdzie indziej i opuszcza Wiedeń. Syn, Dymitr Kogej przychodzi na świat w 1935 roku w Wiedniu. Zostanie potem profesorem muzyki. W 1935 roku widzimy go znów w Moskwie jako pracownika Kominternu. Tym razem występuje pod pseudonimem Walter. Biuro obok zajmuje **Elsa Gerlach**, pseudonim Rider. Prawdziwa, oddana sprawie komunistka. Zauważywszy, że w jego pokoju pali się światło do późnych godzin wieczornych, Elsa oskarża Waltera o uleganie burżuazyjnym nawykom i zużywanie zbyt dużej ilości energii elektrycznej. Sprawa kończy się na szczęście samokrytyką. Walter zwraca się do Komitetu Wykonawczego Kominternu o pozwolenie poślubienia towarzyszkii Rider i pozwolenie otrzymuje. Oboje wprowadzają się do luksusowego jednoizbowego apartamentu z

niszą kuchenną wyposażonego nawet w radio. Elsa Gerlach, będąc czujną komunistką nie spuszcza oka ze swego Waltera, przeważnie ku jego niezadowoleniu. W międzyczasie rozpoczął on mianowicie romans z obiecującą aktorką **Wasyliśszą Koweszniową**. Zupełnie nieuzasadniona nieufność Elsy denerwuje go do tego stopnia, że zmuszony jest poinformować organa bezpieczeństwa o jej rzekomych kontaktach z amerykańskimi szpiegami. Jest rok 1937. Elsa znika bez śladu, zdążywszy jeszcze w areszcie urodzić syna Wiktora Gerlacha, dalsze losy nieznane.

Zmiana dekoracji. W 1937 roku widzimy naszego bohatera jak wysiada z pociągu na paryskim dworcu. Na ulicy spotyka kobietę z córeczką. **Jeanne Coitier** jest młodą wdową, córeczka ma na imię Danielle. Rozmawiają ze sobą po rosyjsku bo tak się składa, że ona zna ten język. Gdyby nie знаła, raczej nie mogli by się ze sobą porozumieć. Ale zna. Jeanne

zgadza się udzielać naszemu bohaterowi lekcji francuskiego. Gdy zachodzi w ciążę, nasz pieśczoł dochodzi do wniosku, że chyba jednak nie lubi dzieci. Kłótnia i rozstanie. Syn, Oliver Coitier ur. 1938 żyje w Paryżu jako fizyk jądrowy.

Zuhra Reuf-Anadolka jest kobietą bajecznie bogatą. Nasz bohater, zajęty konspiracją lecz utrzymujący się z hazardu, postanawia poświęcić jej zatem jak najwięcej szczerego zainteresowania. Jej powszechnie znany i raczej swobodny stosunek do spraw damsko-męskich bynajmniej go nie odstręcza. Za pośrednictwem przyjaciół wynajmuje za pożyczone pieniądze pałac hiszpańskiego markiza i zdradza wybrance swego serca, że jest właścicielem kopalni złota w Jugosławii. Nasz nowo wykreowany krezus oświadcza się, oświadczyzny zostają przyjęte. Razem udają się do Turcji aby uzyskać zgodę tatusia. Tatuś zgodę wyraża i ślub zostaje zawarty w Paryżu.

Lipiec 1937 roku para spędza w podróży poślubnej w Turcji. Po powrocie do Francji, nasz bohater pragnie zamieszkać u żony, ona woli jednak mieszkać w jego pałacu. Na to on oddaje klucze do zamku, oświadczając jednocześnie małżonce, że obiekt sprzedał aby pokryć długi, posiadana zaś przezeń kopalnia złota najzwyczajniej zbankrutowała. Udaje się następnie w podróż do Chorwacji, a gdy wraca musi stwierdzić, że żona w międzyczasie nie tylko nie dochowała mu wierności lecz chyba wprost wręcz przeciwnie. Jest oburzony, dochodzi do kłótni. Zuhra nakazuje służącym wyrzucić go za drzwi. Wspólny syn, Izet Reuf przychodzi na świat w Paryżu w 1938 roku. Żyje później w Stambule jako zamożny turecki kupiec.

W 1940 roku widzimy go ukrywającego się przed Gestapo w wiedeńskim mieszkaniu **Herthy Haas**, poznanej jeszcze w 1937 roku w Paryżu znajomej. Hertha jest aktywistką

działającej w podziemiu partii komunistycznej a poza tym w zaawansowanej ciąży. Z naszym bohaterem oczywiście, który w nie cierpiących zwłoki sprawach musi udać się do okupowanej przez Niemców Jugosławii. Syn, Aleksander Misza Broz , ur. 1941, zostaje oddany do przytułku, miejsce kobiety jest przy boku walczącego z okupantem oblubieńca. Gdy przybywa jednak na miejsce, dowiaduje się, że ten związał się w międzyczasie z jakąś Daworjanką. Taki pech.

W 1941 roku nasz ulubieniec piastuje już stanowisko sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Jugosławii. Jego towarzyszką życia i walki jest oficjalnie niejaka **Ljubimka Djodjevic-Buba**. Oficjalnie. **Daworjanka Paunowic-Zdenka** jest jedynie sekretarką. Prawdziwe uczucie nie zna jednak przeszkód i Daworjanka, mimo gwałtownego sprzeciwu Komitetu Centralnego, zajmuje szybko jej miejsce. Po czym zachodzi w ciążę a

krótco potem dostaje gruźlicy. Syn, Sławisza Paunowic zostaje umieszczony u serbskich dziadków w miejscowości Foca, a Daworjanka udaje się do ZSSR na leczenie. Zamiast dbać o zdrowie, wygłasza tam płomienne mowy na rozlicznych manifestacjach i wiecach. W 1945 roku bohater nasz wprowadza się – tym razem już na stałe – do prawdziwego pałacu, Dworjankę umieszcza zaś w sanatorium, w którym umrze ona 1 maja 1948 roku. Po jej śmierci oświadczy zgromadzonym towarzyszom, że była to największa miłość jego życia.

Dręczony przez kamice żółciową i depresję, bohater nasz zamienia się w miarę upływu lat w introwertyka, traci na pewien czas zainteresowanie nowymi związkami i oddaje się nowemu hobby – sprawowaniu niepodzielnej władzy. Jednym z jego pierwszych darów dla miłującego go narodu jest stworzenie obozu pracy dla przeciwników

politycznych, w związku z czym, z czasem przeciwników ubywa, a miłujących go poddanych wciąż przybywa. **Jovanka Budisavljević (Stevo)** umieszczona zostaje w pałacu już w 1945 roku, w jakim charakterze trudno dociec bo Davorjanka jeszcze żyje a nasz ulubieniec interesuje się głównie śpiewaczką operową **Zinką Kunc**, Ta jednak, jest bardziej zainteresowana rozwojem własnej kariery i daje naszemu bohaterowi, noszącemu teraz na co dzień skromny mundur marszałka, najzwyklejszego kosza. Co gorsza, odmawia wysłuchania jego argumentów, woląc zamieszkiwać sobie z dala od stron rodzinnych w obcym kulturowo Paryżu. Ślub z Jovanką odbywa się w 1959 roku. Razem zamieszkują w 40 pałacach, które wdzięczny naród podarował swemu ukochanemu przywódcy. Razem hodują konie wyścigowe, kolekcjonują biżuterię i oddają się wspólnemu hobby jakim jest czyszczenie jego nieprzeliczonych odznaczeń,

jedzenie ostryg, podróże po kraju prywatnym pociągiem i spędzanie czasu na rozlicznych luksusowo wyposażonych jachtach. Szczęśliwa codzienność zostanie przerwana raz tylko, gdy małżonka umieszczona zostaje w areszcie domowym pod zarzutem przygotowywania spisku. W tym czasie, w międzyczasie sędziwy już nasz bohater poświęca swój czas śpiewaczce operowej **Gertrudzie Munitic**. Gdy się z nią rozstanie, Jovanka przywrócona zostanie do łask, a mąż wyda dekret przyznający jej po jego śmierci dożywotnie bajeczne apanaże i przywileje prezydenckiej wdowy.

Wesołe lata siedemdziesiąte XX wieku zbliżają się jednak nieuchronnie ku końcowi. Gospodarka spoczywa w ruinach, w kraju wybuchają pierwsze zamieszki. Latem 1980 roku, mimo wysiłków lekarzy, nasz Casanova umiera w stosunkowo młodym wieku 88 lat. Natychmiast po pogrzebie ojca narodu,

wdzięczny naród pozbawia wdowę wszelkich przywilejów i umieszcza ją w areszcie domowym.

Rozpoczyna się czas wielkiego zamętu. Josip Broz Tito, ulubieniec zachodnich demokratów i twórca Ruchu Państw Niezaangażowanych, kawaler nieomal wszystkich znanych i całego szeregu mniej znanych Krzyży, Gwiazd i Orderów, niepodzielny władca swego kraju przez okres 35 lat zniknął w mrokach historii, z których się uprzednio wyłonił, i mało kto dziś o nim pamięta. Niesłusznie. Gdyby ktoś wpadł na pomysł napisania scenariusza filmowego, którego fikcyjny bohater przypomina postać opisaną powyżej, uznano by go bez wątpienia za obdarzonego rozpasaną wyobraźnią i skłonnego do niebotycznej przesady fantastę. Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Bohater Pracy Socjalistycznej](#), [Broz-Tito](#),

[Historia](#), [horror feminizmu](#), [Jugosławia](#), [męski szowinizm](#), [poligamia](#), [polityka](#), [potencja](#), [promiskuityzm](#)

57. [Wieczny tułacz](#)

Marzec 30, 2009

“C’est l’antisémite qui fait le juif”
J-P. Sartre, “Réflexions sur la question juive”

Antysemita, przybywszy w okolice bliżej mu dotąd nie znane, rozgląda się uważnie. Choć znużony wędrówką, stara się mimo skrajnego wyczerpania nie utracić tak potrzebnej czujności. Poszukiwania nie są łatwe, a wróg może się czaić wszędzie. Na szczególną nieufność zasługują zamożni lub wykazujący się starannym wykształceniem. Obdarzeni nieprzeciętnymi talentami bądź znajomością języków innych niż własny. Pewną wskazówkę stanowić może również brak agresji, lub pełen

poświęcenia, lecz jakże pozorny i niesłuszny patriotyzm.

Wbrew popularnemu mniemaniu, porównywanie kształtu nosów i zagłębienie do gaci nie jest jego specjalnością. Już nie.

Poszukiwanie Żyda w bliźnim jest misją niemożliwą do spełnienia bez wytrwałości i wyrzeczeń. Zajęciem znojnym, zmudnym i wymagającym poświęceń. Nie zawsze uwieńczone bywa ono sukcesem.

Nie zdoławszy Żyda odnaleźć, antysemita niezwłocznie rusza w dalszą drogę. I tak już od tysiącleci. Pokryty kurzem minionych wędrówek, spragniony zrozumienia i narażony na wytykiwanie palcami przez prześmiewców, przenosi się z miejsca na miejsce, wierząc głęboko, że kiedyś wreszcie modlitwy jego zostaną wysłuchane. Że kiedyś musi się udać. Nie zazna spokoju aż nie dopełni się misja. Antysemita. Wieczny tułacz.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Antysemita](#), [Wieczny tułacz](#), [nienawiść](#), [Paradoks](#), [Sartre](#), [żyd](#), [żydzi](#)

58. [Z notatek Doktora Jetzingerera](#)

Kwiecień 3, 2009

12 października 1888 roku
Wczoraj ponownie była u mnie Klara Plötzl. Znów powtórzyły się dantejskie sceny z zeszłego czwartku. Tak jak za pierwszym razem, przyszła wieczorem, gdy za ostatnim pacjentem zamknęły się drzwi gabinetu. Praktyka opustoszała, a Frau Bloch, jak co wieczór opróżniwszy autoklaw, uporządkowawszy narzędzia i zamknawszy szafę z kartotekami, zakładała palto szykując się do wyjścia. Mimo późnej pory zgodziłem się zostać dłużej, wiedząc z góry, że oczekująca mnie rozmowa, znów do niczego nie

doprowadzi. Atmosfera była ciężka, na twarzy Plötzl widać było ślady bezsennej nocy. Zaklinała mnie ponownie bym podjął się zabiegu. Tłumionym przez łzy głosem opowiadała o nocnych koszmarach. O trójce dzieci, które pochowała przed ponad rokiem i dwójce z poprzedniego małżeństwa, którą musi się przecież opiekować, o codziennej bezsilności, rozpacz, o niewyobrażalnym znużeniu i ciężącym nad jej związkiem z Aloisem przekleństwie. O pijaństwie i brutalności męża. A gdy wyczerpały się wszystkie inne argumenty, o dręczących ją złych przeczuciach. Zapytałem, czy mąż już wie, ale nie odpowiedziała, odwróciła tylko głowę zagryzając wargi. Nie wiedziałem co mogę jeszcze powiedzieć, do jakich argumentów się uciec. Nie mieści mi się nadal w głowie, dlaczego tak bardzo chce się pozbyć tej ciąży. Na koniec rzuciła się na kolana i zagroziła, że się zabije jeśli jej nie pomogę.

Wskazałem na wiszący na ścianie krucyfiks i zapytałem, czy jako katoliczka będzie mogła żyć dalej z myślą, że pozwoliła zabić bezbronną i niewinną istotę, najcenniejszy dar Pana naszego. Nie wyglądała na przekonaną. W końcu udało mi się ją wreszcie trochę uspokoić mówiąc, że potrzebuję czasu do namysłu i ostatecznej odpowiedzi udzielię jej następnego dnia. Wyszła bez słowa, a chwilę później ja również mogłem pogasić światła i udać się wreszcie do domu. To niewiarygodne jak wyczerpująca może być praca lekarza.

- - -

Jetzinger westchnął, odłożył pióro, osuszył ostatnie linijki kawałkiem świeżej bibuły i zamknął oprawiony w czarne płótno notatnik. Za wychodzącym na Spitalgasse balkonowym oknem zapalały się kolejno gazowe latarnie. Powoli wstał zza biurka, założył palto, kapelusz, owinął szyję szalem i postukując o deski podłogi szpicem wielkiego czarnego

parasola opuścił gabinet zamykając za sobą drzwi. Frau Bloch siedziała w wiodącym do gabinetu pomieszczeniu, porządkując cierpliwie rozłożone w świetle rzucanym przez osłoniętą zielonym kloszem lampę kartoteki.

- Wychodzę dzisiaj wcześniej – powiedział – i będę miał do pani małą prośbę.

Bloch uniosła w milczeniu głowę. Pytające spojrzenie znad krawędzi drucianych oprawek okularów sprawiło, że poczuł się nagle nieswojo.

- Za godzinę może przyjdzie pacjentka –ciągnął Jetzinger – ta sama co wczoraj, Klara Plötzl. Proszę jej powiedzieć, że nic nie będę mógł dla niej zrobić.

- Najwyższy czas – powiedziała Frau Bloch – najwyższy czas panie doktorze, aby pan przestał używać jej panińskiego nazwiska. Ona się teraz nazywa po mężu Hitler.

- Słusznie, słusznie – mruknął Jetzinger – przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

Wyszedł. Schodząc po schodach otulił się jeszcze szczelniej płaszczem przygotowując się na wilgotny podmuch jesiennego wiatru. Zanosilo się na deszcz.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Aborcja](#), [Bernau am Inn](#), [Hitler](#), [ironia](#), [katolicyzm](#), [koszmary](#), [Paradoks](#), [przeczcucia](#), [Wiara](#)

59. [Myśl i język](#)

Kwiecień 6, 2009

Zarzut zezwierzęcenia lub zbydlęcenia stawiamy jedynie ludziom. Zachowanie określane potocznie jako nieludzkie, dotyczy również z reguły korony stworzenia, nie zaś pieska, kotka lub żyrafy.

To jest tylko z pozoru zabawa słowami. Czy język (jego struktury) determinuje nasze

myślenie? Czy też raczej, sposób w jaki myślimy znajduje odzwierciedlenie w naszej mowie? Na pozór proste, ale jak wszystko na pozór proste – niebywale skomplikowane. Piaget poprawiał Wygotskiego i udałoby mu się go nieomal pogrzebać w kaloszach, gdyby nie nieoczekiwane wsparcie ze strony Bachtina, który pomysły Wygotskiego wprowadził do psychologii kognitywnej tylnymi drzwiami opatrzonymi tabliczką z napisem “teoria literatury”. Wygotski nie mógł się odwdzięczyć bo umarł na gruźlicę, zanim jednak umarł, nie miał najmniejszych wątpliwości i twierdził konsekwentnie, że możemy jedynie pomyśleć to, co jesteśmy w stanie ubrać w słowa. Innymi słowy: myślenie i język są dla niego nierozdzielalne, a język wyprzedza myśl.

Dygresja.

Dlaczego Wygotski tak twierdził i jaki ma to związek z socjalizacją dzieci? To jest zasadniczo ważne, ale nie w tej chwili i nie w

tym miejscu akurat. Podobnie jak nieistotna jest tutaj informacja, co też uwielbiany zasadniczo przez psychologów i lingwistów Michał Michajłowicz Bachtin wysmażył, aby jego prace uniknęły kolizji z opublikowanym w 1950 roku dziełem innego genialnego lingwisty Józefa Wissarionowicza S.. Dzieło tego ostatniego nosiło tytuł „Marksizm i zagadnienia językoznawstwa” a kolizja wydawała się nieunikniona. Bachtin zainteresowany był uniknięciem tejże ze względów zasadniczych. Pewien wpływ na jego determinację miały interesujące warunki pracy jakie konkurent do naukowych wawrzynów stworzył mu w okolicach kazachskiego miasteczka Kustanaj, gdzie w latach 1929-1936 niebywale był potrzebny buchalter. Koniec dygresji.

Podając informacje marginalne, odpływamy coraz dalej od istoty problemu. A zatem: Wygotski. Myślenie jako proces wtórny w

stosunku do języka. Słowo musi istnieć aby móc być pomyślane, a żeby zaistnieć, ktoś musi je wypowiedzieć. Karkołomne? Być może. Z drugiej strony byłoby to jakieś wytłumaczenie, jaki sens ma nieprzerwanie wzbierająca rzeka słów nie skażonych żadną myślą..Myśl wyłoni się zapewne później ze spienionych odmętów mowy utrwalonej jako pismo. Ewolucja jest sprytna i najwidoczniej wiedziała co robi tworząc blogosferę. Ponieważ miejsce to ma ambicje uchodzić za przyzwoite, zdanie kreacjonistów nas nie w tym wypadku nie interesuje.

Józef K., zasadniczo zgadzając się z teorią Wygotskiego, ma jednak poważny problem. Sen z powiek spędza mu jawiący się od czasu do czasu przed oczyma wyobraźni obraz. Obraz głuchoniemego od urodzenia, myślącego intensywnie na migi.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Nocny lot](#), [brudnopis](#) · Tagi:

[Bachtin](#), [dygresja](#), [Ewolucja](#), [Józef K.](#), [Jean Piaget](#), [Kreacjonizm](#), [Lingwistyka](#), [Wygotski](#)

60. [Doniosłe chwile w dziejach ludzkości. Herostrates](#)

Kwiecień 11, 2009

„Bevor ich ein endgültiges Urteil über Herostrat abgebe, würde ich gerne ein Bild des Tempels sehen.“

Karl Kraus

Na pomysł aby stworzyć listę przebojów widocznych osiągnięć rodzaju ludzkiego wpadł jako pierwszy niejaki Antypater z Sydonu, bazarz i turysta, zwany przez potomnych z nieznanych powodów również uczonym. W stworzonych około 130 roku (przed narodzeniem) “Epigramach” wymienia siedem budowli starożytności, które jego zdaniem godne są obejrzenia. Większości z nich nigdy

nie widział bo opisał je mylnie, innych znów widzieć nie mógł, bo za jego czasów już nie istniały. Wiszące ogrody Semiramidy na przykład, ani nie miały nic wspólnego z Semiramidą ani też nie wisiały, ale co tam, już wówczas bardziej liczyły się chęci niż rzetelna wiedza. Chęci Antypatrowi najwidoczniej nie brakowało.

Pomysł, aby nazwać wymienione przez Antypatra atrakcje turystyczne (theámata) cudami, narodził się w głowie niejakiego Filona z Bizancjum. Filon znał się co prawda na pneumatyce, konstrukcji katapult i budowie portów, uważając się jednak za człowieka wszechstronnego, zajął się również pisaniem o świecie. Fakt, że nie podróżował i w związku z tym raczej niewiele widział, nie stanowił większej przeszkody w napisaniu dzieła o wymownym tytule „De septem mundi miraculis“. I tak już nam pozostało, wymyślić dwóch ignorantów przeszły do historii jako

antyczna wizja świata.

Siedem cudów świata było zresztą już w starożytności co najmniej jedenaście, bo co rusz ktoś miał ambicję aby coś nowego dopisać lub skreślić. Pozycję szóstą na pierwszej liście przebojów zajmowała Świątynia Artemidy w Efezie, jakimi kryteriami autor się posłużył pozostanie zagadką. Budowli na oczy nie widział, nie mógł też znać nikogo kto ewentualnie widzieć mógł. Zbudowana w znacznej części z materiałów łatwopalnych świątynia, zamieniła się w zgliszcza 200 lat przed powstaniem antypaterskich „Epigramów” dzięki odwadze i stanowczości niejakiego Herostratesa, którego imienia nikt by sobie dzisiaj nie przypominał, gdyby we władzach miasta Efez nie zasiadali wyjątkowi idioci. Wierząc w moc sprawczą postanowień o charakterze administracyjnym, rada miejska pięknego miasta Efezu wydała dekret nakazujący potomnym skuteczne zapomnienie

imienia spragnionego wiecznej sławy piromana. Idiotyzm tej absurdalnej decyzji był tak ewidentny, że Teopomp z Chios nie mógł się najzwyczajniej oprzeć pokusie i powracał w swych rozlicznych rozprawach do wzmiankowanej historii jak pijany do płotu. I stało się jak było do przewidzenia: niezliczone są zabytki starożytności i wszystkie one, z wyjątkiem piramidy Cheopsa, spoczywają dziś w gruzach. Tylko w jednym, jedynym przypadku przetrwało do dziś imię sprawcy zniszczeń. Powinno to zasadniczo dać do myślenia współczesnym nam twórcom aktów prawnych, ale pewnie znów wymagamy zbyt wiele.

Legenda, jakoby największy barak (kolumnada marmurowa, konstrukcja dachu i ścian z drewna cedrowego) starożytności spłonął w dniu narodzin zbrodniarza wojennego Aleksandra zwanego obecnie Wielkim, pozbawiona jest znamion wiarygodności.

Zawdzięczamy ją najprawdopodobniej sprytowi Efezyjczyków poszukujących sponsora gotowego partycypować w kosztach odbudowy. Starania uwieńczone zostały sukcesem.

Zabłąkani w okolice tureckiej miejsciny Selçuk turyści mogą podziwiać pasące się kozy i stojącą samotnie na podmokłym terenie kolumnę, jedyną pozostałość po odbudowanym cudzie antycznego świata.

Po dawno zrównanym z ziemią Efezie pozostał w pamięci potomnych jeden, jedyny ślad w postaci imienia pewnego handlarza (jak chcą jedni) lub szewca (jak chcą inni), który lubił przyglądać się płomieniom.

—
Wszystkiego dobrego i spokoju ducha z okazji Świąt Wielkanocnych, które są pogodne i z powyższym tekstem naturalnie nie mają nic wspólnego.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Powszechna historia](#)

[idiotyizmu](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Pamięć](#), [Idiotyzm](#), [Efez](#), [Aleksander Macedoński](#), [Wielkanoc](#), [Izmir](#), [Herostrates](#), [Kraus](#), [kozy](#)

61. [Frrrrrrr...](#)

Kwiecień 14, 2009

Brak bodźca może być również bodźcem. W latach 70-tych zeszłego stulecia (a zatem bardzo dawno temu) Pribram przytaczał wielokrotnie historię pewnej nowojorskiej kolejki nadziemnej. Mieszkańcy domów usytuowanych wzdłuż torowiska przesypiali jej hałaśliwy przejazd o trzeciej nad ranem. Po likwidacji linii i demontażu torów budzili się o tej właśnie godzinie. Trwało to, dopóki nie przyzwyczaili się wreszcie do nieoczekiwanej ciszy.

Józef K., który pouczającą tę historię wziął sobie do serca, bezskutecznie usiłuje się obudzić na odgłos budzika pożyczonego

nieopatrznie znajomemu. Później, przyglądając się malejącej w błękitie przestworzy sylwetce samolotu, składa starannie lotniczy bilet i chowa do portfela. Na pamiątkę.

Na pamiątkę odkrycia, że rozdźwięku pomiędzy urzekającą teorią a przyziemnością zdarzeń codziennych nie należy jednak lekkomyślnie ignorować.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Nocny lot](#), [brudnopis](#) · Tagi: [bodźce](#), [kolejka](#), [hałas](#), [New York](#), [praktyka](#), [Pribram](#), [rzeczywistość](#), [teoria](#)

62. [Orientacja seksualna](#)

Kwiecień 16, 2009

Georg Joachim Iserin urodził się 16. lutego 1514 roku, jako syn miejscowego lekarza w Feldkirch, w dzisiejszej Austrii. Trudno go odszukać we współczesnych encyklopediach,

zmieniał bowiem nazwiska i przydomki jak rękawiczki. Niepokojne były to czasy, a Georg Joachim nie miał łatwo. Z rozmaitych powodów. Gdy skończył wiosen 14, był świadkiem egzekucji swego oskarżonego o czary (według jednych źródeł) bądź o okradanie pacjentów (według źródeł innych) ojca. Ojca nie tylko ścięto, trybunał zakazał również wymawiania jego nazwiska po wsze czasy. Georg Joachim zwie się zatem po matce de Porris i kontynuując rodzinną tradycję postanawia zostać lekarzem. Studiuje wpieryw w rodzinnym Feldkirch a potem w Zurychu. Zurych opuszcza w niejasnych okolicznościach i pod osłoną nocy w 1531 roku. Rok później spotykamy go w Wittenberdze, student medycyny de Porris nazywa się teraz dla odmiany von Lauchen i jest studentem matematyki. Tamże, w niewinnym wieku lat 23 obejmuje katedrę matematyki niższej. Profesorowanie nie trwa długo, po niecałym

roku opuszcza (również w niejasnych okolicznościach i nader pośpiesznie) Wittenbergę aby pojawić się dla odmiany w Norymberdze. Tutaj podaje za się wydawcę i ob staje przy tym, że nazywa się teraz tylko i wyłącznie Rheticus. Dowiedziawszy się od Johannes Schoenera o kontrowersyjnych tezach żyjącego w odległych Prusach i nieznanego jeszcze ogółowi uczonego, nakłania miejscowego drukarza Johannes Petreiusa do zamówienia dużej ilości wytwarzanego w pobliskiej papierni towaru i rusza w drogę. Płacić nie musi, z wiodącym żywot samotnika przystojnym drukarzem łączą go zażyłe a nawet przyjacielskie stosunki.

W maju 1539 roku widzimy go jak przekracza bramę miasta Frauenberg, polskiemu czytelnikowi znanego pod spopularyzowaną później nazwą Frombork. W sakwach trzy otrzymane w podarunku od Petreiusa księgi mające zjednać mu przychylność uczonego. Ten

zaś, nie tylko przyjmuje prezenty, lecz również przytuła do serca i wprowadza Georga Joachima w tajniki swej ukrywanej przed czujnym okiem Watykanu, na razie egzystującej jedynie w formie rękopisu, teorii. Upalne lato spędzają razem w Lubawie, w ciągu najbliższych ponad dwóch lat Georg Joachim opuści swego uczonego przyjaciela tylko dwa razy. Raz aby wygłosić cykl wykładów w pobliskim Gdańsku a drugi raz, aby prosić Księcia Albrechta Pruskiego o wyrażenie zgody na druk tez swego najukochańszego mentora. Albrecht zgodę wyraża, stawia jednak warunek: Georg Joachim ma opuścić Frombork i kontynuować swą naukową karierę w odległym zakątku Niemieckiej Rzeszy. Nie wiemy co go skłoniło do tej decyzji ani jakich argumentów użył. Georg Joachim opuszcza chorego przyjaciela i udaje się do Wittenbergi, gdzie oczekuje go stanowisko dziekana wydziału sztuk. W bagażu podręcznym rękopis,

najcenniejszy dowód zaufania. Tu również nie zagrzewa miejsca i w maju 1542 widzimy go w Norymberdze u serdecznego przyjaciela Petreiusa. W październiku natomiast rozpoczyna cykl wykładów w Lipsku, gdzie ofiarowano mu katedrę matematyki wyższej. Uczony przyjaciel w dalekim Frauenburgu nie doczeka wydania dzieła, umiera w samotności i niedostatku w maju, traktat zaś ukazuje się drukiem w nakładzie 500 egzemplarzy latem 1543 roku. Georg Joachim, mimo opieki rozlicznych przyjaciół, patronów i mentorów nie zdoła przechytrzyć przeznaczenia. W Lipsku zabawia zdecydowanie zbyt długo. W 1551 zostaje przyłapany “in flagranti” ze jednym ze swych podopiecznych i jego zwana wówczas uroczą sodomią “przypadłość” staje się, przynajmniej w Saksonii, dobrem publicznym i powszechnie znanym. Georg Joachim ucieka nocą do Pragi, proces odbywa się pod jego nieobecność i kończy, zamiast

zwyczajowym wyrokiem spalenia na stosie, jedynie konfiskatą majątku i relegowaniem z uczelni na okres 101 lat. W Pradze podejmuje studia medyczne ale i tu wnet docierają wiadomości o jego orientacji seksualnej, podobnie dzieje się w Wiedniu, gdzie pragnie objąć bezskutecznie katedrę matematyki.

Schronienie znajduje ostatecznie w Krakowie, gdzie w oddaleniu od naukowych ośrodków cesarstwa, w zaciszu kontynuuje swe studia trygonometryczne utrzymując się z leczenia przygodnych pacjentów nieświadomych jego przeszłości. Co skłoniło go po 20 latach do nagłego opuszczenia Krakowa i udania się do węgierskich Koszyc pozostanie prawdopodobnie na zawsze tajemnicą.

Georg Joachim primo voto Iserin, secundo voto von Lauchen, tertio voto Rheticus, matematyk, lekarz, astronom, człowiek wielu talentów i częstych gwałtownych przeprowadzek pod osłoną nocy, umiera w Koszycach, 31 lat po

śmierci swego mentora z którym łączyło go uczucie oddania oraz serdeczna, męska przyjaźń. Polskim czytelnikom zapadł Georg Joachim w pamięć jako Jerzy Joachim Retyk. Jedyny uczeń, powiernik i najbliższy przyjaciel lat schyłkowych Mikołaja Kopernika z Torunia. Niczego, doprawdy niczego nie mamy zamiaru sugerować. Pozdrawiając jednocześnie serdecznie wszystkich oddanych patriotów spod znaku katolickiego konserwatyzmu. Niewykluczone, że mogą oni mieć mały problem.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#)

·Tagi: [Iserin](#), [Kopernik](#), [Koszyce](#), [Melachton](#), [orientacja seksualna](#), [Rheticus](#), [Retyk](#), [sugestia](#), [von Lauchen](#)

63. O nieśmiertelności

Kwiecień 28, 2009

Borges pisał onegdaj, że zwierzęta – jako że nie znają śmierci – są nieśmiertelne. Tak on to sobie wykombinował, ten Borges. Czapki z głów.

Myszkin, przeczytawszy Borgesa, postanowił ukatrupić ulubionego chomika kanonika Vaubain. Chomikowi, jeśli założyć, że Borges miał rację, nie powinno było to sprawić specjalnej różnicy. Myszkinowi, który kanonika nie cierpiał – wręcz przeciwnie.

Dowiedziawszy się od wścibskiej sąsiadki, że należący do kanonika Vaubain chomik przeszłej jesieni odstawił sandały, Myszkin przelał swą niechęć na Borgesa.

Nie będzie mi się – powiedział – staruch głupio wymądrzał.

I powziął solenne postanowienie poinformowania pisarza o utracie jego,

myszkinowskiego szacunku. Za trzy tygodnie najpóźniej. Natychmiast po powrocie z od dawna wymarzonych i jakże zasłużonych wakacji.

Już za parę dni. Dwa cudowne tygodnie spędzone na letnisku w Uqbar, nie zmacone widokiem facjaty kanonika albo wspomnieniem argentyńskich bibliotekarzy z wadą wzroku.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [chomik](#), [Jorge Luis Borges](#), [Kanonik Vaubain](#), [Myszkin](#), [nieśmiertelność](#), [Surrealizm](#), [Uqbar](#)

64. Hagiografia: Święty Sebastian

Maj 5, 2009

Święty Sebastian żył krótko ale za to intensywnie. Jest przykładem ilustrującym tezę, że żelazna konsekwencja przeważnie doprowadzi nas do upragnionego celu. Celem

Sebastiana było zginąć śmiercią męczeńską i należy podkreślić, że nie tylko nie szczędził starań, ale w dodatku zostały one uwieńczone spektakularnym i trudnym do powtórzenia sukcesem. Święty Sebastian poniósł śmierć męczeńską dwukrotnie. Ha!

W dziejach świętego Sebastiana mało rzeczy jest pewnych. Do niewielu, które uznawane są za bezsprzeczne należy data ostatecznego zejścia z tego padołu: rok 288 naszej ery. Reszta jest prawdopodobnie legendą. Nie wiemy nawet czy urodził się w Narbonne (jak chcą jedni) czy też był synem mediolańskiego kupca (jak dowodzą inni). Nie to wydaje się być jednak istotne. Istotne jest natomiast tło historyczne. W cesarstwie panuje Dioklecjan, cesarz myślący trzeźwo i raczej nie przepadający za chrześcijanami. Obok rozlicznych reform administracyjnych wsławił się on wydaniem czterech edyktów skierowanych przeciw zwolennikom

stosunkowo nowej ale już nader rozpowszechnionej religii, jak również tym, że umarł w podeszłym wieku przebywając na zasłużonej emeryturze. Z ręki własnej i we własnym łóżu. Nieczęste osiągnięcie jak na rzymskiego cesarza.

Nie wiadomo co skłoniło Dioklecjana (lub jego kolegę Maximiliana) do powierzenia Sebastianowi zaszczytnego stanowiska kapitana gwardii pretoriańskiej. Nie wiadomo również, skąd się nasz Sebastian w ogóle na dworze cesarskim wziął – nieomal każde źródło twierdzi na ten temat coś innego. Wiadomo natomiast, że po wstąpieniu na zaszczytną służbę u będącego raczej zdecydowanym wyznawcą Jowisza Dioklecjana, nasz Sebastian, na razie jeszcze kapitan pretorian a nie święty, miał zgodnie z podjętymi zobowiązaniami strzec życia i zdrowia monarchy, postanawia poświęcić się swemu hobby i rozpoczyna działalność misyjną w

okolicznym więzieniu. Nie mogąc się oprzeć natarczywym prośbom głuchoniemej niewiasty imieniem Zoe, czyni nad nią znak krzyża, a ta odzyskuje natychmiast mowę i pewnie też słuch – choć na ten temat źródła dyskretnie milczą. Cudowne uzdrowienie wywiera piorunujące wrażenie na 78 więźniach i postanawiają oni również przyjąć wiarę. Pogłoski o radosnej działalności Sebastiana docierają do cesarza wywołując jego niezadowolenie. Sebastian zostaje na mocy wyroku cesarskiego skazany na śmierć przez rozstrzelanie z łuku. Obnażony z szat i przywiązany do drzewa zostaje przez nubijskich (mauretańskich,?) łuczników naszpikowany strzałami jak jeżozwierz. Po stwierdzeniu zgonu delikwenta, łucznicy oddalają się w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, a niebywała kariera Św. Sebastiana nareszcie się rozpoczyna. Bo oto pragnąca pochować zwłoki niewiasta (znana współczesnym jako „ta” Irena, potomnym zaś

jako św. Irena) stwierdza, że Nubijczycy spaprali robotę – w podziurawionym jak rzeszoto Sebastianie tli się nadal iskierka życia. Po tygodniach troskliwej opieki i pielęgnacji Sebastian wraca do zdrowia. Powstawszy z łoża bóleści udaje się prosto do Dioklecjana i wygłasza płomienną mowę na temat wyższości nowej religii nad tą, która była miła cesarzowi, ten zaś, zirytowany natręctwem wydaje polecenie aby gwardia zatłukła go na miejscu pałkami. Wyrok wykonano a zwłoki wrzucono do dołu na nieczystości znanego pod nazwą cloaca maxima. Pod osłoną nocy i z narażeniem życia wierni wyławiają ciało, ponowna resuscytacja nie przyniosła jednak ku ogólnemu rozczarowaniu pożądanym wyników.

Zaden chyba święty nie doczekał się takiej ilości wizerunków jak Sebastian. Zbiór jest przygniatający swym ogromem i obejmuje tysiące pozycji i nieomal wszystkie znaczące nazwiska poczynawszy od późnego średniowiecza

aż po schyłek baroku. Rozmiar ikonograficznego szaleństwa najlepiej obrazuje stwierdzenie, że trudno wręcz odnaleźć artystę, który pokusiłby się o rezygnację z wykorzystania świętego do swych celów. Taki Rubens na przykład, podchodził do tematu sześć razy. Bellini i van Dyck też. Tycjan pięć, Veronese również pięć. El Greco i Carlo Boni tylko po cztery. Palmę pierwszeństwa dzierży Perugino (jedenaście scen męczeństwa), przed Lotto (osiem męczeństw), Guido Reni (też osiem).

Wraz ze schyłkiem baroku malowanie świętych powoli zaczęło wychodzić z mody, artyści coraz częściej zaczęli skłaniać się ku motywom świeckim malując i rzeźbiąc najczęściej swych zleceńodawców (z powodów merkantylnych) i sceny rodzajowe (z tych samych powodów). Trend ten nie dotyczył najwidoczniej św. Sebastiana, który dalej, po dzień dzisiejszy z niesłabnącym entuzjazmem malowany bywa i

rzeźbiony, a ostatnimi czasy nawet fotografowany. Interesującym może wydać się fakt, że spośród niezliczonych artystów, żaden nie pokusił się o przedstawienie rzeczywistej śmierci męczeńskiej dobrego chrześcijanina. Dla artystów atrakcyjny był Sebastian jedynie muskularny, w obcisłych slipach i ewentualnie odpowiednio podziurawiony. Nieliczne wyjątki potwierdzają regułę.

Próbę wy tłumaczenia tego faktu znajdujemy u Oskara Tersa (Die Legende des Heiligen Sebastian – Ein Vergleich zwischen den lateinischen Quellen und den mittelalterlichen Übersetzungen unter besonderer Berücksichtigung und Transkription der Handschrift 717 II der Bibliothéque Municipale zu Colmar). Na podstawie odcyfrowanych przez siebie manuskryptów i ponownej szczegółowej analizy antycznych źródeł, Ters dostarcza nowej, interesującej interpretacji dziejów Sebastiana jako ofiary

homoseksualnego dramatu zazdrości rozgrywającego się w trójkącie Maximilian-Dioklecjan-Sebastian. Wizerunek Sebastiana preferowany był jego zdaniem ze względu na uroki cielesne przez gejów i kryptogejów wszystkich następnych epok. Od początków XX wieku uwielbienie to jest manifestowane otwarcie, między innymi w ramach wystaw malarstwa i fotografii o śmiałym i jednoznacznym kontekście.

Domniemane szczątki doczesne św. Sebastiana spoczywają w rozmaitych miejscach. Modlitwa do św. Sebastiana pomaga w ostro przebiegających chorobach zakaźnych i kłopotach z aparatem ucisku. Jest patronem kamieniarzy, myśliwych, strażaków, żołnierzy i policjantów. Między innymi.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Bellini](#), [Boni](#), [Dioklecjan](#), [el Greco](#), [Lotto](#), [Maximilian](#), [męczeństwo](#), [Oskar Terse](#),

[Perrugino](#), [Reni](#), [Rubens](#), [Tycjan](#), [van Dyck](#), [Veronese](#), [Święty Sebastian](#)

65. [Anegdota](#)

Maj 10, 2009

Ławrentij Pawłowicz zazdrościł Izaakowi Emanuiłowiczowi oprawek do okularów. Spać po nocach nie mógł, tak zazdrościł. Wszyscy podziwiali okulary Izaaka Emanuiłowicza a Jewgienia Salomonowna obdarzyła go nawet swymi łaskami. Ładna rzecz takie oprawki. Ładniejsza niż, dajmy na to, uciskające grzbiet nosa pince nez z wstawionymi szybkami. Ileż to razy próbował się Ławrentij Pawłowicz dowiedzieć, skąd Izaak Emanuiłowicz je wytrzasnął.

- A te Pańskie okulary, Izaku Emanuiłowiczu – pytał niby mimochodem – to niby skąd Pan je wziął?

Ale Izaak Emanuiłowicz tylko się tajemniczo

uśmiechał. Pętał.

Pewnego majowego wieczoru Ławrentij Pawłowicz pojawił się na raucie w ambasadzie japońskiej w okularach toczka w toczkę podobnych do obiektu swych dotychczasowych marzeń. Zdumienie było niepomierne, a i plotkom nie było końca. Ławrentij Pawłowicz przechadzał się wśród szepczącego tłumu z właściwym mu pogodnym wyrazem twarzy. Efektu nie psuł nawet sklejony plastrem lewy zausznik.

Ponieważ nie było zwyczaju zadawania Ławrentijowi Pawłowiczowi niewygodnych pytań, nie musiał się też tajemniczo uśmiechać. Gdy Józefowi Wissarionowiczowi doniesiono o tym zabawnym zdarzeniu, jego rozbawienie było niepomierne a serdeczny śmiech zaraźliwy dla otoczenia.

- A to łobuz z tego Ławrentija Pawłowicza – powtarzał krztusząc się ze śmiechu Józef Wissarionowicz – a to łobuz.

—

Erenburg odłożył pióro, wziął do ręki kartkę i zagłębił się w lekturze napisanego właśnie tekstu. Gdy skończył, skrzywił się. Wlepił wzrok w ścianę. Na ścianie siedziała mucha. Pisanie anegdot nie było najwidoczniej jego najmocniejszą stroną.

- Zoszczenko to chyba ze mnie już nie będzie – westchnął.

Po czym podarł kartkę na drobniutkie skrawki, które następnie zjadł, popijając wystygłą w międzyczasie herbatą.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Beria](#), [Babel](#), [Stalin](#), [żona Jeżowa](#), [Erenburg](#), [Zoszczenko](#), [okulary](#), [satyra w staliniźmie](#), [herbata](#)

66. Niedosyt

Maj 15, 2009

“Nach Auschwitz ein Gedicht zu schreiben, ist barbarisch”

Th. W. Adorno – Prismen. Kulturkritik und Gesellschaft

Un cretin: celui qui se refuserait par exemple à voir un cheval galoper sur une tomate

Salvador Dali

Kategoryczny pogląd, jakoby symetria była estetyką idiotów zawdzięczamy niejakiemu Julianowi Tuwimowi. Upowszechnił się, by po latach, wciąż na nowo, ale niezmiennie bezrefleksyjnie cytowany przez amatorów myśli z pozoru głębokich, nabrać ostatecznie posmaku wyświechtanego bonmotu. Zdarza się. W najlepszej rodzinie.

Zdania kategoryczne mają to do siebie, że są łatwe do zapamiętania i żyją własnym życiem. Tuwim nie żyje, nie możemy zatem zadać mu

niewygodnego pytania, czy celowo pominął nazwisko autora, czy tylko zapomniał. I tu jesteśmy, chcąc nie chcąc, przy Salvadorze Dali. Ale czy naprawdę pragniemy zajmować się kimś, kto twierdził, że na miano kretyna zasługuje każdy, kto nie potrafi sobie wyobrazić konia galopującego na pomidorze? Mam poważne wątpliwości i chyba nie jestem osamotniony.

A zatem dla odmiany: Adorno. I to nie cały, bo jakże tak, tylko ten jeden, sławetny, nieustannie powtarzany cytat Ludwika Teodora Wissengrunda. Tworzenie liryki po Auschwitz to barbarzyństwo. Krótko i dobitnie. Kategorycznie. To zabawne jak jedno zdanie potrafi zrobić światową karierę. Skąd jednak wziął się ten zadziwiający brak kategoryczności w pisanych w 1934 roku recenzjach sławiących nowatorstwo pieśni chóralnych z tekstami Baldura von Schiracha, a opiewających duchowego ojca wspomnianego w powyższym

cytacie miejsca? Trudno jednoznacznie powiedzieć. Nieprawdaż?

I co począć z twierdzeniem, że propozycja twórczości dramatycznej w konwencji teatru absurdu powinna posiadać po moskiewskich procesach pokazowych z 1937 i 1938 roku podobnie blasfemiczny wydzźwięk? Jaki sprytny ten Artaud, zmarł zanim zdołał udzielić odpowiedzi. I nie interesowało to najwidoczniej ani Ionesco, ani Cocteau. Ani nawet Becketta – ale to już jest bardziej zrozumiałe, bo Becketta mało rzeczy poza Beckettem interesowało. Gdy umierał, zdziwienie było powszechne bo nieomal wszyscy byli przekonani, że od dawna już nie żyje.

Nawet gdy w kwestii symetrii przyznamy rację estetom, pozostaje dziwne uczucie niedosytu. I może jeszcze dręczące pytanie: dlaczego brak symetrii jawi nam się tak często jako dziejowa niesprawiedliwość?

Opublikował/a telemach

<http://pytania.wordpress.com>

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Tuwim](#), [plagiat](#), [Adorno](#), [Dali](#), [Ionesco](#), [Cocteau](#), [Beckett](#), [pomidor](#), [galopujący koń](#), [kategoryczność](#), [niedosyt](#), [symetria](#), [estetyka idiotów.](#), [Auschwitz](#)

67. [Opus Nr. 23](#)

Maj 18, 2009

Gdy Wsiewołodowi Dymitrewiczowi amputowano lewą nogę, wszyscy sądzili że zrezygnuje z dowodzenia szwadronem i da się przenieść na tyły. Prawą stracił już w kampanii listopadowej, radził sobie jednak dzielnie z protezą, w siodle siedział pewnie. Tylko gdy salutował, przykładając trzy palce prawej dłoni do błyszczącego daszka oficerskiego czaka, widok był trochę makabryczny, bo lejce musiał przedtem brać w zęby. Zasadniczo nie było jednak źle. Pusty, lewy rękaw munduru łopotał wesoło na wietrze, co szczególnie w trakcie

szarży na pozycje wroga niebywale podnosiło żołnierzy na duchu.

Wieczorem nadeszła depesza ze sztabu, że obiecane wsparcie pociągu pancernego nie nadejdzie. Wsiewołod Dymitrewicz rozkazał rozdzielić resztę prowiantu, wypadło po dwa suchary na głowę. I kwaterkę nafty. Od strony Carycyna niebo pokryło się łuną. Palilo się zboże na pniu.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Carycyn](#), [Wsiewołod D.](#)

68. [Nieomyślność. Arabski spisak.](#)

Maj 23, 2009

Andante

Trudno doprawdy dociec kto pierwszy wpadł na pomysł by uznać Głowę Kościoła za instancję nieomylną. Początki dogmatu o nieomyślności

papieskiej kryją mroki średniowiecza. Od czasu do czasu wprawdzie coś przebłyskuje, nieposkromiona fantazja nowożytnych historyków kościoła nie jest wszakże szczególnie pomocna.

Przypomnijmy: dogmat o nieomyślności papieskiej wywodzony bywa tradycyjnie z Ewangelii Św. Mateusza (XVI, 19: „I tobie dam klucze do królestwa niebieskiego; a cokolwiek zwiążesz na Ziemi, będzie związane również w niebiesiech, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech.”). Adresatem cytowanej wypowiedzi Mesjasza był niejaki Piotr, obecnie zwany Świętym Piotrem, rola suflera i instancji pośredniczącej przypadła Duchowi Świętemu pod postacią ptaka. Zwolenników wizualizacji odsyłamy do znanego w pewnych kręgach obrazu Carlo Saraceniiego. Papież Grzegorz I, odziany w purpurę, siedzi pisząc przy biurku, na biurku tiara, Duch Święty w postaci gołębia dokonuje

ładowania na jego prawym ramieniu, za chwilę rozpocznie się transmisja woli najwyższej instancji.

Largo giusto

Historycy rozwoju doktryny cytują wedle uznania: listy św. Juliusza do Antiochesa, korespondencję Himeriusa, nieuniknionego Tomasza z Aquinu, Jana Piotra Oliviego i Guido Tereniego. Pomijają przeważnie Teodora Abu-Qurrah (Theodoros Abu-Qurra). A szkoda. Ten zdumiewający człowiek, który zafascynowany naukami Jana Damasceńskiego, jako pierwszy, czterysta lat przed Aquiną rozpoczął systematyczne porządkowanie nader zróżnicowanych wówczas przekonań i tworzenie zrębów pod system zwany dziś katolicką doktryną, bywa pomijany niesłusznie i niesprawiedliwie. Jego dorobek, a przynajmniej ta część, która nie została przetłumaczona na język grecki, zaginęła i znany jest jedynie dzięki rozsianym odpisom i

cytatom współczesnych mu greckich autorów. Theodoros, z zawodu biskup Harranu, miał dziejowego pecha. Nie tylko był Arabem, lecz również pisał po arabsku. Nieważne. Ważne jest, że był autorem pierwszego traktatu prezentującego dogmat o papieskiej nieomyślności. To, że ojcem duchowym fundamentalnego dogmatu katolicyzmu był Arab, który w języku Mahometa odpowiednio ustawił teologiczną zwrotnicę, nie pasowało do opartego na łacińskim piśmiennictwie całokształtu i najwidoczniej nie napawało późniejszych hierarchów specjalną dumą. Trudno sobie inaczej wytłumaczyć całkowitą nieobecność Abu Qurracha w panteonie ojców doktryny. Obok takiego Św. Tomasza z Aquinu na przykład. Ramię w ramię, nawa w nawę. Ale może się myłę. Kto wie.

Moderato assai

Dogmat jako taki, przynajmniej w obowiązującej po dziś dzień formie, jest o wiele

młodszej daty. Zawdzięczamy jego istnienie Pierwszemu Soborowi Watykańskiemu. Specjalnie dla miłośników dat – podajemy datę: 1870. Dogmat, aczkolwiek powszechnie znany, interpretowany jest przez powierzchownie zainteresowany ogół na ogół błędnie. Koncepcja jest bardziej wyrafinowana, niż się powszechnie przypuszcza. Papież jest omylny i nie wszystko co głosi, musi natychmiast posiadać znamiona nieomyślności. Nieomylny jest jedynie wówczas ,gdy uzna że jest nieomylny, nada swym poglądom szczególną formę i ogłosi je „ex cathedra“. Na to trzeba wpaść. Mało znany jest również fakt, że Pontifex Maximus zrobił po roku 1870 tylko jeden, jedyny raz użytek z tego genialnego wynalazku. Ukłony w stronę jego świętobliwości Piusa XII. Kto się interesuje, znajdzie. To nie monografia. Jakież granice muszą prawda, poniekąd, być.

Allegro vivace

Trudna sprawa z tą nieomyślnością. Nie zawsze było łatwo. Przechabawna historia przydarzyła się na przykład takiemu Benedyktowi V. Wzmiankowany Benedykt papieżem był krótko. Bardzo krótko. Jego godzina wybiła 14 maja 964 roku, właśnie tego pięknego majowego dnia zasnął na wieki Oktawian ze Spoleto znany potomnym jako Jan XII. Barwna postać, ten Jan XII. Wybrany na Stolec Piotrowy w niewinnym wieku 16 wiosen, Jego Świętobliwość pożegnał się z życiem po 9 latach obfitującego w nader barwne szczegóły pontyfikatu. Zmarł w łóżku, niestety nie własnym. Łóżko należało do pewnego szlachetnego rzymskiego obywatela, któremu nie spodobało się, że w rzeczonym łożu oprócz Pontifexa znajdowała się również jego (tzn. obywatela) małżonka. Wzburzony, zadał Jego Świętobliwości szereg ran tłuczonych głowy przy pomocy tego, co mu akurat wpadło w rękę. Czyli pokaźnego młota. Ale o tym może

kiedy indziej. Zebrany naprędce synod wybrał na następcę Benedykta zwanego również Grammaticusem. Benedykt wybór przyjął z pokorą. Pokora nie trwała jednak długo bo synod nie uwzględnił cesarza Ottona I, który w międzyczasie zwołał sobie swój własny synod i grzecznie poprosił tenże o zatwierdzenie cesarskiego kandydata. Kandydat nie miał wprawdzie w tym momencie nawet święceń kapłańskich, ale kto by się tam czepiał szczegółów. Na grzeczną prośbę cesarza i z pogwałceniem wszelkich reguł, kandydat został w ciągu jednego dnia, za sprawą biskupa Ostii, po kolei ostiariuszem, lektorem, egzorcystą, akolitą, subdiakonem, diakonem, księdzem a na koniec biskupem. To się nazywa oszałamiająca kariera. Jako biskup mógł zostać wybrany przez życzliwy cesarzowi synod papieżem. I został – przyjmując imię Leona VIII. Teraz należało jedynie uporać się z zasiadającym na Stolicy Piotrowym Benedyktem nr. 5. Dwóch

prawomocnie wybranych papieży – to jednak jakoś nie uchodziło. Wezwany przed oblicze cesarskie, Benedykt pośpiesznie przybył i w trakcie przyjaznej wymiany zdań szybko znalazł proste i niebiurokratyczne rozwiązanie istniejącego problemu. Powołując się na dogmat o nieomyślności papieskiej ogłosił ex cathedra, że prawowitym papieżem jest Leon VIII, on zaś, Benedykt, jest zwykłym hochsztaplerem i uzurpatorem, a jego największym marzeniem jest natychmiastowy wyjazd do Hamburga. Ponieważ nikt nie mógł dyskutować z Ojcem Świętym, stało się tak, że Leon przejął obowiązki, a Benedykt wyjechał do Hamburga, gdzie zmarł po kilku miesiącach ze względu na chłodny i wilgotny – czyli krótko mówiąc – raczej niesprzyjający klimat.

Andante sostenuto

Od czasu do czasu pojawiają się głosy, że autor niniejszego pozwala sobie na kpiny z Kościoła. Aby podobnym głosom zapobiec, pragnę

poinformować, że powyższą historię zaczerpnąłem z pism przewielebnego biskupa Liutpranda z Cremony, żyjącego współcześnie kronikarza i świadka opisywanych wydarzeń. Pozwoliłem sobie jedynie na zrezygnowanie z kilku szczególnie drastycznych i odrażających szczegółów, licząc w skrytości ducha, że czytelnik mi tę autocenzurę wybaczy.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Historia Papiestwa](#), [Dogmat o nieomyślności](#), [Leon VIII](#), [Benedykt V](#), [Jan XII](#), [Oktawian ze Spoleto](#), [Theodoros Abu-Qurrah](#), [Jan Damasceński](#), [Tomasz z Aquinu](#), [I Sobór Watykański](#), [1870](#), [Pius XII](#), [Liutprand z Cremony](#), [wrozumiałość czytelnika](#), [autocenzura](#)

69. [Finale](#)

Maj 26, 2009

Po 1945 roku, popularność imienia Adolf spadła w krajach niemieckojęzycznych – jak również ościennych – do zera. Jest to w pewnym sensie zrozumiałe. Myli się jednak ten kto sądzi, że towarzyszące nazewnictwu dzieci idiosynkrazje dadzą się zawsze tak łatwo uzasadnić. Nikt nie daje dziecku imienia Hiob. Wobec faktu, że była to postać nader pozytywna i – jeśli wierzyć kanonowi – pod każdym względem godna naśladowania, może to najzwyczajniej dziwić.

Kropotkin, nie posiadając nigdy – nawet jako dziecko – żadnego zwierzęcia na własność (czy można posiadać zwierzę?), wykorzystywał skwapliwie coroczną obecność karpia wigilijnego w wannie i nadawał stworzeniu, w skrytości ducha i tajemnicy przed otoczeniem, imiona wielkich wodzów, odkrywców, a

czasem nawet filozofów.

- W zasadzie – myślał – to chyba lepiej, że nikt nie wie, że w zeszłym roku spożyliśmy Hegla.

Ponieważ dalsze rozważania związane z tematem nadawania imion wydawały mu się jałowe i nie prowadzące do żadnych, nawet konstruktywnych, wniosków, postanowił położyć się do łóżka i zamknąć oczy.

Natychmiast zapadł zmrok. Za zamkniętymi na klucz drzwiami szumiało życie zewnętrzne.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

· Tagi: [Adolf](#), [Hegel](#), [Hiob](#), [Kropotkin](#)

70. [Motywacja](#)

Czerwiec 2, 2009

Kanonik Vaubain, mimo zajęcej wargi i seplenienia będącego wynikiem braku górnego siekacza, brał corocznie udział w konkursach

oratorskich licząc na sławę, puchar i wawrzyn. Jak na razie, bez widocznych sukcesów. Fakt, że potężnie się jąkał, nie polepszał jego szans na jakże upragnione i jego zdaniem zasłużone zwycięstwo.

Myszkin, z reguły nieprzychylny kanonikowi, dodawał mu otuchy zachęcając do wytrwałości. Od czasu do czasu przypominał mu również początkowe, jakże spektakularnie przezwyciężone trudności niejakiego Demostenesa. Widok kanonika spacerującego po pobliskiej plaży z kamykami w gębie i wykonującego różne śmieszne gesty, napełniał serce Myszkina spokojem i radością. Czasem, krótko przed zaśnięciem, oczyma duszy widział Vaubaina w drodze na wyspę o przepięknej nazwie Kalaureia.

Jakież byłoby jego rozczarowanie, gdyby wiedział, że jego wsparcie było całkiem zbyteczne. Vaubain nigdy nie zamierzał się poddać. Zwątpienie było mu obce. Nigdy nie

ulegało dla niego nawet najmniejszej wątpliwości, że jego dotychczasowe niepowodzenia są skutkiem spisku kosmopolitów i wolnomularzy.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Myszkini](#), [Kanonik Vaubain](#), [Demostenes](#), [Motywacja](#), [wygnanie](#), [Kalaureia](#), [kosmopolici](#), [wolnomularze](#)

71. Dużo i dobrze.

Czerwiec 8, 2009

Wherever the art of medicine is loved, there also is love of humanity.

Hippocrates

Będzie pozytywnie. Mówienie o bliźnich dużo i dobrze jest zaletą wartą kultywowania.

Pójdźmy zatem tą drogą.

Historia medycyny opartej na naukowych

przesłankach, zwanej w przeciwieństwie do rozmaitych odmian szarlatanerii medycyną akademicką, pełna jest zabawnych i pouczających przykładów. Dzisiaj będzie o pełnej śmiesznych anegdot historii transfuzjologii. Przetaczanie krwi ma pewną tradycję i nie jest wynalazkiem nowym. Początki wiary w szczególną moc i życiodajne znaczenie czerwonego płynu gubią się w mroku dziejów.

Dygresja

Zanim krew zaczęto przetaczać, próbowano ją pić. Na szczególną pamięć zasługuje tutaj nasz ulubiony papież, Jego Świątobliwość Innocenty VIII. Ten dobry i uczony człowiek, nie tylko sprezentował spragnionym dobrej nowiny współczesnym swą niezapomnianą „Bulę na czarownice“, lecz również dostarczył nauce ważnych danych z dziedziny terapii eksperymentalnej. Zapadłszy w lipcu 1492 roku na zdrowiu, wypił na zalecenie swych lekarzy

krw trzech dziesięcioletnich pacholąt płci męskiej. Rodzicom pacholąt obiecano po dukacie. Czy honorarium wypłacono, źródła dyskretnie milczą. Kuracja odmładzająca okazała się jednak, ku zdziwieniu medyków, niewypałem. Dawcy nie przeżyli eksperymentu, Innocenty VIII jednak również nie. Osierocił dwa tuziny dzieci. Jeśli nawet nie był szczególnie dobrym przykładem poszanowania reguły celibatu, to na pewno przysłużył się nauce. Entuzjazm do stosowania powyższego rodzaju terapii znacznie po tym eksperymencie osłabł. Nie tylko wśród uczonych medyków ale również wśród pacholąt i ich rodziców. Reszta interesujących szczegółów: „Diario urbis Romae“ autorstwa Stefano Infessury. Czy Steffano Infessura był świadkiem wiarygodnym? Umówmy się, że jest to ciekawe pytanie, ukłon w stronę klasyka.

Koniec dygresji

O tym, że krew krąży, wie każdy i nie ma

doprawdy potrzeby zajmować się tym truizmem. O tym, że od czasów Hipokratesa i Galena aż do roku 1628 była to, w myśl obowiązującego kanonu nauk medycznych, niebezpieczna herezja – niekoniecznie. Rzeczą oczywistą dla każdego szanującego się lekarza było twierdzenie, że człowiek posiada dwa systemy krwionośne, ten z ciemną i ten z jasną krwią, jak również, że nie są one ze sobą w żaden sposób połączone, bo i jak?. Nadmiar krwi ciemnej powodował choroby, jej upust był błogosławieństwem dla pacjenta. Najlepszym dowodem było przecież to, że pacjenci zabieg ten niejednokrotnie przeżywali. Ale pozostajmy przy transfuzjologii.

Oficjalnie i naukowo krew zaczęła krążyć dopiero w **1628** roku, Odkrycie zawdzięczamy Wilamowi Harveyowi i jego wiekopomnemu dziełu „De motu cordis“. Dzieło milczy na temat ile psów musiało zostać poddanych wiwisekcji, nie ma wątpliwości jednak, że była

to liczba pokaźna. Nie ma nauki bez ofiar. Odkrycie zainteresowało niepomiernie współczesnych Harveyowi lekarzy. Pomiedzy 1656 i 1666 rokiem, panowie Christopher Wren (który zainteresowania anatomią łączył z wykonywaniem zawodu architekta), Thomas Willis (autor pierwszego podręcznika anatomii mózgu) i Richard Lower eksperymentowali na wyścigi, wprowadzając rozmaitym zwierzętom do krwiobiegu rozmaite płyny ze szczególnym upodobaniem do trucizn i barwników. Teatry wiwisekcji były wówczas bardzo popularne i można sobie wyobrazić rozbawienie publiczności na widok czerwieniejącej żaby lub zieleniejącego kota. Wkrótce eksperymenty na zwierzętach utraciły posmak świeżości i uczeni medycy postanowili je rozszerzyć. W **1657** roku, francuski ambasador „podał” Wrenowi swego służącego jako obiekt eksperymentalny, ten jednak (służący, nie Wren) strasznie się wyrywał a na koniec

zemdlał. Eksperyment, przerwano. W **1666** roku, Lower zwrócił się do kierownictwa przytułku dla osób dotkniętych schorzeniami psychicznymi z prośbą o dostarczenie odpowiedniej liczby pacjentów, na których zamierzał przeprowadzić swe doświadczenia. Gdy kierownictwo, najwyraźniej wsteczne i nieświadome doniosłej roli eksperymentu dla rozwoju nauki, odmówiło współpracy, Lower, za zgodą rodziny, dokonał przetoczenia krwi jagnięcej lekko cofniętemu w rozwoju współobywatelowi o nazwisku Arthur Coga. Coga przeżył, ku zdziwieniu uczonego jednak, jego matołectwo nie uległo uleczeniu. Rok **1667** przynosi pierwszą, uwieńczoną sukcesem transfuzję na kontynencie. Jean-Baptiste Denis dokonuje przetoczenia krwi owcy. Nie wiemy jakie były wskazania i czy były. Biorcą jest 15-letni młodzian. Sukces polega na tym, że pacjent jakimś cudem przeżył. Ośmieleni powodzeniem kolegi,

rozliczni francuscy lekarze dokonują transfuzji krwi jagnięcej. Pacjenci masowo umierają, co osłabia na pewien czas ich entuzjazm do poddawania się modnej terapii.

W roku **1668** Matthäus Gottfried Purmann odnosi kolosalny sukces. Przeprowadzając transfuzję krwi owczej leczy niejakiego pana Welsleina z trądu. Jakim cudem – trudno dzisiaj dociec. Współczesne dzieła naukowe z dumą odnotowują. Próby przetaczania krwi koziej i jagnięcej nie ustają.

Pierwszego września **1818** roku w londyńskim szpitalu St. Guy's Hospital dokonano pierwszej transfuzji krwi ludzkiej. Przetaczał Dr. med. James Blundell, krew pochodziła od rozmaitych dawców. Pacjent, ku niepomiernemu zdziwieniu lekarza, nie przeżył zabiegu.

Występujące w trakcie przetaczania krwi ludzkiej zgony są regułą, przeżycie pacjenta wyjątkiem. XIX-wieczni koryfeusze medycyny zalecają powrót do krwi jagnięcej, koziej a

nawet mleka (sic!) koziego.

Opublikowana w **1874** roku praca F. Giselliusa, w której ten malkontent donosi, że co druga transfuzja kończy się zgonem, nie studzi entuzjazmu. W armii pruskiej wydany zostaje rozkaz, aby ruszający do krwawej bitwy żołnierze, mieli przytroczone do plecaka jagnię, a w plecaku instrumentarium do przetaczania krwi. Jagnię miało służyć jako „żywa” konserwa. W razie czego.

W **1901** roku, 235 lat po przeprowadzeniu pierwszej transfuzji, wiedeński patolog Karl Landsteiner odkrywa system antygenów grupowych krwi. Od tego momentu, lekarze wiedzą wreszcie co robią. Fakt, że twierdzili to jednak także uprzednio, zabijając niechcący co drugiego pacjenta, nie przyćmiewa terapeutycznych sukcesów. Powiedzmy sobie szczerze: w historii medycyny zajmującej się z upodobaniem tejsze świetlistymi momentami bywa on przeważnie skromnie przemilczany.

Dr. Joseph Mengele był złym człowiekiem. W jego korespondencji odnaleźć można uwagi, że przeprowadzane przez niego eksperymenty są wynikiem jego głębokiej wiary w konieczność postępu a ten służy jak wiadomo dobru ludzkości. Pragniemy podkreślić, że przyłączamy się do tych, którzy tego zwyrodnialca potępiają.

Pragniemy również podkreślić, że nasz entuzjizm dla nauk głoszonych przez Świadków Jehowy utrzymuje się w rozsądnych granicach. Będąc zwolennikami postępu w nauce, nie namawiamy nikogo do udania się do szamana lub korzystania jedynie z leków homeopatycznych.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Bad Medicine](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Bad Medicine](#), [historia medycyny](#), [lekarze](#), [Mengele](#), [paradoksy nauki](#), [transfuzjologia](#), [zapomniane](#)

72. [Szulce. Noir.](#)

Czerwiec 12, 2009

Samochód stał zaparkowany w cieniu platana. Osobnik za kierownicą miał wygląd smutnego, osowiałego szympansa. Szyby były zakurzone, tablica rejestracyjna wisiała na jednej śrubie. Szympanś miał na nosie okulary z grubymi szklami i wpatrywał się uporczywie w szybę przednią. Po szybie spacerowała mucha. Z bagażnika kapiała na rozgrzany asfalt gęsta, czerwona ciecz.

Starszy posterunkowy Szulce zastanawiał się przez chwilę, czy nie przejść na drugą stronę ulicy udając że niczego nie zauważył, ale poczucie obowiązku zwyciężyło. Obszedł powoli samochód. Gdy znalazł się na wysokości otwartego okna kierowcy, oparł dłoń na rozgrzanej blasze dachu i pochylił się.

- Kapie – powiedział.

Osobnik o aparycji szympansa nie drgnął.

Przełknął tylko głośno ślinę. Jego twarz pokrywała cienka wastewka potu.

- Obawiam się – Szulce stał się aby jego ton brzmiał rzeczowo – że mamy pewien problem.

- Nieszczelny – odrzekł po chwili wahania szympans.

- Rozumiem – odparł Szulce. Nie rozumiał, ale postanowił nie ujawniać chwilowo tego faktu.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia. Z nieba spływał upał wczesnego popołudnia.

Słychać było brzęczenie much. Szulce postanowił przejąć inicjatywę.

-Dowód i prawo jazdy poproszę.

Po chwili trzymał w ręku kawałek plastiku.

Porównał zdjęcie z oryginałem. Nie ulegało wątpliwości, przedstawiało tego, kogo miało przedstawiać.

- Proszę otworzyć bagażnik.

- Wolałbym nie – mruknął szympans.

Szulce zastanowił się, czy sytuacja zasługuje na miano niezręcznej. Jakby sprawę nie obracać,

wyglądało że tak. Postanowił jednak nie dać się łatwo zbyć.

- Tu nie wolno parkować – rzekł wręczając dokumenty – proszę odjechać i na przyszłość bardziej uważać.

Miał nadzieję, że powiedział to tonem nie dopuszczającym cienia sprzeciwu. Szympans nie sprzeciwił się. Schował dokumenty i bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce.

Sledząc wzrokiem niknący w upalnym wąwozie ulicy samochód, Szulce wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł spocone czoło. Poprawił pas, czapkę i przepasujący pierś rzemień raportówki. Upał był nieznośny. Dzień starszego posterunkowego, pomyślał, nie różni się specjalnie od dnia zwykłego posterunkowego.

Po przeciwnej stronie ulicy biegł leniwym truchtem pies bez obroży i kagańca.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Szulce. Noir.](#), [brudnopis](#) · Tagi:

[autorytet](#), [awans](#), [cdn.](#), [noir](#), [pies bez kagańca](#), [Szulce](#), [upał](#)

73. [Logika emocjonalna](#)

Czerwiec 17, 2009

Niezły łobuz z tego Golemana. Namieszał w głowach, że aż zęby bolą. Wobec faktu, że termin „inteligencja emocjonalna”, mimo uporczywych usiłowań panów Lockego, Zeidnera i Robertsa, nie daje się tak łatwo usunąć z masowej wyobraźni, zajmijmy się logiką emocjonalną. Dla odmiany.

Twierdzącym, że czegoś takiego nie ma, polecić można szczególny przypadek postrzegania rachunku prawdopodobieństwa w przypadku gier losowych.

Bez zbędnego zagłębiania się w szczegóły przypomnijmy, że w przypadku skreślenia na kuponie totolotka sześciu liczb,

prawdopodobieństwo wylosowania „szóstki” jest identyczna dla każdej dowolnej kombinacji. Również dla tej, która została wylosowana w poprzednim ciągnięciu. I tu zaczyna się problem. Zdumiewająca większość ofiar gier losowych, zapytana o to, czy ma sens zakreślania liczb, które komuś przyniosły materialne szczęście przed tygodniem, odpowiada, że nie. Szansa dwukrotnego wyciągnięcia takiej samej kombinacji w dwóch kolejnych odsłonach dramatu, wydaje im się nagle niebywale, ba, astronomicznie mała, o wiele mniejsza niż szansa wyciągnięcia daty urodzin żony sąsiada, rozmiaru butów rodzeństwa lub liczb które im się przyśniły w proroczym śnie. Nieodparcie nasuwa się analogia do irracjonalnej wiary żołnierzy chowających się w zamecie bitwy do leja po bombie, w przeświadczeniu, że rachunek prawdopodobieństwa jest ich sprzymierzeńcem. Logicznie rzecz biorąc, zakreślanie liczb

wylosowanych w ostatnim ciągnięciu jest najlepszą z możliwych strategii. Wobec wzmiankowanej powyżej niechęci innych grających do tej kombinacji, szansa na to, że wygranej nie trzeba będzie dzielić z innymi, a zatem że będzie ona znacząco wyższa, wzrasta. Czy ktoś to robi? Wątpliwe. W przeciąganiu liny pomiędzy odpowiedzialnymi za podejmowanie trafnych decyzji, „logicznymi” obszarami kory znajdującymi się ponad ciałem modzelowatym, a ewolucyjnie starszymi warstwami zbliżonymi do układu limbicznego, z dziecinną łatwością wygrywa ten drugi. Wbrew logice rozumianej jako dyscyplina normatywna.

Kropotkin, w drodze do kolektury totolotka, zastanawia się poważnie nad zasadnością wprowadzenia terminu „emocjonalnej racjonalności”. Krótco przed osiągnięciem celu, sięga do kieszeni i dyskretnie wyrzuca do kosza na śmieci wypełniony uprzednio kupon.

Zakreśli swe liczby na miejscu dbając, aby nie zabrakło wśród nich ulubionej siódemki. Jak również siedemnastki i czwórki. Teściowej można nie lubić, przenoszenie swej niechęci na jej datę urodzenia wydaje mu się jednak zupełnie pozbawione logiki.

*Szanowni komentatorzy **Aspik** i **Nameste** zwrócili mi słusznie uwagę na niestosowność bądź też nieadekwatność przykładu z lejem po bombie. Proszę zatem o traktowanie z należąca ostrożnością i ewentualnym sceptycyzmem. Jestem na najlepszej drodze aby się samemu do leja zdystansować. Do czasu znalezienia lepszego przykładu lej (prowizorycznie) pozostanie.*

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty, brudnopis](#)
· Tagi: [ciało modzelowate](#), [D. Goleman](#), [E.A. Locke](#), [gra pozorów](#), [inteligencja emocjonalna](#), [intuicja](#), [irracjonalizm](#), [Kropotkin](#), [liczby](#),

[logika](#), [M. Zeidner](#), [numery totolotka](#), [przesąd](#), [R.D. Roberts](#), [racjonalność](#), [systemy totolotka](#), [topografia mózgu](#), [układ limbiczny](#)

74. [Doktor G. albo ostateczne zwycięstwo bzdury](#)

Czerwiec 23, 2009

Rozpocznijmy od pytań trywialnych. Opłaci się.

Skąd się bierze historia? Kto ją tworzy? Jak się ma to, co zwykliśmy uważać za historyczne fakty, do tego co się wydarzyło w rzeczywistości? Co to znaczy „w rzeczywistości”? Czy to, co zawarte w materiałach źródłowych ma jakąkolwiek szansę we współzawodnictwie z wiodącymi byt samoistny wierzeniami kolektywnymi, wierzeniami, które kwitną w najlepsze na przekór wszelkim zawartym w źródłach świadectwom? Ze zbiorową świadomością,

której ulubionym skrótem myślowym jest powabne sformułowanie „jak powszechnie wiadomo”?

Joseph Ignace Guillotin przyszedł na świat 28 maja 1738 roku w Saintes. Jego tatuś był cenionym adwokatem, o mamie wiemy mało. W każdym razie rodzina była przyzwoita i ciesząca się nieposzlakowaną opinią. W przyszłości miało się to zmienić, ale nie uprzedzajmy wypadków. Jezuici, których był wychowankiem, są do tego stopnia zachwyceni intelektem małego Józia, że nalegają na wstąpienie tegoż do zakonu i kontynuowanie studiów teologicznych. Tak się też staje. Joseph Guillotin zostaje profesorem literatury w jezuickim Kolegium w Bordeaux. Po siedmiu latach młody uczonek dochodzi jednak do przekonania, że teologia w połączeniu z literaturą nie jest „en vogue” i postanawia poświęcić się służbie ludzkości. Pakuje kufry i udaje się do Paryża. Studia odbywa na Sorbonie

oraz w Rheims. Uzyskawszy w 1768 roku dyplom i tytuł, oddaje się z oddaniem praktyce lekarskiej, ludzkość ma jednak o nim jeszcze usłyszeć. Na arenę dziejów wkracza w 1784 roku, pomaga mu w tym Franciszek Mesmer, Austriak, również lekarz medycyny a także szarlatan, hochsztapler oraz pionier leczenia ładnych kobiet z „fluidów” przy pomocy obmacywania na osobności. Mimo że proponowana przezeń metoda miała sprawiać, przynajmniej w swych założeniach, sporą przyjemność zarówno terapeutom jak i pacjentkom, władze w rodzinnej Austrii nie podzieliły nowatorskiego entuzjazmu i Mesmer salwował się ucieczką do Paryża. Również w tym pięknym mieście napotkał na trudności i brak zrozumienia. Król Ludwik XVI powołuje komisję naukowych autorytetów, czternastoosobowe gremium potępia twórcę teorii magnetyzmu zwierzęcego w czambuł, Mesmer przenosi się do Niemiec. Jednym z

członków komisji, obok Beniamina Franklina (tego od piorunochronu) i Antoniego Lavoisiera (tego od chemii) był Joseph Guillotin. Jego sława jako lekarza wydaje się być w międzyczasie ugruntowana, świadczy o tym choćby stanowisko przybocznego lekarza królewskiego brata, późniejszego Ludwika XVIII.

Czasy są nad wyraz ciekawe, we Francji wszyscy zabierają się nagle za politykę, Guillotin nie umie się powstrzymać i miast przepisywać maści i tinktury, wydaje pamflety na temat parlamentaryzmu i wolności słowa. Nie uchodzi to ogólnej uwadze współobywateli, na 10 tygodni przed zburzeniem Bastylji doktor G. zostaje wybrany deputowanym do Konstytuanty Zgromadzenia Narodowego. W ramach doskonale udokumentowanej działalności parlamentarnej, energicznie inicjuje szereg reform, szczególnie angażując się w reformę służby zdrowia jak również,

będąc radykalnym abolicjonistą, w doprowadzenie do ustawowego zniesienia kary śmierci. Ponieważ pomysł zniesienia najwyższego wymiaru kary napotyka na powszechny brak zrozumienia, zrezygnowany Guillotin, w jednej z licznych ożywionych dyskusji na temat praw człowieka i obywatela, proponuje przynajmniej ujednoczenie i demokratyzację sposobu jej wymierzania. A mianowicie: „przez użycie sprawnego i praktycznie bezbolesnego urządzenia”. Nie przystoi bowiem, argumentował, aby skazaniec, w zależności od rodzaju przestępstwa, urodzenia i stanu majątkowego miał do czynienia ze stosem, rozrywaniem koźmi, gotowaniem żywcem, szubienicą, ostrym mieczem lub tępym toporem w ręku pijanego parobka. Było to w 1791 roku.

Wypowiedź dobrego doktora, podobnie jak wcześniejsze usiłowania zniesienia najwyższego wymiaru kary, początkowo

pozostaje bez echa. Pewnej pikanterii dodaje całej sprawie fakt, że do frakcji przeciwników kary śmierci należeli obok doktora Guillotin również Robespierre, Le Peletier, Mirabeau i Brissot. Trzy lata później nikt z nich już nie żył. Humanitarny w swych założeniach pomysł doktora Guillotin, zapamiętał przeciążony urzędowymi obowiązkami kat Paryża Charles Henri Sanson. „Monsieur de Paris” zwraca się jesienią 1791 roku do Antoniego Louis, profesora chirurgii (jak również przybocznego lekarza Ludwika XVI) o fachową pomoc. Profesor Louis dostarcza dokładnego projektu urządzenia, wzoruje się przy tym na wcześniejszych urządzeniach tego typu, m.in. tzw. toporze z Halifax. Wykonanie prototypu powierzono sąsiadowi Sansona, niemieckiemu budowniczemu klawesynów Tobiaszowi Schmidowi. Obaj panowie muzykowali wspólnie w czasie wolnym od innych zajęć. Budowy pierwszego funkcjonującego

urządzenia podjął się hrabia Pierre-Louis Roederrer, do publicznie toczonej dyskusji nad optymalnym kształtem ostrza włączył się nawet osobiście sam król. Urządzenie, nazwane na cześć swego wynalazcy Louisette, zostało użyte po raz pierwszy 25. kwietnia 1792 roku w celu dekapitacji niejakiego Nicolasa Pelletier. Pelletier był oskarżony o kradzież portfela. Publiczność, rozczarowana zbyt szybkim i przez to mało spektakularnym przebiegiem widowiska, skwitowała całość buczeniem i gwizdami.

Nie mający ze sprawą zbyt wiele wspólnego Joseph Ignace Guillotin wykonuje dalej spokojnie swój zawód, w 1795 roku, u schyłku wielkiego terroru, podejrzany o to co wszyscy czyli bycie wrogiem ludu, spędza nawet cztery tygodnie w więzieniu. Udaje mu się przeżyć. Zostaje znanym w całej Francji orędownikiem i propagatorem wynalezionej przez Jennera szczepionki przeciw ospie, w sprawie

masowych szczepień dociera do Napoleona, a potem do papieża Piusa VII. W późniejszym czasie zakłada w Paryżu Akademię Medyczną (która, wbrew mylącej nazwie, była instytutem higieny publicznej) a także – jako znany lekarz i pedagog – leczy swych rodaków. Umiera otoczony powszechnym szacunkiem w wieku 75 lat w 1814 roku.

Trudno powiedzieć skąd wzięło się powszechnie panujące przekonanie o wynalazcy gilotyny, krwiożerczym lekarzu, który padł ofiarą swego wynalazku. Pewną rolę odegrało zapewne złośliwe przekręcenie faktów w anonimowym artykule opublikowanym w wydawanym na emigracji rojalistycznym piśmie. Guillotin do ostatnich dni swego pełnego poświęcenia życia nie pojął przyczyn, dla których akurat jemu, zdecydowanemu humaniście i przeciwnikowi kary śmierci, przypisano sławę wynalazcy śmiertelnego narzędzia. Po jego śmierci, rodzina wystąpiła

do władz z prośbą o zmianę (w międzyczasie już oficjalnej) nazwy urzędnika. Spotkawszy się z odmową, krewni sami zmienili swe nazwiska.

Ostatni wyrok z użyciem gilotyny wykonano we Francji w 1977 roku.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#) · Tagi: [Gilotyna](#), [kara śmierci](#), [Louis](#), [Sanson](#), [Tobias Schmidt](#), [klawesyny](#), [Robespierre](#), [mity](#), [wiedza pozorna](#)

75. [Hagiografia: Święty Jerzy. Historia oszłamiającej kariery](#)

Czerwiec 29, 2009

Święty Jerzy jest świętym niebywale popularnym i powszechnie znanym, ba, większość świętych może Jerzemu niesamowitej kariery pozazdrościć.

Popularność święty Jerzy zawdzięcza smokowi. Szkoda, że podobnie jak smok, najprawdopodobniej nigdy nie istniał. Ale po kolei.

Święty Jerzy pojawia się po raz pierwszy wśród rozlicznych męczenników u Euzebiusza z Cezarei. Wzmianka jest skromna, liczy dwie linijki i dotyczy niejakiego Georgiosa, ściętego w Nikomedii w 303 roku. Akurat wówczas, wobec – powiedzmy to sobie otwarcie – mało tolerancyjnej polityki Dioklecjana, męczenników było na pęczki. Konstantyn miał to wkrótce zmienić, można zatem powiedzieć, że Georgios załapał się na męczeństwo w ostatnim momencie. Na temat rozlicznych bohaterskich czynów Jerzego i jego rzekomego zatargu z Dioklecjanem Euzebiusz milczy.

W miarę upływu czasu, cudów przypisywanych św. Jerzemu zaczyna przybywać. Jego kult upowszechnia się w Egipcie i Azji Mniejszej w V i VI wieku, aby przybrać cechy

groteskowego, powszechnego uwielbienia w okresie wojen krzyżowych. Wpierw, z anonimowej nieomal ofiary masowych prześladowań, Jerzy przeistacza się w szlachetnego rzymskiego rycerza, który miał odwagę przeciwstawić się cesarzowi doprowadzając go do wściekłości. Rozliczne miasta rozpoczynają współzawodnictwo o tytuł oficjalnego miejsca męczeństwa, zwycięso wychodzi Lida, aczkolwiek mieszkańcy Nikomedii nie przyjmują tego do wiadomości. Jakby tego było mało, z czasem pojawia się legenda, jakoby miał swój występ na dworze cesarskim poprzedzić rozdaniem dóbr doczesnych pomiędzy biednych i potrzebujących. Z każdym następnym opisem żywot Jerzego staje się barwniejszy, wspanialszy i obfitujący w coraz bardziej spektakularne czyny. Święty Jerzy obrasta w życiorys i cuda z dynamiką wywołującą zdumienie nawet u hierarchów ówczesnego

kościół. Zaczyna nadal przybywać miejsc, w których rzekomo miał mieszkać i ponieść śmierć męczeńską, nieomal co druga budowana we wczesnym średniowieczu świątynia nosi jego imię. Do świętego zaczynają się przyznawać nie tylko miasta i kraje, w których jak możemy założyć nigdy nie był, ale również te, w których nigdy być nie mógł. Jednocześnie rozpoczyna się cudowne rozmnożenie relikwii, na szczególną wzmiankę zasługuje tu dokonanie biskupa Moguncji Hatto, który w 896 roku z wyprawy turystycznej do Ziemi świętej powrócił z doskonale zachowaną głową świętego.

W okresie wojen krzyżowych Jerzomania jest już tak rozpowszechniona, że święty, mimo że oficjalnie od 700 lat uznany za zmarłego, zaczyna się znów pojawiać. Szczególnie krzyżowcom. Na przykład wedle świadectw uczestników bitwy pod zamkiem Montgisard, św. Jerzy miał walczyć ramię w ramię z

rycerzami Baldwinem i Balianem z Trewiru oraz Rajmundem, Hugonem i Wilhelmem z Galilei. Wszyscy go widzieli i poświadczyli pod przysięgą, trudno więc wątpić aby tylu znakomitych mężów mogło się mylić.

W trakcie synodu w Oksfordzie w 1222 roku, święty Jerzy zostaje oficjalnie uznany za Anglika, jego miejsce urodzenia zostaje przeniesione z Kapadocji do Coventry. Teraz już spokojnie może zostać patronem swej nowej ojczyzny. I zostaje. Krzyż św. Jerzego nie od parady zdobi do dziś brytyjską flagę. Dobrze, że nie istniały wówczas media, udało się dzięki temu uniknąć międzynarodowego konfliktu z Gruzją, Malcią, Portugalią, Abisynią i Bułgarią (które już wcześniej sobie świętego zarezerwowały) jak również z Litwą, Rosją, Tyrolem, Katalonią i Serbią (które dołączyły później).

Gdy wreszcie Jakub de Vorgaine w połowie XIII wieku w swej „Legenda Aurea” próbował

zmontować z setek krążących, sprzecznych ze sobą fantastycznych opowieści i mitów w miarę spójną historię – napotkał na nie lada problem. Wybrnął mistrzowsko, ignorując konsekwentnie zasady chronologii i logiki. Smok też się załapał.

W 1969 roku, Jego Świątobliwość Papież Paweł VI traci nerwy i nakazuje usunięcie dynamicznego świętego z kalendarza liturgicznego. Decyzję swą motywuje w sposób śmieszny i mało wiarygodny, a mianowicie tym, że takiego świętego nigdy nie było. Święty okazuje się być jednak jednak oporny, w roku 1975, mimo oficjalnego dekretu papieskiego skazującego go na nieistnienie, pojawia się, jak Feniks z Popiołów, w rzeczonym kalendarzu ponownie.

Święty Jerzy opiekuje się szczególnie zakonami rycerskimi, harcerzami, wędrowcami, górnikami i żołnierzami. Jest też patronem rolników, kowali, bednarzy, artystów i

więźniów.

Modlitwa do Św. Jerzego pomaga bez wyjątku wszystkim i na wszystko.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Dioklecjan](#), [Euzebiusz z Cezareii](#), [Kapadocja](#), [masowe złudzenia](#), [mity](#), [Nikomedia](#), [smok](#), [Unin Jack](#), [Święty Jerzy](#)

76. [Z ostatniej chwili. Odkrycie](#)

Lipiec 2, 2009

Kiedy w trakcie prowadzonych w okolicach wiadomej góry badań archeologicznych, odnaleziono potrzaskane przez Mojżesza tablice, radości nie było końca. Światowej sławy eksperci natychmiast zabrali się do żmudnych, ale jakże pasjonujących prac rekonstrukcyjnych.

Praca nad układanką trwała trzy tygodnie, pod

koniec zaczęła wyłaniać się całość.

Przykazań było nie dziesięć lecz pięć. Pierwsze: „nie będziesz pożyczął na procent, a jeśli już, to na niski”. Drugie: „nie czyn drugiemu, co tobie niemile”. Trzecie: „rób co chcesz, ale uważaj aby nie zrobić krzywdy bliźniemu swemu”.

Czwarte było pewnym zaskoczeniem:

“karawana nadchodząca z prawej strony ma pierwszeństwo”

Największą konsternację wywołało jednak piąte. Brzmiało ono: „Jeśli pojawi się ten Dawkins, powiedz mu że się myli”.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#)

77. [Szlachetne postanowienia](#)

Lipiec 6, 2009

Kanonik Vaubain, wiedziony wyrzutami sumienia, postanawia nie przepuszczać w

pokera całości przeznaczonych na wdowy i sierotki datków wiernych. Połowa, myśli sobie, powinna też wystarczyć. Powziąwszy to szlachetne postanowienie, postanawia zwierzyć się swemu najlepszemu przyjacielowi.

Dobra nowina, myśli sobie dalej, zasługuje na to aby się nią podzielić. I dzieli się. Przy okazji porównuje swą decyzję z tą, którą podjął onegdaj św. Franciszek z Asyżu. Biorąc pod uwagę, że święty nie musiał walczyć z demonem hazardu, porównanie wypada zdecydowanie na korzyść kanonika. Jak by na to nie patrzeć.

Myszkin, dowiedziawszy się, że pieniądze, które regularnie wygrywał od kanonika były własnością wdów i sierot, wpada w rozpacz. Postanawia nie przepijać całej wygranej lecz tylko połowę. Resztę będzie wrzucał do stojącej w sieni świątyni skrzynki z napisem „Na wdowy i sieroty”.

I wszystko, naprawdę wszystko byłoby dobrze,

gdyby Vaubain nie odkrył uroków ruletki.
- I za co ja teraz – biada niepokieszony Myszkin – będę proszę Państwa pił?

Doprawdy, okrutny los potrafi pokrzyżować najszlachetniejsze plany.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Myszkin](#), [Vaubain](#), [Miłosierdzie](#), [św. Franciszek](#), [wdowy](#), [sieroty](#), [poker](#), [ruletka](#)

78. Przewodnik operowy dla głuchych i leniwych

Lipiec 9, 2009

Nikt nie chce uchodzić za chama albo, co gorzej, prostaka. Nawet autor niniejszego bloga. Znajomość oper uchodzi (w pewnych kręgach przynajmniej) nadal za probierz kulturalnego wyrobienia. W przypadku dzieł literackich można przeczytać bryk lub

streszczenie i od biedy uchodzić za znawcę. Z operą jest trudniej. Bryków nie ma. Wychodząc naprzeciw ogólnemu zapotrzebowaniu, postanowiliśmy zamknąć tę dotkliwą lukę.

Dzisiaj:

Józef Verdi. La Traviata.

Na początku należy zaznaczyć, że chodzi o kobiety podejrzanego autoramentu, alkohol i życie towarzyskie. Czyli nic dla dzieci i osób z kręgosłupem moralnym. Pozostałe osoby prosimy o pozostanie na sali. Będzie miło.

Tytuł

La Traviata znaczy „ta, która pobłądziła, zboczyła z drogi”. Jest to eufemizm, chodzi o kobietę upadłą, co też jest eufemizmem ponieważ chodzi o kurtyzanę. Co zresztą też jest eufemizmem, bo wiemy dobrze o kogo chodzi. Ponieważ rzecz dzieje się w czasach politycznej poprawności zwanej wówczas jeszcze moralnością mieszczańską, Verdi nie mógł prosto z mostu. Może tak i lepiej.

Pomysł.

Libretto napisał niejaki Francesco Maria Piave. Piave był zdolnym i pracowitym wyrobnikiem. Verdi zamawiał, Piave dostarczał. W sumie dostarczył dziewięć razy. W nagrodę Verdi traktował go nie najlepiej. Piave nie wymyślał, Piave był rzemieślnikiem i pracował zgodnie z instrukcjami mistrza. Akurat święciła triumfy Dama Kameliowa, nie tylko jako powieść lecz przede wszystkim jako sztuka teatralna. Mistrz pozazdrościł synowi Aleksandra Dumasa sławy i zamówił u Piavego „coś podobnego, najlepiej też o kobiecie lekkich obyczajów, ma się dzieć w Paryżu i skończyć smutno” Piave nie dyskutował lecz usiadł i napisał libretto do Traviaty.

Historia

Akt I

Paryż, połowa XIX wieku Salon niejakiej Violetty Valéry, jeszcze się dowiemy co to za jedna. Wszyscy się pysznie bawią. Gospodyni

też. Akurat przedstawiono jej niejakiego Alfredo Germont. Młodzieniec wydaje się być pocziwszy niż jej aktualny amant, baron (przepraszamy za słowo) Douphol. Baron wznosi toast za miłość. Toast przechodzi mu w dłuższą arię.

Violetta dostaje ataku uporczywego kaszlu i już wiemy, że broń, która pokazana została w pierwszym akcie musi nieuchronnie wystrzelić w ostatnim. W przerwie pomiędzy ponawiającymi się atakami kaszlu, Alfredo (pocziwiec) wyznaje jej swą miłość.

Najpóźniej w tym momencie nawet najbardziej nierozgarnięty widz powinien móc przewidzieć jak to się skończy. Violetta próbuje ostudzić zapalę młodzieńca, ten nie daje za wygraną. Ponieważ lowelas-pocziwina nie chce się odczepić, pożyczka mu kwiat Kamelii, prosząc aby zwrócił nazajutrz. Naprawdę. Po wyjściu gości gospodyni spekuluje czystym sopranem na temat ewentualnych uczuć. W końcu jednak

przychyla się do poglądu, że skromne radości dnia codziennego i udogodnienia wynikające z dobrodziejstw profesji też są w końcu coś warte. *Kurtyna*.

Akt II

Odsłona pierwsza

Trzy miesiące później. Alfredo i Violetta żyją sobie szczęśliwie w małym domku na prowincji. Sielankę finansuje chwilowo ustatkowana oblubienica z potajemnej sprzedaży majątku ruchomego. Alfredo, wiedziony ambicją, udaje się do Paryża w celu zdobycia środków do życia. Pod jego nieobecność pojawia się tatuś ambitnego młodzieńca. Starszy pan Germont, kierując się troską o dobre imię rodziny, nakłania Violetę do porzucenia kochanka i powrotu do nierzędu. Violetta, wychodząc ze słusznego założenia że jej koniec jest bliski, z bólem serca przystaje. Violetta wyjeżdża, Alfred powraca. Violetta powiadomiła go listownie o swej decyzji.

Rozpacz. Ponownie pojawia się tatuś i wzywa marnotrawnego syna do powrotu. Ten jednak odnajduje zaproszenie na party u niejakiej Flory Bervoix i postanawia jednak podążyć do Paryża śladami ukochanej. Nie podda się tak łatwo.

Taki on. Kurtyna.

Odsłona druga

Violetta, w towarzystwie nieodłącznego Barona (przepraszamy) Duphol na balu u Flory B. Goście przebrani za torreadorów i cyganki. Tańce i napoje wyskokowe. Pojawia się Alfredo i siada do karcianego stolika. Licytację przerywa kęśliwymi uwagami pod adresem byłej kochanki. Baron gotuje się wewnątrz. Ku ogólnemu zdziwieniu Alfredo wygrywa i postanawia opuścić bal zabierając ze sobą Violettę. Ta, mimo gorących próśb kochanka, odmawia. Alfredo podejrzewa romans z (przepraszamy) Dupholem. W ataku zazdrości rzuca naszej biednej (i chorej) heroinie pieniądze w twarz, dając przy tym towarzystwu

do zrozumienia, że jest to opłata za coś zupełnie innego, powszechnie wiadomo za co mężczyzna płaci kobiecie nie będącą jego żoną. Przynajmniej wówczas wszyscy wiedzieli. Violetta mdleje, Baron wzywa, tatuś zazdrośnika pojawia się nie wiadomo skąd i znów wtrąca swe trzy grosze. *Kurtyna.*

Akt III

Luty, czas karnawału. Violetta na łożu boleści. Wcale nie czuje się dobrze, co jest w końcowym stadium suchot zrozumiałe. Z listu starszego pana Garmont dowiaduje się, że zraniony w pojedynku baron wraca do sił, Alfredo zaś musiał opuścić kraj. Nie ma to jak dobre wieści.

Alfredo, uświadomiony przez nękanego uzasadnionymi wyrzutami sumienia ojca, pojawia się w sypialni umierającej i zaczyna w swej naiwności snuć plany wspólnego szczęścia. Pojawia się ojczulek Garmont i korzystając ze swych uprawnień rodzicielskich

błogosławi rozkwitające uczucie. Violetta zaklina oblubieńca aby poszukał sobie innego obiektu zainteresowań ponieważ ma zamiar za chwilę skonać. Alfredo prosi aby nie umierała. Violetta chciałaby ale nie może. Szlochy publiczności. *Kurtyna*.

Uwagi, które należy rzucić od niechcenia po zakończeniu spektaklu.

1. No, Callas to jednak całkiem inna klasa (na temat odtwórczyni roli tytułowej).
2. Gdzież mu tam do Placido Domingo (na temat odtwórcy roli Alfreda).
3. No, Zefirelli to z niego raczej nie jest (na temat jakości pracy reżysera).
4. Pamiętam, w 2005 roku w Salzburgu, gdy śpiewali Netrebko i Villazon! Nie-za-po-mnia-ne!!! (tak ogólnie)

Obsada (w skrócie):

Violetta Valéry (sopran)

Flora Bervoix (mezzosopran)

Alfredo Germont (tenor)

Baron (przepraszamy) Duphol (baryton)

Tatuś Germont (baryton)

Ważniejsze arie (również duety):

1. Libiamo ne lieti calici (Alfredo, Violetta, Chór)
2. Un di, felice, eterea (Alfredo, Violetta)
3. Ah, fors'è lu (Violetta)
4. Sempre libera (Violetta)
5. De miei bollenti spiriti (Alfredo)
6. Addio del passato (Violetta)
7. Gran Dio! morir si giovane (Alfredo, Violetta)

Trivia:

Opera miała być początkowo zatytułowana „Kamelia”. Stało jednak na tym, że będzie to Traviata. Prapremiera odbyła się 6 marca 1853 w Teatro La Fenice w Wenecji. Publiczność wygwizdała „za pokazywanie dziwek na scenie” a recenzenci zjechali niemiłosiernie. Verdi załamał się, zmienił tytuł opery na

Violetta a Piave przeniósł akcję na dwór Ludwika XIV. Co się spodobało. Pierwotna wersja wróciła do łask w czasach późniejszych.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Callas](#), [Domingo](#), [Piave](#), [przewodnik operowy](#), [Traviata](#), [Verdi](#), [Zefirelli](#)

79. [Egzystencjalizm a sprawa polska...](#)

Lipiec 14, 2009

Gdy Sartre zaczął pić denaturat, Simone de Beauvoir ostatecznie straciła do niego serce i poświęciła się bez reszty studiom terenowym nad wyższością materaca sprężynowego nad włosianym. Początkowo usiłowała jeszcze wpłynąć na wybitnego myśliciela przy pomocy perswazji słownej, ten jednak nie znosił utyskujących bab i dawał swej niechęci upust w sposób dobitny.

- Nie znoszę utyskujących bab – wrzeszczał ku utrapieniu sąsiadów na całe podwórko.

Pomysł z denaturatem podsunął mu konsjerż Vienckoffsky, któremu ten interesujący zwyczaj znany był z opuszczonej przed laty ojczyzny. Camus i Vercors próbowali przez pewien czas wpłynąć na Sartre'a i mu wyperswadować, ten jednak, konsekwentny aż do bólu, postanowił zaznajomić się dogłębnie z obyczajami proletariatu..Ani myślał ugiąć się przed dyktatem burżuazyjnej małostkowości. Poznawanie życia ludu z perspektywy kawiarnianego stolika mierziło go. I już.

Siedzieli sobie tak z konsjerżem Vienckoffskym filtrując denaturat przez bagietkę i co ufiltrowali to wypili. Vienckoffsky, rozumiejąc przewagę intelektualną Sartre'a, konsekwentnie odmawiał wypicia bruderszaftu. Myśl, że filozof będzie mu mówił Heniu, napawała go z jednej strony dziwnym podnieceniem, z drugiej strony jednak, zrozumiiałym niepokojem.

Sartre, po wypiciu dwóch musztardówek, wpatrywał się tępo w poplamioną tapetę stróżówki. Czasem mruzczał coś pod nosem po francusku. Po trzeciej zazwyczaj spadał z krzesła.

Pewnego dnia Sartre zażądał od Vienckoffskyego aby zagrał coś na bałajce, ten zaś zawarczał groźnie, a następnie wyrzwał filozofa w mordę. Sartre wstał i bez słowa opuścił stróżówkę. Odtąd spędzał swój czas wolny na tarasie Café des Deux Magots. Tak oto ta piękna, męska przyjaźń zakończyła się tak samo gwałtownie jak się rozpoczęła, pozostawiając jednak niezatarte piętno na dokonaniach twórcy egzystencjalizmu.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Café des Deux Magots](#), [Camus](#), [de Beauvoir](#), [denaturat](#), [egzystencjalizm](#), [męska przyjaźń](#), [polski emigrant](#), [Sarte](#), [Vercors](#)

80. Komunizm, a poczucie humoru. Szkic wstępu.

Lipiec 24, 2009

Gdy w 1919 roku Aleksander Aljechin został w Odessie zaaresztowany przez dzielnych czekistów, wypadki potoczyły się tak, jak potoczyć się musiały. Podobnie jak i resztę licznych współaresztantów skazano go – pod zarzutem uprawiania szpiegostwa – na śmierć przez rozstrzelanie. Wyroku jednak ostatecznie nie wykonano. Legenda głosi, że Aljechina odwiedził w celi śmierci sam Lew Trocki, rozegrał z nim jedną partię i mimo własnej sromotnej przegranej – ułaskawił. Siedzieli w nocy przy ogarku i grali. A potem ułaskawił, dobroczyńca. Tyle legenda.

Rosyjscy historycy spierają się do dzisiaj jak to wówczas było, przychylając się wszelako do wersji mniej spektakularnej. A zatem nie Trocki, lecz Dymitri Zacharowicz Manuilski,

nie grał, lecz załatwił sprawę przez telefon, jak również nie ze względu na poziom gry arcymistrza, lecz przez wzgląd na dawne, petersburskie jeszcze, znajomości.

Ponieważ rachunek musiał się jednak zgadzać, zamiast Aljehina rozstrzelano czekistę, tego samego, który go uprzednio zaaresztował. Pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Denikina rzecz jasna.

Fanatyczny komunizm i poczucie humoru nie muszą się wzajemnie wykluczać.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Aljehin](#), [Manuilski](#), [Odessa](#), [1919 rok](#), [Denikin](#), [Czeka](#)

81. [Szulce. Noir. Więcej.](#)

Lipiec 27, 2009

Słońce zaszło za łańcuch budynków, cienie w

wąwozie ulicy stały się nagle głębsze. Liście na stojących w równym szeregu platanach gotowały się w parnym bezruchu. Dzień zmierzał ku nieuniknionemu schyłkowi. Zapalające się powoli uliczne latarnie zwiastowały zapadający zmrok. Szum miasta zagłuszał odległe pomruki nadciągającej od strony portu burzy.

Kryjący się za secesyjną, bogato zdobioną fasadą gmach mógłby kryć w swym wnętrzu muzeum, galerię sztuki albo archiwa. Może nawet prefekturę. Przytwierdzony obok okazałych drzwi wejściowych szyld nie pozostawiał jednak najmniejszych wątpliwości, że chodzi o miejsce pracy stróżów publicznego porządku. Po krótkiej, nieuniknionej szarpaninie z monstrualnymi wrotami, Szulce znalazł się w półmroku westybulu. Ignorując strażnika, który ze swej strony starał się ignorować zarówno wchodzących jak i wychodzących pracowników, powlókł się w

stronę mających w głębi schodów. Po chwili wkroczył do pokoju na pierwszym piętrze. Zaduch wnętrza w niczym nie ustępował zaduchowi korytarza, a pod pewnymi względami nawet go przewyższał. Dwa odrapane biurka, dwa biurowe krzesła, stolik, poślizgnięta od nikotyny firany, wieszak na ubrania, szafa na akta. Nieuchronny zegar na ścianie. Od rana nic się nie zmieniło. Przy jednym z biurek siedział Lissitzky i wpatrywał się w ekran komputera. Na ekranie spora grupa osób bez ubrań oddawała się, w przerywanym jękami i sapaniem milczeniu, wybranym aspektom życia towarzyskiego. Niektóre z osób sprawiały wrażenie pełnoletnich.

Szulce padł wyczerpany na krzesło, z czeluści raportówki wyciągnął pięć zmiętych kopert. Rozdarł najgrubszą i rozpoczął przeliczać zawartość. Pomięte banknoty układał w sterty według nominałów. Gdy doszedł do trzeciej koperty, zadzwonił wiszący na ścianie telefon.

Dzwonek wiszący na ścianie telefonu nie wróżył nic dobrego.

- Nie ma mnie – powiedział do Lissitzkyego. Ten jednak ani drgnął. Pochłonięty szczególnie interesującą kombinacją z udziałem dziarskiego staruszka i trzech pań o aparycji gimnazjalistek, nie miał zamiaru dać się sprowokować. Szulce też nie. Gdy po upływie minuty telefon nie zamilkł, lecz dalej hałasował utrudniając liczenie, Szulce dźwignął się zrezygnowany z krzesła i począł do aparatu.

- Starszy posterunkowy Szulce – powiedział zgodnie z prawdą.

- Nagły wypadek na 41 ulicy – głos dyżurnego brzmiał beznamiętnie – łączę.

Trzaski w słuchawce dołączyły do sapania i jęków dochodzących od strony biurka Lissitzkyego. Potem zabrzmiał męski głos. Płaski, bez tchu, pełen nieukrywanej paniki.

- Przed chwilą znalazłem żonę – wyszeptał głos

- Rozumiem – mruknął Szulce. Nie rozumiał i dlatego postanowił poczekać na ciąg dalszy.
 - On chyba jeszcze tu jest – powiedział głos – tu, w mieszkaniu! W jednym z pokoi na górze. Słyszę kroki – dodał.
- Szulce postanowił nie przeszkadzać swemu rozmówcy zbędną dociekliwością. Jak to dobrze, że się nie przedstawiłem, pomyślał.
- On ją udusił – wykrztusił głos.
 - Kogo? –zainteresował się Szulce.
 - Żonę. Ma na szyi zaciśniętą smycz. A my nie mamy psa.
 - Bardzo źle słyszę – powiedział spokojnie Szulce –fatalne połączenie.
 - Niech ktoś na litość boską tu przyjedzie – wyszeptał głos – niech ktoś mi powie co mam robić!!!
 - Nic nie rozumiem – powiedział Szulce, tym razem głośniej – połączenie się chyba urywa.

Proszę spróbować jeszcze raz.

Po czym odłożył słuchawkę, zbliżył się do biurka i zręcznym ruchem zgarnął zarówno policzone już pieniądze jak i nieotwarte jeszcze koperty.

- Na mnie już czas – rzucił w stronę Lissitzkyego – no to – do jutra.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, skierował się w stronę wyjścia. Po chwili był znów na wyludnionej ulicy. Pierwsza, ciężka kropla deszczu uderzyła z głuchym łoskotem w daszek czapki, druga rozpryskała się na policzku. Szulce przyśpieszył kroku, aby zdążyć znaleźć schronienie zanim nad miastem rozszałe się piekło.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Szulce. Noir.](#), [brudnopis](#)

82. Dobrze albo wcale

Lipiec 31, 2009

O zmarłych należy mówić albo dobrze albo wcale. I skąd to się proszę Państwa wzięło? Skąd biorą się takie z pozoru sympatyczne, a po głębszym zastanowieniu się raczej problematyczne bonmoty?

Teorii jest kilka. Wymieńmy dwie. Zaslugują na to.

De mortuis nil nisi bene [dicendum] miał rzekomo jako pierwszy zawyrokować Chilon ze Sparty. Tak przynajmniej twierdził Diogenes. Nie ten od beczi, lecz ten drugi, Laertius. Powszechnie uważany za fachowca od żywotów i dokonań antycznych filozofów, mógł sobie pozwolić na nacechowane pewną dezynwolturą przypisywanie tego i owego – wedle swego uznania – to temu, to tamtemu. Gdyby jednak poczytał uważniej Plutarcha, byłby pewnie ostrożniejszy. Ten bowiem, dobre 300 lat wcześniej przypisał już te słowa Solonowi Ateńczykowi. Zełgać mógł jeden, drugi lub obaj – czyli mamy tutaj, prawda, pewien dylemat. Czym się kierować? Komu tu wierzyć? Jedno jest pewne: w powyższej formie żaden z nich nie mógł niczego podobnego powiedzieć bo żaden z nich nie znał łaciny. Nie znał i już. Dlatego przyjmuje się, że Chilon powiedział (lub nie powiedział) „τὸν τεθνηκότα μὴ κακολογεῖν“, podczas gdy Solon miał jakoby powiedzieć (lub nie powiedzieć) „τὸν τεθνηκότα μὴ κακολογεῖν, γῆρας

τιμᾶν.“ Różnica, jeśli wolno zażartować, trudna do przeoczenia nawet dla osób pobieżnie znających starożytną grekę. Ale nieważne.

Spróbujmy zatem ocenić wiarygodność obu panów posługując się innymi, bardziej przekonującymi kryteriami. Spróbujmy, bo co szkodzi.

O Chilonie ze Sparty wiemy mało. Pozostała po nim garść przypisywanych mu sentencji i opinia jednego z siedmiu mędrców starożytności. Niektóre sentencje są niezrozumiałe (poznaj siebie samego) inne rozczulają swą dobroduszną naiwnością (nie śmiej się z cudzego nieszczęścia). Gdyby posłuchano Chilona, nigdy nie powstałby kabaret.

O Solonie wiemy całe mnóstwo, prawie nic z tego nie jest na szczęście pewne. Nawet nie wiadomo tak naprawdę, kiedy ten Solon dokładnie żył. Biorąc pod uwagę, że wybitny prawodawca, filozof i poeta należał do czołowych propagatorów pedofilii w

starożytnych Atenach – to może nawet i lepiej. Niezapomniane są jego rozwiązania prawne regulujące szczegółowo z jakimi pacholęciami płci męskiej obywatelom można współżyć (z potomstwem niewolników i wyzwolenców), a z jakimi raczej nie (z synami wolno urodzonych obywateli). Chyba, że obie strony się ze sobą dogadają to wtedy wolno wszystkim wszystko i jest to, według Solona, bardzo dobre, pożyteczne, godne podziwu a nawet pochwały. Po dokładnym porównaniu dokonań obu mędrców, decydujemy arbitralnie, że w kryterium ulicznym zwyciężył Chilon ze Sparty i teraz to już chętniej jego właśnie cytujemy. Trudno bowiem pogodzić się z myślą, że uznajemy poglądy notorycznego pedofila za godne cytowania. Albo co gorsza, za swoje własne. Kropotkin, po głębszym namyśle, dochodzi do wniosku, że niezależnie od autorstwa, maksyma nie ma najmniejszego sensu. Mówienie źle o

zmarłych wydaje mu się wcale nie aż takie zdrożne. Po pierwsze przynosi ulgę, po drugie nie może ich to już zabołec, a po trzecie – w przeciwieństwie do żywych – nie mogą odwdziaczyć nam się tą samą monetą. Na temat mówienia źle o żywych starożytni mędracy nie pozostawili nam żadnej maksymy. Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

83. [Z wokandy: obrona konieczna.](#)

Sierpień 4, 2009

Zapalony myśliwy Mirosław C., oskarżony o zamordowanie w lesie sarenki, wybrał w porozumieniu z mecenasem Szlęzakiem problematyczną na pierwszy rzut oka linię obrony. Twierdził mianowicie, że zmuszony był to uczynić w obronie własnej. Szczegółowe śledztwo ujawniło, że w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca tragicznego

zdarzenia przypadkowi przechodnie odnaleźli należący do sarenki resor. Zeznania licznych, zawezwanych przez obronę świadków, potwierdziły że sarenka była krwiożerczą i nacechowaną okrucieństwem bestią. Przewiduje się powszechnie, że obradujący pod przewodnictwem sędziego Józefa Ciechanowicza sąd okręgowy w Olsztynie przychylił się do linii obrony, uniewinniając oskarżonego.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [z prasy lokalnej](#)

84. [El Manifiesto del día. Starczy.](#)

Sierpień 5, 2009

Van Boxsel, wychodząc od bliżej niezidentyfikowanych też Sloterdijka i opublikowanego w 1991 roku „Bo oni nie wiedzą co czynią“ Slavoj Žižek, wyróżnia trzy rodzaje głupoty. Prześlizgując się nad opartą na

fundamentalnej naiwności **głupotą klasyczną**, stwierdza, że również **głupota nowoczesna** jest niedzisiejsza. Podobnie jak w przypadku starszej siostry, u podstaw jej definicji leży przeświadczenie, że głupiec wypiera się rzeczywistości. I tak, wiodąc cierpliwie za rękę, van Boxsel doprowadza czytelnika do do trzeciego rodzaju głupoty, **głupoty postmodernistycznej**. Postmodernista, zbyt mądry aby dać się zwieść swej własnej retoryce, jest głupcem oświeconym. W swój wywód wkalkulował wszystko, również swą ewentualną głupotę oraz fakt, że być może wszystko jest inaczej, a on nie ma racji. Postmodernistyczna głupota czyni bezradnym, jakże przybić budyń do ściany? Tym bardziej, że nie każdy jest posiadaczem gwoździ. O młotku już nie wspomnę.

Dla tych, którzy uważają powyższy ciąg myślowy za mętny, Žižek przygotował przykład. W epoce myślenia anegdotycznymi

fajerwerkami (ukłon w stronę mediów) – nie ma to jak przykład. Przykłady są łatwe do zapamiętania i przemawiają do wyobraźni ogółu, czyli nawet tych, a może przede wszystkim tych, którzy jej nie posiadają. Z punktu widzenia filozoficznego marketingu – bezcenne. Przykład dotyczy polityki.

Polityk otwarcie dopuszcza się oszustw, nikt mu nie wierzy; on o tym wie; my też wiemy, że on wie, i on wie to również.

Proszę zwrócić uwagę na interpunkcję: majstersztyk.

Dalsza ewolucja poglądów Žižka wskazuje jednak, że baron Münchhausen (ten od wyciągania się z bagna za własne włosy) znalazł i tym razem godnego naśladowcę. Dotarłwszy do krawędzi dekonstruktywizmu, Žižek czyni duży krok na przód i, wzorem postaci z kreskówek, kroczy dalej w powietrzu. Pomysł polega na dekonstrukcji dekonstruktywizmu. Pierwszym– i jak na razie

największym krytykiem dekonstruktywisty Žižka, staje się niejaki Žižek. Demaskując spisek neoliberalistów i ich postmodernistycznych intelektualnych współników, Žižek prezentuje się w swej nowej roli jako Hugo Chávez myśli współczesnej, dołączając do swego repertuaru, obok kroczenia w powietrzu i chodzenia po wodzie, również salto w tył. Czapki z głów i oklaski.

Gdy przyglądamy się naszemu mądrymu Slavojowi, chlubie współczesnej myśli filozoficznej i supergwiazdzie intelektu, jak kroczy od sukcesu do sukcesu, z niedopałkiem cygara w sztucznych zębach, [w białym wdzianku dandysa](#), u boku wywodzącej się z branży bieliźniarskiej małżonki, trudno oprzeć się niemiłemu uczuciu déjà-vu. W maju 1968 roku, Jacques Lacan nagle doszedł do wniosku, że psychoanaliza ma, a w zasadzie zawsze już miała, proletariackie korzenie. Zaburzenie nie trwało długo i być może dlatego pomijane jest

konsekwentnie przez większość hagiografów. Twierdzenie, że to samo schorzenie może się manifestować w różny sposób, jest znanym każdemu studentowi medycyny truizmem. Podejrzenie, że Žižek okazał się pod każdym względem godnym spadkobiercą lacanowskiego zwierciadła, powoli zamienia się w pewność. Pytanie, co w nim dostrzega, pozostaje jednak otwarte. Niewykluczone, że jest to czwarty rodzaj opisywanego z takim powabem przez van Boxsela zjawiska.

Ewentualne lektury uzupełniające:

Matthijs van Boxsel, *Enzyklopedia głupoty*, Warszawa, Wyd. WAB, 2004

Slavoj Žižek, *For They Know Not What They Do: Enjoyment As A Political Factor*, London; New York: Verso, 1991

Slavoj Žižek, *In defence of lost causes*, London; New York: Verso, 2008

Marcus Pound, *Žižek: A (Very) Critical Introduction (Interventions)* Eerdmans Publ.

Company, London 2008

(ostatnia pozycja fascynuje, również – a może przede wszystkim – ze względu na napisane przez obiekt krytyki posłowie)

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Analia Hounie](#), [Buenos Aires](#), [fantazje posthumanistyczne](#), [Głupota](#), [La gauche proletarienne](#), [Lucan](#), [Sloterdijk](#), [vanBoxsel](#), [Žižek](#)

85. [Time voyager](#)

Sierpień 7, 2009

Kiedy wreszcie – mimo zażytych rozlicznych pigułek, czopków i syropów – ból głowy stał się niemożliwy do zniesienia, Myszkim. postanowił uciec się do bardziej radykalnych środków.

- Najlepiej – powiedział sam do siebie –

najlepiej byłoby przenieść się w niezbyt odległą ale za to bezbolesną przyszłość.

Problem Myszkina polegał jednak na braku wehikułu pozwalającego na podróże w czasie. Myszkini posiadał wiele rzeczy. Posiadał bocykl. Posiadał maszynę do pisania (bez taśmy). Posiadał patefon, sztalugi i fortepian. Wehikułu nie posiadał.

Ponieważ ból był trudny do zniesienia, a potrzeba bywa często, choć niekoniecznie zawsze, matką wynalazku, Myszkini rozejrzył się uważnie. Pokój, jak pokój – pomyślał. Warto by podlać paprotkę. I zetrzeć kurze. Na myśl o ścieraniu kurzu ból wzmógł się i zaczął miarowo pulsować. Co zasadniczo było nieprzyjemne.

- A gdyby tak – zastanowił się – wejść do szafy?

I wszedł.

W trakcie myszkinowskiego pobytu w szafie,

do pokoju wkroczył kanonik Vaubain. Większość ludzi wchodzi, niektórzy wślizgują się nieśmiało. Kanonik Vaubain, nawet gdy chodzi jedynie o przyjacielską wizytę – wkracza. A zatem wkroczył. I zauważywszy ewidentną nieobecność Myszkina w pokoju, przyłożył ucho do drzwi, a potem zaczął, najprawdopodobniej z nudów, grzebać w górnej szufladzie komody.

Podróże w czasie są nie tylko możliwe, lecz również obarczone szeregiem trudnych do przewidzenia niebezpieczeństw. Przepisane Myszkinowi przez doktora Konowałowa krople na serce okazały się na szczęście, również w przypadku kanonika, nader skuteczne.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [ból głowy](#), [cephalgia](#), [komoda](#), [Myszkini](#), [myszkowanie](#), [Podróże w czasie](#), [Vaubain](#)

86. Ma Belle, Si Tu Voulais

Sierpień 11, 2009

W świecie przypominającym po części medialne targowisko próżności, a po części nie do końca umarłą klasę pełną nadgorliwych uczniów wyrywających się do odpowiedzi zdarzają się dziwne wyjątki. Poniżej próba życiorysu.

Uchodzi nadal (według wielu) za największy żyjący autorytet w swej dziedzinie. Jest żyjącą legendą – o ile nadal żyje. Nie wiadomo jednak, gdzie od 18 lat przebywa. W tym roku obchodziłby osiemdziesiąte urodziny - gdyby urodziny obchodził. Pielęgnacją i interpretacją jego dorobku zajmuje się specjalnie ku temu powołana międzynarodowa fundacja. Jej prezes, zapytany o to, czy twórca nadal żyje odparł:

„Ponieważ nie dotarła do nas wiadomość o jego śmierci, musimy założyć, że nadal żyje”

Urodził się 28. marca 1928 roku w mieście, które będąc kontynentalnym symbolem dekadencji, już wkrótce miało stać się światową stolicą ucieleśnionego zła. Jego ojcem był znany ukraiński anarchista, chociaż niekiedy jego pochodzenie określane jest inaczej. Po ojcu, który jako idol swego pokolenia został kilkakrotnie skazany na śmierć i spędził swą młodość wpierw w carskich, potem w sowieckich więzieniach, dziedziczy imię, po matce, która przeszła do historii jako autorka jednej, podobno fascynującej, lecz nigdy nie wydanej autobiograficznej powieści-rzeki – nazwisko i wrażliwość na wszelkie przejawy niesprawiedliwości społecznej. Wrażliwość ta nie obejmowała jednak najbliższych, piękna Hanka podrzuca swego jedyne go syna obcym ludziom i podąża za mężem do Paryża, a potem do Hiszpanii aby tam oddać się walce o szczęście ludzkości. Frakcja zwolenników szczęścia ludzkości przegrywa z krete sem,

anarchistyczne małżeństwo znów ląduje na paryskim bruku, zawód ulicznego fotografa daje się jakoś wykonywać bez utraconej w jednej z domowych wojen lewej ręki.

Nasz protagonista, w międzyczasie dwunastoletni, pojawia się pewnego dnia na progu paryskiego schronienia przymierających głodem bojowników o szczęście ludzkości. Z kuferkiem i listem dotychczasowych opiekunów. Wyrażają oni w tymże liście ubolewanie, ale jest jak jest i dalsze przechowywanie dziecka grozi w najlepszym razie więzieniem, w najgorszym zaś to lepiej nie myśleć.

Beznadziejna sytuacja emigranckiej rodziny ma się zresztą niebawem pogorszyć, wybucha wojna, na skutek denuncjacji usłużnych sąsiadów dochodzi do aresztowania całej trójki. Zrządzeniem losu zostają internowani w rozmaitych obozach, ojciec w Le Vernet, matka z synem w Rieucros. W 1942 roku, przekazany

okupantom, jednoręki fotograf odbywa swą ostatnią w życiu podróż w jadącym na wschód bydłym wagonie, aby po przybyciu do położonego opodal jednej z najbardziej znanych na świecie polskich miejscowości miejsca przeznaczenia, umrzeć w okolicznościach, w jakich umierało się po przybyciu. W tym czasie, jego syn pobiera nauki gimnazjalne w małym miasteczku Le Chambon, tam też w 1945 roku zdaje egzamin maturalny. Jako uczeń czyni ku zgrozie wychowawców nie to co powinien, lecz co mu się podoba, wykazuje jednak niebywałe jak na swój wiek uzdolnienia w jednej, wybranej dziedzinie, być może dzięki nim – wyposażony w skromne stypendium – może podjąć studia w pobliskim Montpellier. Studia nie zaspokajają głodu wiedzy, większość czasu spędza nad formułowaniem rewolucyjnej teorii, teorii, która miała tę małą skazę, że została, o czym nasz bohater nie wiedział, sformułowana w międzyczasie przez kogoś innego.

W 1949 roku otrzymuje od jednego ze swych profesorów, w celu przeprowadzenia niezbędnej korekty, publikację, której treść sprowadza się do opisu czternastu słynnych, lecz uchodzących za nierozwiązywalne problemów. Zamiast korekty tekstu, młody geniusz dostarcza rozwiązania tychże. Następane dwadzieścia lat to w międzyczasie legendarny okres, triumfalny pochód od sukcesu do sukcesu, w wieku lat 42–38 uzyskuje najwyższe, możliwe do osiągnięcia laury. Nagrody jednak osobiście nie odbiera, nie podobają mu się stosunki panujące w kraju w którym ma zostać mu ona wręczona. Począwszy od 1968 roku, aż do przejścia na emeryturę 20 lat później, zaczyna wykazywać objawy niezrozumiałe dla wielbiącego go otoczenia. W 1970 roku porzuca z dnia na dzień pracę w renomowanym instytucie ponieważ odkrywa, że część jego funduszy naukowych pochodzi z kręgów zbliżonych do przemysłu zbrojeniowego. Od tego czasu zmienia

profesury jak rękawiczki, nigdzie nie zagrzewając miejsca zbyt długo. Do swych wykładów włącza – ku niepomiernemu zdziwieniu słuchaczy – coraz to nowe elementy, powiedzmy tutaj szczerze, elementy raczej odległe od zapowiadanych tematów. Poczesne miejsce zajmuje tutaj spisak amerykańskiego kompleksu polityczno-militarnego, wiele czasu poświęca również złowrogiej działalności atomowego lobby i tematom ekologicznym. Zakłada komunę i większość czasu spędza na podróżach po świecie propagując nowy styl życia. Odkrywa dla siebie buddyzm i tworzy teorię, u której podstaw leży przeświadczenie, że ludzkość stoi w obliczu nieuniknionego upadku, uratować może ją jedynie wspólne działanie genialnych jednostek zwanych przezeń mutantami. Lata osiemdziesiąte to okres pisarskiego szaleństwa, powstają tysiące stron tekstów okultystycznych i pseudoreligijnych, pomiędzy stronami, jak

ukryte diamenty dają się odnaleźć trudno czytelne fragmenty teorii z dziedziny w której okrzyknięto go niegdyś geniuszem. Uznaje się za reinkarnację zakonnicy Marthe Robin słynnej z tego, że przez lat trzydzieści odżywiała się bez uszczerbku dla zdrowia hostią i modlitwą. Skłócony z uczonymi kolegami odchodzi wreszcie na emeryturę w 1988 roku, od lat już nie mieszka w metropolii przedkładając ponad luksusy wielkomiejskiego życia skromną, pozbawioną elektryczności chatę w prowansalskiej wiosce. W tym samym roku nieomal zabija się czterdziestodniową głodówką w trakcie której miewa prorocze wizje. Gdy wraca do przytomności, znajduje dość sił aby napisać list do komitetu pragnącego przyznać mu nagrodę za całokształt naukowego dorobku. Nagrodę z oburzeniem odrzuca. W 1990 roku publikuje list otwarty w którym zapowiada nadejście sądu ostatecznego. W sierpniu 1991 roku opuszcza nagle dom w

Les Aumettes. Po prostu znika z dnia na dzień. Udaje się go odnaleźć dopiero po upływie trzech lat intensywnych poszukiwań. Żyje podobnie gdzieś w Pirenejach, pisząc od świtu do nocy, ołówkiem i przy świecach, dzieło swego życia. Milczy. Ci, którzy go odnaleźli odmawiają ujawnienia jego miejsca pobytu, respektując jego życzenie pozostania do końca w cieniu.

Addendum:

Alexander (jak chcą Niemcy) lub **Alexandre** (jak sądzą Francuzi), syn Aleksandra [Shapiro](#) i Hanka **Grothendieck** urodził się w Berlinie, spędził dzieciństwo u przybranych rodziców w Hamburgu, uratował się z Holocaustu dzięki przypadkowi i pomocy przyzwoitych ludzi. Twórca nowoczesnych podstaw geometrii algebraicznej (patrz: Grothendieck topology, Grothendieck universe), laureat medalu Fieldsa

(będącego matematycznym ekwiwalentem nagrody Nobla), pod koniec lat 60-tych i w latach 70-tych, u szczytu sławy, odchodzi powoli od matematyki stając się jednym z pionierów radykalnej ekologii i jednym z najbardziej bezkompromisowych aktywistów ruchu pacyfistycznego. Niezapomniane są jego wykłady prowadzone dla wietnamskich matematyków wygłaszane w bunkrach na obrzeżach bombardowanego przez Amerykanów Hanoi. Skłócony z większością uznających jego geniusz lecz niekoniecznie podzielających jego radykalizm kolegów po fachu, porzuca matematykę dla mistyki, okultyzmu, w latach 80-tych gubi się ostatecznie w labiryncie metafizyki i medytacji, w latach 90-tych wybiera samotność i milczenie. Milczy w ukryciu od 18 lat niepomny świata, który chciałby go od czasu do czasu uczyć lub docenić.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Tagów brak](#), [zagadka](#)

87. [Z pamiętnika panny służącej.](#) [Cała prawda.](#)

Sierpień 13, 2009

8.4.1912 – Montag

Dzisiaj pierwszy dzień na nowej posiadzie. Nie byle gdzie, bo u Państwa Dokurostwa. Pastor Kruger mnie polecił. Dobry z niego człowiek.

11.5.1912 – Sonntag

Niedziela. Już miesiąc tu jestem. Praca dobra, ale ci moi Państwo jacyś dziwni. Szczególnie pani Olga. Nic nie robi tylko śpiewa smutne pieśni w jakimś obcym języku. Doktor Gehrling powiedział, że to po rosyjsku. Widział to kto, po rosyjsku! Jak by po ludzku nie można było.

27.5.1912 – Montag

Skaranie Boskie z tem mojem Państwem. Pani Olga śpi do południa, widział to kto? Boga się nie boi. Doktor, i owszem, wstaje wcześniej, jak Bóg przykazał i idzie do nich, do tych swoich wariatów. I jak ja mam wyfroterować te podłogi, jak ona całymi dniami śpi?

12.6.1912 – Mittwoch

Oj nie wiem ja biedna, czy ja tu długo miejsca zagrzeję. Porządku utrzymać się nie da. Wszędzie leżą papiery. Jak zaczęłam dzisiaj sprzątać u doktora w gabinecie, to zdenerwował się i nawrzeszczał. Ważne papiery, krzyczy, niczego potem nie znajdę, krzyczy. Jakie tam ważne papiery. Ale czego można się spodziewać po kimś, kto pracuje u wariatów? Doktor Gehrling mówi, że oni i tak wyjadą do tej Rosji. Nie wejdę więcej do tego gabinetu. Niech mu żona posprząta.

22.6.1912 – Samstag

To się dobrze nie skończy. Doktor dzisiaj przyprowadził do domu małpę. Małpa biega i brudzi. Pani Olga klaszcze w dłonie i zaśmiewa się do łez. Jak by musiała po małpie sprzątać – to by się nie zaśmiewała. Jutro po mszy zapytam Krugera czy nie zna jakiegoś miejsca u pobożnej rodziny, jakiejś, która nie trzyma małpy w domu. Doktor Gehrling mówi, że małpa jest naukowa i ma służyć doktorowi do obserwacji pacjentów. Wariaty mają uciechę, doktor ma swoje obserwacje, a ja mam więcej roboty.

1.7.1912 – Montag

Sądny dzień. Małpa zamknęła się w gabinecie. A doktor biega i rwie włosy z głowy. Gdzie jest kałamarz, krzyczy, gdzie jest mój kałamarz?. A skąd ja mam wiedzieć gdzie jest kałamarz? Pewnie małpa porwała. Pani Olga tylko się śmiała. A doktora rozboleł od tego krzyku brzuch z prawej strony. Jak małpa naświni atramentem, to ja będę musiała posprzątać. Tak

dłużej już być nie może.

2.7.1912 – *Dienstag*

Małpa poplamiała wszystkie papiery. Sodoma i Gomora. Kłóca się teraz i wrzeszcza.

Dopisek ołówkiem, prawdopodobnie później:

Rzuciłam robotę u tych Rorschachów.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [cała](#)
[prawda](#), [diagnostyka psychologiczna](#),
[psychologia kliniczna](#), [test](#)

88. Niezupełnie inteligentny projekt. Minione aberracje.

Sierpień 17, 2009

Tzw. Inteligentny Projekt (Intelligent Design) nie jest pierwszym – i zapewne nie ostatnim – ekscentrycznym i budzącym (powiedzmy sobie) pewne zdumienie płodem tzw. myśli

chrześcijańskiej. Nie chcąc angażować się w pełną radosnych emocji dyskusję, zwróćmy się, zgodnie z upodobaniami, ku przeszłości i zajmijmy się innym, zamkniętym jak się wydaje, rozdziałem ludzkiego błędzenia w drodze do absolutu. Historia magistra vitae est. Powiedzmy. A zatem, proszę Państwa, dzisiaj serwujemy **Ascetyzm**. Chrześcijański, bo inne też są.

Ascetyzm wielu ojców ma. Początki ruchu gubią się gdzieś w mrokach II lub III stulecia. Podczas gdy w stolicy i większych ośrodkach cesarstwa dobrzy chrześcijanie, korzystając z dobrodziejstw popularnej kariery ukrzyżowanego lub zjedzonego przez lwę męczennika, mieli szansę na szybsze zbawienie, chrześcijanie prowincjonalni szansy takiej byli przeważnie pozbawieni. Niezadowolenie z takiego stanu rzeczy i wynikające z niego domaganie się równości szans w drodze do zbawienia, powinno być zatem zrozumiałe.

Niewydolne i chylące się ku upadkowi cesarstwo nie było w stanie wyjść na przeciw słusznym postulatam chrześcijańskich mas. Pomysłowość ludzka nie zna jednak granic. Skoro – myśleli sobie szczególnie pomysłowi przedstawiciele nowej religii – władza nie jest w stanie wyjść na przeciw szerokiemu społecznemu zapotrzebowaniu na męczeństwo, weźmy sprawy we własne ręce i zamęczmy się sami. No i zaczęło się.

Nie wiadomo kto był pierwszy. Pewne przesłanki wskazują na **Orygenes** z **Aleksandrii**, błogosławiony ten mąż, jeśli wierzyć Euzebiuszowi z Cezarei, wziął dosłownie słowa zawarte w Ewangelii Św. Mateusza (XIX, 12) i dokonał w celu przyśpieszenia zbawienia, rach ciach, samokastracji. Dużo przemawia też na rzecz **Świętego Antoniego** zwanego przez potomnych Wielkim lub Anachoretą. Przydomki były konieczne choćby ze względu

na późniejsze namnożenie się świętych Antonich, hagiografowie wymieniają ośmiu. Ale do rzeczy.

Święty Antoni wpadł na rewolucyjny pomysł permanentnego umartwiania powłoki doczesnej. Był nie tylko prekursorem głodzenia się (aż do utraty zmysłów), lecz aby nie ulegać pokusom zgubnego luksusu, jako pierwszy zamieszkał w odosobnionym grobowcu zupełnie pozbawionym wygod. Pozostawił po sobie nie tylko cytowane przez Anastazego motto: „zabijaj się codziennie od nowa“ lecz stał się również świetlistym przykładem dla spragnionej przykładów młodzieży. Gdy umierał, zamieszkiwana przez niego dziura w ziemi otoczona była niezliczonymi norami wygrzebanymi przez spragnionych zbawienia naśladowców. Tyle jeśli chodzi o odpowiedź na pytanie skąd się wzięły klasztory. W międzyczasie rozwój wypadków przybiera katastrofalny dla spragnionych męczeństwa

obrót. Konstantyn (Wielki) instaluje nową religię jako oficjalną doktrynę państwową, kilkadziesiąt lat później wydarza się ostateczna, największa z wyobrażalnych katastrofa: Julian Apostata ogłasza swój podstępny edykt o powszechnej tolerancji religijnej. Nawet najwięksi optymiści muszą ostatecznie pogrzebać mrzonki o upragnionej śmierci męczeńskiej z ręki pogańskiej administracji, jako jedyna alternatywa pozostaje mozolne zamęczenie się samemu. No i zaczyna się. Wkrótce, nieomal każda, nawet najbardziej prowincjonalna dziura ma swego cierpiącego ku chwale Pańskiej eremity. Święci mężowie głodzą się, biczą, dają się zakopywać w ziemi lub, dla odmiany, zamurowywać żywcem w jaskiniach. W Egipcie, Syrii, Celicji i Kapadocji rozpoczyna się swoisty wyścig o najbardziej spektakularny przykład samoumęczenia. Niejaki **Simeon** (Szymon), gdy ani zamurowanie w grobowcu ani martyrium

polegające na trzyletnim pozostawaniu w pozycji stojącej nie wywołuje na nikim specjalnego wrażenia, decyduje się wdrapać na samotnie stojącą kolumnę i znajduje natychmiast setki entuzjastycznych naśladowców. Ruch słupnictwa będzie święcił swe triumfy przez następne pięć wieków. Niektóre z pomysłów są tak oryginalne, że do dziś muszą budzić graniczące z podziwem zdumienie. I tak, po obligatoryjnym już rozdaniu majątku biednym i potrzebującym oraz pozostaniu w jednym łachmanie, święci mężowie dają wyraz daleko idącej pomysłowości. Przykłady są niezliczone. Taki na przykład **Święty Grzegorz z Nazjanzu**, obok sypiania na gołej ziemi, odżywiał się wyłącznie stęchłym i cuchnącym chlebem. **Święty Benedykt z Nursji** był jeszcze bardziej wybredny i w ogóle odmawiał przyjmowania pożywienia. Gdy opuszczał swą przytulną jaskinię, krążył po okolicy w poszukiwaniu

ciemnistych krzewów i gdy je od znalazł z radością rzucał się w kłujące zarośla. Powszechnie wielbiony był też **Święty Aleksy z Edessy**– dowcipny ten człowiek opuścił żonę w czasie nocy poślubnej by poświęcić się Bogu, nocował na schodach kościoła a potem pod schodami pałacu swego ojca, gdzie zgodnie z jego własnymi prośbami i oczekiwaniami wylewano na niego pomyje i inne nieczystości. Na uwagę zasługuje też **Święty German z Paryża**, który ku chwale Pańskiej rozebrał się pewnego dnia do naga i aż do śmierci, nawet podczas najbardziej siarczystych mrozów, nie okrywał swego ciała ani skórą ani tkaniną. Radykalnie ekscentryczne pomysły towarzyszą chrześcijaństwu od zarania. Nabierają powszechnego charakteru, przeżywają swe apogeum i gubią się po wiekach w mrokach dziejów uzyskując najwyższą rangę minionej aberracji i historycznej ciekawostki. Nic nie wskazuje na to, że z Inteligentnym Projektem

będzie inaczej.

—
Aby uniknąć posądzenia o tendencyjny dobór faktów, lub zgoła skłonności do fantazjowania, pragniemy podkreślić, że **wszystkie** wymienione wyżej przykłady pochodzą z dzieł chrześcijańskich teologów i historyków. Kto może pojąć, niech pojmuje.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [aberracje](#), [ascetyzm](#), [asceza](#), [Intelligent Design](#)

89. [Z wokandy: dobre imię przedsiębiorcy](#)

Sierpień 22, 2009

W toczącej się przed Sądem Grodzkim rozprawie o zniesławienie, pewne zaskoczenie wywołały złożone w dniu wczorajszym wyjaśnienia oskarżonego Krzysztofa K. Odmówił on stanowczo powtórzenia użytego

przez siebie sformułowania, nie zaprzeczył jednak, że nazwał publicznie przedsiębiorcę pogrzebowego Józefa W. w sposób uwłaczający jego czci, a może nawet godzący w jego dobre imię. „W zasadzie“ oświadczył bezrobotny Krzysztof K. „taki właśnie miałem zamiar“

W dalszym ciągu swych wyjaśnień oskarżony naświetlił okoliczności, które skłoniły go do wysoce emocjonalnej, lecz jego zdaniem uzasadnionej reakcji.

„Brat mój, świętej pamięci Kazimierz“ – wyjaśnił – „odszedł od nas na skutek zatrucia trunkiem niewiadomego pochodzenia. Ponieważ krótko przed tym zdarzeniem amputowano mu obie nogi, umówiłem się z powodem, że brat pochowany zostanie w stosownej do jego aktualnego wzrostu trumnie model młodzieżowy „Skrzat“. Ku mojemu zdziwieniu i wbrew uprzednim ustaleniom, pochówek odbył się z wykorzystaniem trumny dla dorosłych „Jubilat“ co nie było konieczne, a

naraziło mnie na nieprzewidziany wydatek 400 złotych, których chwilowo nie mam.“

Swe wyjaśnienia oskarżony zakończył wyrażeniem przeświadczenia, że powodem kierowała złośliwość połączona z niepohamowaną rządzą zysku i poprosił sąd o wyrozumiałość w związku z trudną sytuacją w jakiej on, Krzysztof K. się aktualnie, na skutek samowoli Józefa W. znalazł.

Reprezentujący powoda mecenas Szlęzak, poproszony przez nas o komentarz stwierdził, że powództwo będzie się domagało zarówno przeprosin jak i odszkodowania. Orzeczenia sądu, w toczącej się z powództwa cywilnego sprawie, należy spodziewać się jutro w godzinach przedpołudniowych, ponieważ w godzinach popołudniowych sędzina Wiesława Pałęcka ma już zamówiony termin u wróżki.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [z prasy lokalnej](#)

·Tagi: [Amputacja](#), [oszczędność](#), [prowincja](#),

[zniesławienie](#)

90. [Granice Voyeuryzmu.](#) [Liberalna Francja.](#)

Sierpień 26, 2009

Na początku mamy do czynienia z egipskim parweniusem szastającym, ku niewątpliwej uciezce Paryżan, groszem na prawo i lewo. Ulubionym jego zajęciem bywa zlecenie modnym, bądź też kontrowersyjnym artystom namalowania to tego, to owego. Khalil Bey, playboy i mitoman, miłośnik sztuk pięknych, kolekcjoner i mecenas przeliczy się jednak ze swymi możliwościami finansowymi i jego olśniewająca kolekcja pójdzie w 1868 roku pod młotek.

Twórcą powstałego w 1866 roku na zamówienie ekscentrycznego milionera dzieła jest słynny wówczas (a również dzisiaj

uznawany za jednego z największych mistrzów kierunku) malarz. Stworzony przezeń, a będący częścią wspomnianej kolekcji obraz, nabyty zostaje przez antykwariusza Antoine de la Nerde. Skromny ten człowiek, zamiast z dumą wyeksponować dzieło w oknie wystawowym, decyduje się na schowanie obrazu w komórce. Zleca nawet zbudowanie specjalnej drewnianej kasety, której front ozdobi niewinny zimowy pejzaż noszący równie niewinny tytuł „Le Chateau de Blonay”. Gdy w 1879 roku Edmond de Goncourt odnajduje dzieło na zapleczu antykwariatu, musi długo prosić o klucz pozwalający na otwarcie kasety i ujawnienie jej zawartości. Twórca obrazu już nie żyje, zmarł na wygnaniu dwa lata wcześniej, do końca łudząc się nadzieją na umorzenie horrendalnego jak na owe czasy długu. Dług wynikał z kar jakie nałożyła nań umiłowana ojczyzna w ramach odwetu za udział w zniszczeniu narodowego pomnika. Piękna i swego czasu

słynna rudowłosa, która – jak się przypuszcza – pozowała do obrazu, od lat przebywa zapomniana w rodzinnym zaciszu swego marsylskiego schronienia.

Nie wiadomo co się działo przez kolejne 21 lat, wiadomo natomiast, że pewnego wieczoru w maju 1910 roku, na zapleczu znanej paryskiej galerii Bernheim-Jeune pojawia się baron Ferenc von Hatvany. Dzieło pokazane zostaje po upewnieniu się, że drzwi są zaryglowane a żaluzje spuszczone. Baron ma już w swej budapeszteńskiej kolekcji rozliczne prace Tintoretta, Renoira, Cézanna i Ingres. Czegoś *t a k i e g o* jednak nie posiada i twierdzi, że koniecznie, koniecznie, posiadać musi. Baron będzie się cieszyć swym nabytkiem w samotności przez kolejne 30 lat.

W latach czterdziestych okazuje się nagle, że baron von Hatvany posiada niewłaściwe pochodzenie i w związku z tym postawiony zostaje przed niemiłym wyborem wzięcia

udziału w wycieczce do Auschwitz lub ukrywania się w obszernej szafie przyjaciół. Wybiera drugi wariant. Obrazy, schowane w rozlicznych sejfach aryjskich współpracowników i znajomych czekają na lepsze czasy, czyli koniec niemieckiej okupacji Węgier. Lepsze czasy nadchodzą w postaci czerwonoarmistów, którzy w przeciwieństwie do Niemców nie interesują się pochodzeniem etnicznym właścicieli sejfów rekwirując co wpadnie w ręce. Kolekcja, w tym wzmiankowany obraz, ląduje wraz z resztą szabru na budapeszteńskim czarnym rynku. W 1946 roku von Hatvany zdoła odkupić swój obraz od pokątnego handlarza za śmieszłą sumę 10.000 forintów. Gdy w 1947 roku emigruje do Francji, rodzina pomaga mu przeschmuglować część kolekcji. Również wzmiankowany obraz. Ot szczęściarz.

W 1949 dzieło widział podobno sam Fritz Nathan, nie wiemy jednak czy zdołał go nabyć.

Raczej wylewny król kolekcjonerów milczał na ten temat aż do śmierci. Przez sześć lat losy malowidła pozostają nieznane. W 1955 roku obraz nabywa zafascynowany nim Jacques Lacan, ot psychoanalityk też może mieć czasem szczęście. Sprzedawca woli pozostać anonimowy. Lacana można oskarżyć o wszystko, o pruderyjność lub wierność konwencjom – raczej nie. Lacan i jego żona Sylvia (do niedawna Bataille, obecnie Lacan) nie odważają się jednak zawiesić obrazu w swym paryskim salonie, lecz wywożą dzieło na prowincję, do swego wiejskiego domu w Guitrancourt. Tutaj Lacan zleca André Massonowi wykonanie przesuwalnych, podwójnych ram i namalowanie innego obrazu (o tym samym tytule lecz innej treści), który przykrywałby dzieło przed wścibskimi spojrzeniami niewtajemniczonych. Obraz pozostaje w posiadaniu Lacana aż do jego śmierci w 1981 roku stając się, jak wyraził się

jeden z krytyków, „najsłynniejszym dziełem sztuki, o którym wszyscy słyszeli, a którego nikt nie widział.”.Córka Lacana, Sybille, twierdzi w swych wspomnieniach, że pierwszy raz ujrzała obraz dopiero po śmierci ojca. Po raz pierwszy dzieło zaprezentowane zostaje szerokiej publiczności w Nowym Yorku w 1988 roku, wywołując medialny skandal i niekończące się dyskusje na temat granic sztuki.

Gdy niewielka reprodukcja pojawia się na obwolucie wydanej w 1994 roku, współczesnej powieści, interweniuje francuska policja zmuszając księgarzy do usunięcia książki z okien wystawowych. Ale tylko tych, którzy przedtem, pod naciskiem opinii publicznej nie usunęli jej dobrowolnie sami. W 1995 roku spadkobiercy Lacana, decydują się przekazać malowidło państwu francuskiemu. Nie całkiem bezinteresownie, państwo rewanżuje się bowiem ze swej strony umorzeniem

gigantycznego podatku spadkowego. Obraz wędruje do muzeum, prawie wszyscy są zadowoleni. Prawie, bo od czasu pojawiają się, szczególnie w prasie katolickiej, głosy domagające się usunięcia „niedopuszczalnego plugastwa” z przestrzeni publicznej.

W paryskim Musée d’Orsay tylko jeden obraz wymaga – ze względu na spodziewane akty wandalizmu – permanentnego nadzoru. Co może dziwić, bo sądząc po ilości sprzedawanych co dzień pocztówek z reprodukcjami, jest to dzieło cieszące się bezsprzecznie największą popularnością.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi:

[Jo Hiffernan](#), [Khalil Bey](#), [lacan](#), [Voyeryzm](#)

91. [Patriotyzm fryzjerski](#)

Sierpień 29, 2009

W miasteczku S. jest dwóch fryzjerów. Pierwszy z nich jest człowiekiem pod każdym względem zaangażowanym, również w sprawy społeczności lokalnej, a przede wszystkim prawdziwym patriotą. Drugi umie strzyc.

Kropotkin, postawiony przed trudnym wyborem, z bólem serca decyduje się na wizytę u słusznego fryzjera. Wyniki przerastają jego najśmielsze oczekiwania. Dotychczasowe, nikłe raczej powodzenie u dam, ustępuje miejsca niemiłej samotności. Znajomi, widząc nową fryzurę, współczująco kiwają głowami, aby - gdy odwróci się do nich plecami - wybuchać niepoohamowanym, nerwowym chichotem.

W miasteczku S. jest również dwóch dentystów. Pierwszy z nich to człowiek o nieposzlakowanej opinii, uczciwy i w ogóle pod każdym względem przyzwoity. Drugi zaś

zna się na swym fachu i wierci bezboleśnie.

Kropotkin, obudzony rano z dotkliwym bólem zęba, stara się nie myśleć o najbliższej przyszłości i próbuje znaleźć ukojenie w biografii Samuela Johnsona pióra niezapomnianego Jamesa Boswella. Johnson miał jakoby stwierdzić, że patriotyzm jest ostatnim schronieniem szubrawców. Jakoby. Zagadnienie, czym schronieniem może ewentualnie być przyzwoitość, pozostaje, ku zakłopotaniu Kropotkina, otwarte.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Kropotkin](#), [Patriotyzm](#), [fryzjerstwo](#), [stomatologia](#), [Johnson](#), [Boswell](#)

92. [Rok 1939. Nierówna walka.](#)

Wrzesień 1, 2009

Siły były nierówne, a wynik wydawał się być

nie trudny do przesądzenia. Ponieważ chodzi o istotną rocznicę – przypomnijmy.

Chodzi o średniej wielkości kraj europejski. Sąsiedzi byli w przeszłości silniejsi i terytorialnie roszczeniowo-zachłanni. Uzyskana pod koniec pierwszej wojny światowej niepodległość uznawana była z tego względu za dobro najwyższe, prawo młodej demokracji do niezależnego istnienia nie było jednak dla ogółu międzynarodowej społeczności wcale aż takie oczywiste.

Godzina prawdy wybiła jesienią 1939 roku, gdy uznawany powszechnie za mocarstwo i rozzuchwalony podpisanym niedługo przedtem traktatem sąsiad twardo zażądał ustępstw terytorialnych, a wszelkie próby odwołania konfliktu drogą rokowań spaliły na panewce. Agresja rozpoczęła się nagle, bez formalnego wypowiedzenia wojny. Siły wroga wtargnęły z trzech stron w niebywale rozciągnięte granice kraju, już od pierwszego dnia rozpoczęło się

bombardowanie większych miast. W niekończących się nalotach szczególnie ucierpiała ludność cywilna stolicy. Mimo rozpaczliwych apeli, przyrzeczona międzynarodowa pomoc nie nadchodziła, potencjalni sojusznicy woleli przeczekać, powoływali się na swą neutralność albo najczęściej – ograniczali się do moralnego wsparcia wyrażanego w rozlicznych depeszach. W zasadzie, zgodnie z przypuszczeniami (bądź obawami) wielu, konflikt powinien był się zakończyć już po tygodniu. Wąsaty dyktator, który go rozpętał był tak pewien siebie, że mianował już swego namiestnika. Trudno mu się dziwić jeśli przyjrzymy się stosunkowi sił. Agresor rzucił do walki czterokrotnie więcej żołnierzy, jego przewaga w sprzęcie była niewyobrażalna. Napastnicy dysponowali 6541 czołgami (wobec 30 czołgów broniących granic zaatakowanego państwa) i użyli 3800 samolotów (którym udało się przeciwstawić 130

własnych maszyn). W pierwszych dniach wojny straty po obu stronach były ogromne. Nieprzyjaciel posuwał się na wszystkich frontach naprzód i wydawało się, że nic nie zdoła go powstrzymać. Rozpaczliwe próby kontrofensywy, zakończyły się wobec miażdżącej przewagi wroga niepowodzeniem. Zaczęła pojawiać się panika.

Nie, Głównodowodzący Sił Zbrojnych, sędziwy Wódz Naczelny Carl Gustaf Emil von Mannerheim nie uciekł wraz z rządem do neutralnej Szwecji nakazując w swym ostatnim rozkazie bombardowanym przez sowieckie lotnictwo Helsinkom obronę aż do wyczerpania się zapasów amunicji.

Redukowanie różnic pomiędzy kampanią wrześniową i wojną rosyjsko-fińską 1939/1940 do tego jedyne go faktu można by z pewnością uznać za graniczące z demagogią. A jednak warto się dokładniej przyjrzeć historii obu krajów w dwudziestolecie międzywojennym.

Warto porównać pojednawczy kurs zgody narodowej Mannerheima, który – mimo namów – oparł się pokusie zamykania przeciwników politycznych w “miejscach odosobnienia” z zaakceptowanymi przez Piłsudskiego sanacyjnymi pomysłami. Finlandia nie miała swej Berezki Kartuskiej.. warto w ogóle porównać siermiężne mundury fińskich generałów z obwieszonymi jak choinki przedstawicielami polskiej generalicji. Kiedy my, marząc o polskich koloniach, zbieraliśmy datki na Ligę Morską i Kolonialną, Finowie budowali bunkry i własny przemysł zbrojeniowy. Aby w razie czego nie zabrakło im nigdy amunicji. Warto przypatrzeć się konsekwentnej polityce Finów wobec narastającego sowieckiego zagrożenia. Finlandia nie próbowała wykroić dla siebie kawałka Estonii, gdy 28 września 1939 Sowieci postawili tejże ultimatum “nie do odrzucenia”. I to pomimo uzasadnionych roszczeń do kilku

wysepek w zatoce **fińskiej**.

Wiem, wiem. My najbiedniejsi. Pecha mamy. Ale z drugiej strony – nie marudźmy – trzeba też dostrzegać pozytywne aspekty. O ile ciekawsza ta nasza historia niż u tych sfinlandyzowanych pasterzy reniferów. Gdy się skończy wojna będziemy mieli (procentowo) najwięcej ofiar, największe straty terytorialne, najwięcej przyjaciół którzy nas zdradzili. Nikt nie będzie, mimo że wygrany, tak przegrany jak my. Acha, byłbym zapomniał. Honor. Tyle honoru co my – nikt nie miał, nie ma i mieć nie będzie.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Celowo brak](#)

93. Niespodziewany obrót wypadków

Wrzesień 4, 2009

...wykonując wszystkie te cudaczne gesty aby okazać mi swą wdzięczność i radość. Począłem zatem do niego przemawiać, a jako że nie znał ludzkiej mowy, nauczyłem go przede wszystkim słów „tak“ i „nie“ jak również przybliżyłem mu znaczenie słowa „master“. Potem oznajmiłem mu, że mam zamiar nadać mu na imię Piętaszek. Tego bowiem dnia uratowałem mu życie i ku pamięci tego faktu postanowiłem go właśnie tak, a nie inaczej, nazwać. Usłyszawszy to, wpadł on jednak w wielką rozpacz, drżał na całym ciele, rzucał się na ziemię, rwał sobie włosy z głowy i uspokoił się nieco dopiero wówczas, gdy obiecałem mu, że jeśli chce, zwał będę go Umberto Eco. Było to dziwne imię i nie wiem skąd mi się ono wzięło. Noc spędziłem przy nim, a gdy nastał ranek,

wytłumaczyłem mu na migi, że ma podążać za mną, bo zamierzam go przyodziać. Jako że był całkiem nagi, pomysł spodobał mu się nadzwyczaj...

Tu rękopis się urywa. Pod spodem, innym, staranniejszym charakterem pisma, następujący dopisek:

Cynaderki: zamarynować na noc w zalewie czosnkowej, dodać więcej pieprzu. Podawać z winem palmowym w liściach bananowca.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Libertà e Giustizia](#), [Neoavanguardia](#), [Crusoeiana](#), [Verisimilitude](#)

94. Braterstwo broni albo jak trafić do encyklopedii

Wrzesień 9, 2009

Zbudowany w latach dwudziestych na potrzeby

władz województwa budynek stoi – w niezmięnionej postaci – do dziś. Również dziś mieści się w nim siedziba miejscowej administracji. Ulica nie nosi już nazwy Unii Lubelskiej. Od dawna. Przed głównym wejściem: pośpiesznie sklecony, niski podest ze starannie oheblowanych desek. Na podeście: trzech mężczyzn w wyglansowanych oficerkach. Nastrój jest pogodny, ba serdeczny. Wiemy kto stoi na podeście. Dwie z trzech przedstawionych na zdjęciu postaci zostały uznane za godne obszernego przedstawienia w encyklopediach.

To jest naprawdę dziwne zdjęcie. Pochodzi z Niemieckiego Archiwum Federalnego. Sygnatura 1011-121-0011A-22. Autor: nieznany. Data: 22. 09.1939. Przedstawia dowódców dwóch zaprzyjaźnionych armii odbierających defiladę zwycięskich wojsk. Wspólny sukces domagał się odpowiedniego uczczenia. – coś takiego łączy. Po upływie

siedemdziesięciu lat, zdjęcie zdaje się mieć znaczenie jedynie dla tych, których przedstawiciele, ze zrozumiałych powodów nie stali wówczas na podium. I to zasadnicze. Dla spadkobierców podówczas defilujących, wydaje się mieć ono dzisiaj znaczenie raczej marginalne.

Stojący w centrum dowódca XIX korpusu pancernego zgrupowania armii północ, generalleutnant Heinz Guderian uśmiecha się serdecznie i wylewnie do stojącego po jego lewicy kombryga Siemiona Moisiejewicza Kriwoszeina. Kombryga, bo stopnie generalskie zostaną wprowadzone ponownie dopiero po katastrofie wojny sowiecko-fińskiej. Kombryg wygląda na równie zadowolonego. Ma powód. Dzięki osobistemu wstawiennictwu Budionnego udało mu się przeżyć ostatnie cztery lata. A to wcale nie było oczywiste. O Guderianie można by godzinami. Ale po co. „Szybki Heinz” był ojcem „blitzkriegu” z

użyciem wojsk pancernych. Wnuk pruskiego junkra, syn zawodowego oficera. Na frontach pierwszej wojny światowej dosłużył się stopnia szefa kompanii. Wizjoner i fanatyczny czołgista. Parokrotnie pokłóci się z Hitlerem, którego uważa za katastrofalnego dowódcę. W ogóle uparciuch i watażka. Na zdjęciu ma 50 lat. Nazista z przekonania, odegra nader niechlubną rolę po puczu oficerów w 1944 roku. Pod koniec życia, ciesząc się zasłużoną emeryturą i sutymi honorariami doradcy ministerstwa obrony RFN, poświęci się pisaniu pamiętników, w których będzie słał chwałę niemieckiego oręża i bohaterstwo niemieckiego żołnierza.

O Kriwoszeinie też można by długo. Syn żydowskiego kupca, uczestnik wojny domowej, oficerem zostaje w słynnej konarmii Budionnego. Bierze udział w wojnie domowej w Hiszpanii a potem w walkach z Japończykami w Mandżurii. Forsował w Armii

Czerwonej rozwój wojsk pancernych, później został jednym ze współautorów zwycięstwa pod Łukiem Kurskim. Po śmierci Stalina jako generał-lejtnant uda się na zasłużony odpoczynek i poświęci bez reszty pisaniu wspomnień. Wspomnień, w których będzie słał chwałę radzieckiego oręża i bohaterstwo radzieckiego żołnierza.

O przebiegu brzeskich uroczystości wiemy niewiele, trochę jednak wiemy. Na wstępie junkier i nazista serdecznie się wyściskał z komunistą, nie ukrywajmy tutaj pochodzenia etnicznego, bo po co. Następnie obaj panowie wygłosili krótkie przemówienia. Wpierw przemawiał Guderian i podkreślił rolę i znaczenie braterstwa broni. Potem przemawiał Kriwoszein i podkreślił rolę towarzysza Stalina w budowaniu odwiecznej przyjaźni pomiędzy narodami, jak również rolę i znaczenie braterstwa broni. Na zakończenie swego przemówienia kombryg, w imieniu towarzysza

Stalina złożył życzenia szybkiego zwycięstwa nad kapitalistyczną Anglią i serdecznie zaprosił Guderiana oraz zaprzyjaźnione niemieckie przywództwo do Moskwy, nie zdając sobie chyba jednak sprawy, że Guderian i koledzy już wkrótce z zaproszenia skorzystają. Potem zagrała orkiestra a potem odbyła się defilada.

Godnym wzmianki jest fakt, że obaj panowie zostali za swój udział w kampanii wrześniowej odznaczeni. Guderian otrzyma *Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego*. Do licznej już kolekcji. Kriwoszejn też nie odejdzie z pustymi rękoma. Po powrocie do Moskwy zostanie mu nadany zaszczytny tytuł *Bohatera Związku Radzieckiego*. W encyklopedii zainteresowani mogą znaleźć na ten temat następującą wzmiankę:

„Został bohaterem sowieckim, po tym jak jego oddziały w Brześciu nad Bugiem wzięły do niewoli 1030 polskich oficerów, 1220 podoficerów i 34 tys. szeregowych żołnierzy.

Na dworzec kolejowy w Brześciu w bałaganie odwrotu ku bezpiecznym granicom przybyło kilkadziesiąt polskich transportów wojskowych z żołnierzami i sprzętem. Wysiadali z wagonów wprost w sowieckie ręce jeszcze 25 września 1939.“

Wiemy co się stało z polskimi oficerami. Ich wspomnienia nie zachowały się. Trafili również do encyklopedii, ale zbiorowo, można ich znaleźć pod literą „K”. O stolarzu który zbijał podest, encyklopedia milczy.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [uwielbiam historię](#)

·Tagi: [encyklopedia](#), [Guderian](#), [honor](#), [Kriwoszejn](#), [Pamięć](#), [podest](#), [sprawiedliwość](#), [ulica Unii Lubelskiej](#)

95. Na marginesie. Glosa.

Wrzesień 14, 2009

Mało w naszym kraju popularny (a szkoda) Karl W. Deutsch był autorem interesującej definicji narodu:

„Naród jest wspólnotą, którą jednoczą błędne wyobrażenia dotyczące jej początków, jak również nienawiść w stosunku do sąsiadów.”

Nie będziemy w tym miejscu z tą definicją dyskutować. Z niejasnych powodów to interesujące nad wyraz zdanie (po raz pierwszy opublikowane w 1969 roku w „Nationalism and its alternatives”) przypisywane jest – wciąż od nowa i z zadziwiającą konsekwencją – Ernestowi Renanowi. Gdy jednak zajrzemy do (niesłusznie zapomnianego) tekstu sławetnego wykładu Renana pt. “Qu’est-ce qu’une nation?” ([Czym jest naród](#)), nie odnajdziemy nawet śladu aforystycznego radykalizmu Deutscha. Odnajdziemy natomiast kilka myśli o

zadziwiającej komplementarności do zacytowanej powyżej definicji, myśli które nadają jej dotkliwy wymiar niewygodnej i jednocześnie (być może) niemożliwej do zaakceptowania prawdy.

Jakże niedawno się te narody pojawiły. To Johann Fichte jako pierwszy zdefiniował naród jako byt obiektywny, wspólnotę, którą łączą wspólne cechy takie jak przynależność etniczna bądź język. Z religią był – co nie powinno raczej dziwić – ostrożniejszy. Przed Fichtem narodów, przynajmniej w dzisiejszym sensie tego pojęcia, zupełnie nie było. Renan przeciwstawił poglądom Fichtego model odrębny. Zgadza się wprawdzie, że jest to wspólnota, którą wiele rzeczy musi łączyć; naród jest jednak w jego mniemaniu w pierwszym rzędzie rezultatem zbiorowego „aktu woli”. Naród powstaje na skutek kolektywnego aktu zapomnienia dotyczącego faktów haniebnych, niesławnych,

niemożliwych do pogodzenia z tworzonym mitem. Obowiązkiem każdego Francuza jest np. skuteczne zapomnienie Nocy Sw. Bartłomieja i rzezi Albigenów. Zapomnienie i “błąd” historyczny są w jego mniemaniu istotnym czynnikiem tworzenia narodu, rzetelna praca historyka oznacza dla narodu nierzadko niebezpieczeństwo.

Przypominając zatem to co zapomniane i niewygodne, jak również sprowadzając historię z poziomu słusznych hipotez, wygodnych założeń i korzystnych przypuszczeń do płaszczyzny bezsprzecznie udokumentowanych faktów (lub choćby rachunku prawdopodobieństwa), musimy liczyć się z tym, że nikt nam za to raczej nie podziękuje. Kogo interesuje czy tyłek Mony Lizy pokryty był pryszczami?

Pytanie pierwsze brzmi: co **my** musieliśmy skutecznie zapomnieć, zepchnąć do zbiorowej podświadomości, aby móc się stać narodem?

Patriotyczna odpowiedź na powyższe pytanie brzmi zazwyczaj: w przeciwieństwie do innych – nic a nic.

Pytanie drugie jest trudniejsze: czy ta odpowiedź powinna nam wystarczyć?

Uwaga:

Link w tekście prowadzi jedynie do polskiego tłumaczenia pierwszej części eseju. Angielskie tłumaczenie całości: [tutaj](#).

Dla miłośników tekstów oryginalnych [wersja francuska](#)

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Deutsch](#), [Fichte](#), [Naród - definicja](#), [Podświadomość zbiorowa](#), [patriotyzm](#), [Renan](#)

96. Przecucie tragedii?

Wrzesień 16, 2009

Czworonożna wrona

Dawno, dawno temu, żyła sobie czworonożna wrona. W zasadzie miała pięć nóg. Ale o tym, to nawet opowiadać nie ma sensu.

Pewnego razu czworonożna wrona kupiła kawę. Kupiła i myśli: ” No, no. Kupiłam sobie kawę i co ja teraz z nią pocznę?”

A tu nagle, jak na nieszczęście, przechodzi lis. Zauważył wronę i wrzeszczy:

-Ej – wrzeszczy – ty, wrona!

A wrona odwrzaskuje:

- Sam wrona!

A lis na to, również wrzaskiem:

- A ty, wrona – po prostu – świnia!

Z nerwów wrona rozsypała kawę. A lis pobiegł sobie w swoją stronę.

Wrona zlazła na ziemię i powlekła się do swego

nędznego domostwa na swych czterech, a dokładniej powiedziawszy, pięciu nogach.

13.2.1938

(tłumaczenie własne)

Czy pisząc te słowa przeczuwał już, jak to się wszystko dla niego skończy? Był luty, liczne kanały przecinające granitowe miasto skute były lodem. Ludzie znikali. Z najbliższych przyjaciół nie pozostało wielu. Konstanty zdążył młodo umrzeć na gruźlicę. Zawsze był szczęściarzem. Aleksander został zaareztowany jako pierwszy, podobno pozwolono mu zabrać ogryzek ołówka i zeszyt. Pierwszy Mikołaj zniknął na zawsze przed trzema miesiącami. Drugi Mikołaj zniknie za pięć tygodni.

Zajęci pielęgnacją własnej pamięci i własnego bólu, zapominamy często o proporcjach.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [translated](#) · Tagi: [lis](#), [Pamięć](#), [proporcje](#), [tłumaczenie](#), [wrona](#)

97. [Przypadek nr.1](#)

Wrzesień 17, 2009

Błękitny zeszyt nr. 10

Był sobie raz rudzielec, nie miał ani oczu ani uszu. Włosów też nie miał, tak że rudzielcem zwano go raczej bezpodstawnie.

Ponieważ nie miał ust, nie mógł mówić. Nosa również nie miał.

Nie miał nawet rąk ani nóg. Nie miał brzucha, grzbietu ani pleców. Wnętrznosci także nie miał. Niczego nie miał! Tak, że nie wiadomo, o kogo tu w zasadzie chodzi.

Może zatem lepiej, gdy nie będziemy już więcej o nim mówić.

Z: „Przypadki” (1937)

(tłum. własne)

Gdy pisał te słowa, mieszkał wraz z żoną, Mariną Władymirowną Malicz, siostrą, chorym ojcem i chmarą „dokwaterowanych” lokatorów w mieszkaniu komunalnym przy ulicy Nadeżdinskiej, później przemianowanej na Majakowskiego. O jego pokoju krążyły plotki, że ściany wytapetowane są kartkami z wierszami i aforyzmami. Centralne miejsce zajmować miał napis „Nie jesteśmy pierogami”

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [translated](#)

98. [Przypadek nr. 2](#)

Wrzesień 18, 2009

Przypadki

Pewnego dnia Orłow najadł się tłuczonego

grochu i umarł. A Kryłow, gdy się o tym dowiedział, też umarł. A Spirydonow umarł ot tak, sam z siebie. A żona Spirydonowa spadła z kredensu i też zmarła. A dzieci Spirydonowa utopiły się w stawie. A babcia Spirydonowa spiła się i polazła nie wiadomo gdzie. A Michajłow przestał się czesać i dostał parchów. A Krugłow narysował damę z pejczem i postradał zmysły. A Perechrestow otrzymał przekaz na czterysta rubli i zrobił się taki ważny, że go wywalili z roboty.

Dobrzy ludzie, a nie potrafią jakoś wziąć się do kupy.

22.08.1933

(tłum. własne)

Władimir Liwshyc wspominał po latach:

„Pokój w którym żył urządzony był skromnie, nieomal ascetycznie. Być może dlatego uwagę odwiedzających przyciągał natychmiast

przedziwny przedmiot znajdujący się w jednym z jego narożników, zdumiewający konglomerat kawałków metalu niewiadomego pochodzenia, deseczek, pustych paczek po papierosach, sprężyn, opon rowerowych, sznurków i puszek po konserwach.

- Co to takiego – pytał osłupiały gość.

- Maszyna.

- Co za maszyna?

- No, maszyna. Ogólnie.

- I skąd pochodzi ta maszyna?

- Sam zbudowałem – brzmiała dumna odpowiedź.

- I co ona robi, ta maszyna?

- Nic specjalnego.

- Jak to – nic?

- No – nic.

- To w takim razie, do czego ona służy?

- A bo ja wiem? Po prostu chciałem mieć w domu jakąś maszynę...

Czy z takim nastawieniem do życia można było przeżyć w tamtej rzeczywistości? A jeśli tak, to jak długo?

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [translated](#) · Tagi: [Przyrost substancji](#), [spółdzielnia](#)

99. [Przypadek nr. 3](#)

Wrzesień 21, 2009

Wypadające staruchy

Wiedziona nadmierną ciekawością starucha wychyliła się z okna, wypadła i roztrzaskała się.

Z okna wychyliła się następna starucha i poczęła przyglądać się leżącej. Ale i jej

ciekawość nie wyszła na dobre, bo wypadła w ślad za pierwszą. I roztrzaskała się.

Potem z okna wypadła trzecia starucha. A potem czwarta, a następnie piąta.

Gdy z okna wypadła szósta starucha, znużyło mnie przypatrywanie się wypadającym staruchom i poszedłem na Malczewski Rynek, gdzie, jak ludzie powiadają, jakiemuś ślepcowi podarowali szalik zrobiony na szydełku.

(bez daty, tłum. własne)

Jakże mało pozostało. Większość anegdot z jego krótkiego życia pozostanie na zawsze nieopowiedziana. Ci którzy mogli by je opowiedzieć, spoczęli w masowych grobach na długo przed osiągnięciem wieku, w którym zwykło się spisywać wspomnienia. Pozostały skrawki, strzępy. Te układają się w zadziwiający obraz człowieka, którego cała egzystencja była surrealistycznym wyzwaniem

rzuconym systemowi, dziełem sztuki wymierzonym (w sposób zamierzony, niezamierzony?) przeciw dławiącej dyktaturze średniaków, posiadaczy absolutnej prawdy nie znoszącej najmniejszego sprzeciwu.

Boris Semionow wspominał zdarzenie, które wydarzyło się pewnego dnia w redakcji wydawnictwa literatury dziecięcej.

Wydawnictwo mieściło się na szóstym piętrze budynku nazwanego potem „Domem Książki”. W trakcie jednego z bezsensownych, niekończących się zebrań, **Ch.** wstał nagle i z pozbawioną wyrazu twarzą podszedł do okna. Bez słowa otworzył okno, wdrapał się na parapet i wyszedł na obiegający fasadę gzyms. Po wąskim gzymsie obszedł budynek dookoła, wszedł ponownie przez inne okno i bez słowa ponownie zasiadł przy stole obrad.

To się nie mogło dobrze skończyć.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#), [translated](#)

100. [Intermezzo nr. 1](#)

Wrzesień 22, 2009

Na przykład taki B. Traven. Albo Pynchon. Wiele razy znikali. Z każdym zniknięciem ich obecność była bardziej natarczywa.

Kropotkin, wiedziony nagłym kaprysem, postanowił na chwilę zniknąć. I znikł.

Niby nic specjalnego. A jednak.

Myśl, że przed zniknięciem powinien jednak obmyślić sobie sposób powrotu, próbowała pojawić się w głowie Kropotkina, ale nie mogła. Z powodów zasadniczych. I – mimo zamiaru uporczywości – nie pojawiała się.

Gdyby Kropotkin nie znikł, byłby zapewne zakłopotany.

Kolejność rzeczy bywa czasem ważniejsza niż się to z pozoru wydaje.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Kropotkin](#), [B. Traven](#), [Pynchon](#), [znikanie](#)

101. [Panteon Rodaków \(PR\)](#). [Leon Czołgosz](#)

Październik 15, 2009

Co pewien czas, to tu, to tam, można napotkać nader rozpowszechnioną opinię, że z jakichś niepojętych powodów, my Polacy, jako nacja, mamy zawsze pod górkę. Ot, taki tragiczny naród. Przez los prześladowany. Nie lubią nas. Bierze się to najprawdopodobniej z powszechnej nieznamomości osiągnięć niektórych z naszych rodaków. Wstyd przyznać: podczas gdy my rozpamiętujemy swe porażki, świętujemy klęski – inni potrafią się chwalić swymi osiągnięciami lepiej i głośniej. Najwyższy czas skończyć z tą fałszywą skromnością. Dzisiaj: Leon Franciszek Czołgosz.

Podczas gdy zupełnie obce, różnojęzyczne encyklopedie i leksykony zgodnie zwać go Polakiem, polskie źródła, z typową dla naszego narodu skromnością, nazywają go „sympatykiem anarchizmu”. Niepotrzebnie. To naszemu rodakowi zawdzięcza swe powstanie oddział US Secret Service chroniący bezpieczeństwo amerykańskich prezydentów. Bez Czołgosza pięćset dolarówka wyglądałaby zupełnie inaczej. Gdyby nie on, najwyższy szczyt na kontynencie północnoamerykańskim nosiłby dziś pewnie inną nazwę. Mało kto, naprawdę mało kto może się pochwalić tak interesującym rejestrem czynów niepojętych jak nasz krajan. Spieprzył wszystko co można było spieprzyć. Również szereg rzeczy, których w zasadzie spieprzyć nie było można. Czołgosz nie był zwykłym, pierwszym z brzegu nieudacznikiem. Czołgosz był nieudacznikiem wyjątkowym. Ale po kolei.

Leoś Czołgosz przyszedł na świat w 1873 roku

w jak najbardziej polskiej, wielodzietnej, ale za to katolickiej rodzinie w Alpena, w stanie Michigan. Tatusz Paweł ożenił się po śmierci mamy Marii z domu Nowak ponownie, ktoś w końcu musiał się zajmować sierotami. Wraz z dwoma braćmi wcześniej rozpoczął pracę w walcowni drutu, bracia przystąpili do strajku, zostali zwolnieni i mogli powrócić na rodzinną farmę. Tę niesprawiedliwość rodak nasz przeżył do głębi, ponieważ jednak musiał z czegoś żyć, kontynuował karierę, tym razem w hucie szkła. Będąc świadkiem codziennego wyzysku doznaje załamania nerwowego i wraca na łono rodziny. Rodzina wcale się z tego nie cieszy. Najmniej cieszy się macocha. Polityką się Leoś nie interesował, nie ma najmniejszego śladu, aby kiedykolwiek należał do jednej z licznych podówczas wywrotowych organizacji. Lub jakichkolwiek innych. Lubił natomiast czytać gazety i chodzić na rozmaite wykłady. Ten niepowstrzymany pęd do wiedzy okaże się

zgubny. I w ten sposób dobrnęliśmy do Emmy Goldman.

Emma Goldman to też nie był byle kto, Emma Goldman to był proszę państwa ktoś. Obiekt uwielbienia wyrobników i filozofów. Legenda uciskanych. Gwiazda światowego anarchizmu. Kobieta pod każdym, naprawdę każdym względem niezwykła. Nawet dziś jej marmurowy nagrobek zdobi słuszny cytat i fałszywa data zgonu. Gdzież jej nie było. Wszędzie była. U progu XX stulecia była w Stanach Zjednoczonych i wygłaszała wykłady o ucisku człowieka przez człowieka oraz co można na to począć. Jednym ze słuchaczy był niejaki Czołgosz Leon. Wykłady spodobały mu się do tego stopnia, że postanowił poznać prelegentkę osobiście. Został jednak odpędzony przez najbliższe otoczenie gwiazdy. Otoczenie było przeświadczone, że ma do czynienia z policyjnym szpiegiem i prowokatorem. Czołgosz się nie zniechęcał. Doszło do tego, że

anarchistyczne gazetki ostrzegały towarzyszy przed dziwakiem ponawiającym podejrzaną próbę zbliżeń.

Przełom wieków. To zadziwiające, ale czasy były wówczas takie, że marzeniem przyzwoitego anarchisty było spektakularne wyprawienie jakiejś głowy państwa na tamten świat. Najlepiej przy pomocy bomby. Z braku bomby – przy pomocy broni palnej. Głowy koronowane miały pierwszeństwo, w przypadku braku głowy koronowanej mógł to ewentualnie być oprawca zastępczy tzn. dyktator lub prezydent z dyktatorskimi zapędami. Gdy Leon Czołgosz przeczytał w gazecie, że **Caetano Bresci** zastrzelił akurat włoskiego króla **Umberto I**, postanowił pokazać, że Polak też potrafi i nabył rewolwer. Niezła kanalia była z tego Umberto, akurat odznaczył orderem generała Fiorenzo Bava-Beccarisa w nagrodę za otwarcie ognia do demonstracji składającej się głównie z kobiet i

dzieci protestujących przeciw podwyżce cen chleba. Mediolański bruk spłynął krwią, ofiar śmiertelnych było ponoć trzysta. Pomińmy jednak na chwilę dyskusyjną kwestię sensu lub bezsensu terroru indywidualnego i poprzestańmy na twierdzeniu, że wzburzenie Bresciego było zrozumiałe. Podobnie jak i fala sympatii z jaką w pewnych kręgach spotkał się jego czyn. Motywy Czołgosza, który udał się do Buffalo w stanie Nowy York w celu odstrzelenia urzędującego i demokratycznie wybranego prezydenta pozostaną niejasne.

William McKinley nie był może prezydentem wybitnym, był jednak prezydentem powszechnie lubianym. Wyprowadził kraj z poważnego kryzysu ekonomicznego, umocnił międzynarodową pozycję USA, oparł ostatecznie dolara o parytet złota. Nie było powodu aby go nie lubić i dlatego lubiano go powszechnie. Akurat został wybrany na następną kadencję. I teraz będzie

tragikomicznie. Nasz rodak zamieszkuje w Buffalo w pobliżu wystawy panamerykańskiej i czeka na prezydenta. W końcu 6 września pragnie zbliżyć się do głowy państwa ale nie wie jak to uczynić. Ustawia się zatem w kolejce zwolenników i sympatyków aby głowa państwa mogła zbliżyć się do niego z zamiarem uściśnięcia mu dłoni. Ach te amerykańskie rytuały. Sciskanie nie dochodzi do skutku bo Czołgosz dzierży w ręku zawinięty w chusteczkę do nosa rewolwer kalibru 0,32. Udaje mu się przystawić broń do piersi prezydenta i – zanim zostanie obezwładniony przez otoczenie – oddać dwa strzały.

Cresci strzelał z pewnego dystansu i trafił bez pudła. Czołgosz miał łatwiej, ale mu nie całkiem wyszło. Prezydent nie straci przytomności i zdoła jeszcze uchronić swego niedoszłego mordercę przed nieuchronnym linczem (*Go easy with him, boys!*). Po ośmiu dniach umrze w męczarniach na skutek

powikłań zakażenia odniesionych ran.

Zaareztowany, Czołgosz podaje fałszywe nazwisko (Fred Nieman), co jest o tyle zabawne, że policja znajduje w jego kieszeni kartę wyborczą, z której wynika nie tylko jak się nazywa, lecz również, że był w niedawnych wyborach zarejestrowany jako republikanin, ergo wyborca McKinleya. Postawiony przed sądem zostaje po krótkim procesie – przy aplauzie sali – skazany na karę śmierci.

Od Czołgosza odżegnują się wszyscy. Emma Goldman próbuje przedstawić go początkowo jako biednego, godnego politowania, zbłąkanego matoła, ściąga to jednak gromy na jej głowę zarówno ze strony kół oficjalnych jak i dotychczasowych sympatyków. Największe psy wieszają jednak na Czołgoszu anarchiści twierdząc, że dotąd nikomu nie udało się tak skutecznie zaszkodzić jednym głupim i nieprzemyślanym czynem anarchistycznej sprawie. Pogrzeb McKinleya odbył się w

Washingtonie i zgromadził nieprzeliczone tłumy. Naród w zgodnym wysiłku rzucił się do wznoszenia niezliczonych pomników i mauzoleów upamiętniających zmarłego. Jakże żałośnie i patetycznie muszą brzmieć w tym kontekście ostatnie słowa Czołgosza:

„I killed the President because he was the enemy of the good people — the good working people. I am not sorry for my crime“. (Zabiłem prezydenta, ponieważ był wrogiem dobrych ludzi, dobrych pracujących ludzi. Nie żałuję swego czynu).

Leon Czołgosz umiera na krześle elektrycznym 29. października 1901 roku w więzieniu w Auburn. Ku utrapieniu rodziny pozbawiony zostaje chrześcijańskiego pochówku.

Przewidując nieuniknione zbezczeszczenie zwłok, władze decydują się na zalanie trumny stężonym kwasem siarkowym. Nasz rodak rozpuszcza się całkowicie w ciągu 24 godzin.

Tak kończy się historia Leona Czołgosza, który

pragnąc zdobyć uznanie tych, którzy go nie lubili postanowił – w interesie tych, którzy jego poparcia nie pragnęli, kierując się ideami, których nie rozumiał i wychodząc z błędnych założeń – zamordować wybranego przez siebie prezydenta, ściągając na siebie niechęć i nienawiść wszystkich. Gdyby nie pomoc zarasków gangreny – nawet to by mu się nie udało.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Czołgosz](#), [Emma Goldman](#), [patriotyzm](#), [wybiórczy](#), [zdziwienie](#), [McKinley](#), [Cresci](#), [anarchizm](#)

102. [Wróżba. Swoboda interpretacji.](#)

Październik 19, 2009

Wczoraj jej jeszcze nie było. Dzisiaj była. Obok szyldu informującego o repasacji pończoch

(tanio, szybko, sprawnie). Pod notariuszem. Nad urologiem. Mała mosiężna tabliczka. To nie było złudzenie.

Madame Woroncowa.

Medium. Wróżka

II piętro. Pukać 3 razy.

Kropotkin, dumny ze swego sceptycyzmu, postanowił zignorować. W sieni pachniało pastą do butów i kapuśniakiem. W jaki sposób znalazł się na podeście drugiego piętra – było dlań niepojęte. Zapukał. Madame Woroncowa ubrana była w suknię nieokreślonego koloru. Na szyi miała sznur pereł przypominających prawdziwe, a na kolanach zupełnie prawdziwego kota. Wzrok badawczy, przenikliwy.

-Jest pan zainteresowany swą przyszłością – zawyrokowała.

Kropotkin, zdumiony trafnością spostrzeżenia, przytaknął.

- Życzy pan sobie przepowiedni zadowalającej, czy też zgodnej z prawdą?

- Nie rozumiem – wybąkał Kropotkin. I zamilkł. Pytanie, w przeciwieństwie do odpowiedzi, nie było trudne.

- No, chyba zgodnie z prawdą – odparł po krótkim ale intensywnym namyśle – chciałbym wiedzieć co mnie spotka.

- W takim razie muszę prosić o uregulowanie należności z góry.

Kropotkin uregulował, a Madame Woroncowa rozłożyła karty.

- Niepotrzebnie się pan martwi –powiedziała – żona nie zdradza pana z tym podejrzanym indywiduum Schwarzbardem. Pozostając w zupełnie zadowalającym obie strony związku z tenorem Taszewskim, nie ma najmniejszych ku temu powodów. Również trudnościami finansowymi nie powinien pan się zbyt przejmować. Ani też nieuczciwym

wspólnikiem. Naturalnie, że jest nieuczciwy. Szkopuł jednak w tym – tu madame zawiesiła głos – że nie ma to najmniejszego znaczenia. Najmniejszego. Z kart wynika, że wkrótce przydarzy się panu poważny wypadek. Gdyby jednak udało się Panu go jakimś cudem uniknąć, umrze Pan w przeciągu najbliższych dwóch miesięcy na apopleksję. Tak że ruina pańska, aczkolwiek nieunikniona, nie powinna Pana martwić. I proszę się nie kłopotać, że pozostawi pan rodzinę z długami i bez środków do życia. Nie ma najmniejszego powodu do zmartwień. Dziaćki pańskie niezupełnie są pańskim potomstwem. Kanarek trafi w dobre ręce.

Kropotkin wstał i bez słowa pożegnania skierował się ku wyjściu. W przedpokoju ubrał palto i kapelusz, po czym opuścił mieszkanie. Na podeście pierwszego piętra potknął się i spadł z hukiem ze schodów tłukąc binokle, a następnie łamiąc lewą nogę, nadgarstek i

obojczyk. Leżał na kamiennej posadzce sieni. Nie czuł bólu. Na jego twarzy majaczył się błogi uśmiech.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty, brudnopis](#)

·Tagi: [Sceptycyzm](#), [Wróżby](#), [racjonalizacja](#), [realia](#)

103. [Wróżba. Swoboda interpretacji \(2\)](#)

Październik 21, 2009

Wczoraj jej jeszcze nie było. Dzisiaj była. Obok szyldu informującego o repasacji pończoch (tanio, szybko, sprawnie). Pod notariuszem. Nad urologiem. Mała mosiężna tabliczka. To nie było złudzenie.

Madame Woroncowa.

Medium. Wróżka

III piętro. Pukać 2 razy.

Kropotkin, dumny ze swego sceptycyzmu,

postanowił zignorować. W sieni pachniało myszami i zupą grzybową. W jaki sposób znalazł się na podeście trzeciego piętra – było dlań niepojęte. Zapukał. Madame Woroncowa ubrana była w surdut z pagonami. Na szyi miała sznur koralii, w lewym oczodole monokl z pękniętym szkłem, a na kolanach kota. Wzrok rozmarzony, głos cichy, łagodny.

- Jest pan zainteresowany swą przyszłością – szepnęła.

Kropotkin, zdumiony trafnością spostrzeżenia, przytaknął.

- Życzy pan sobie przepowiedni zadowalającej, czy też zgodnej z prawdą?

- Nie rozumiem – wybąkał Kropotkin. I zamilkł. Pytanie, w przeciwieństwie do odpowiedzi, nie było zbyt trudne.

- No, chyba zgodnie z prawdą – odparł po krótkim ale intensywnym namyśle – chciałbym wiedzieć co mnie spotka.

- W takim razie muszę prosić o uregulowanie należności z góry.

Kropotkin uregulował, a Madame Woroncowa rozłożyła karty. Mag leżał pomiędzy wisielcem a wizerunkiem słońca.

- Niepotrzebnie się pan martwi – powiedziała – żona nie zdradza pana z tenorem Taszewskim. Już nie. Na Pana miejscu zainteresowałabym się raczej Szłomą Szwarzbardem. Chociaż – chwileczkę – nie ma powodów do paniki. Szczęśliwym trafem nie ma Pan na imię Szymon. Kłopoty finansowe są przejściowe. Znajdą swe rozwiązanie pod koniec października. Proszę jednak uważać na automobile. Pański współnik, co za człowiek, co za człowiek, umrze w niedługim czasie na apopleksję. Jak Pan zatem widzi – same dobre nowiny. Pańskie zdrowie nie powinno stanowić powodu do niepokoju, ból w kolanie minie z nastaniem mrozów. Proszę trzymać się z daleka od gier hazardowych i pożyczek skarbowych.

Dolegliwości Jelizawiety Hektorownej nie miną. Będą się nasilać w miarę upływu czasu i będzie miała dla Pana coraz mniej czasu. Na pańskim miejscu zakończyłabym tę znajomość.

Kropotkin wstał i bez słowa pożegnania skierował się ku wyjściu. W przedpokoju ubrał palto i kapelusz, po czym opuścił mieszkanie. Na podeście pierwszego piętra potknął się i spadł z hukiem ze schodów tłukąc binokle, a następnie łamiąc prawą nogę, nadgarstek i dwa żebra. Leżał na kamiennej posadzce sieni. Nie czuł bólu. Spoza drzwi pobliskiego mieszkania dobiegał dźwięk patefonu, a potem zachrypnięty męski głos powiedział głośno i wyraźnie: „A z Kairu znów dzwonił Agardi Metrowitch, coś tam z dzieciakiem, czy ktoś może przekazać Helenie tę wiadomość?”.

A potem już była tylko ciemność i cisza.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [racjonalizacja](#), [permutacje](#), [tarot](#),

[Bławatskaja](#), [nieoczekiwane](#)

104. [Wróżba. Swoboda interpretacji \(3\)](#)

Październik 27, 2009

Wczoraj jej jeszcze nie było. Dzisiaj była. Obok szyldu informującego o jakże potrzebnej usłudze prężenia firan (tanio, szybko, sprawnie). Nad notariuszem. Pod urologiem. Mała mosiężna tabliczka. To nie było złudzenie.

Madame Woroncowa.

Medium. Wróżka

IV piętro. Dzwonić 2 razy.

Kropotkin nie posiadał się ze zdumienia.

-A taki porządny dom – mruknął pod nosem – kto by pomyślał.

-Wprowadziła się wczoraj – głos za plecami Kropotkina był młodzieńczy, z drugiej strony jednak ni to syczący, ni zachrypnięty.

Właściciel głosu ubrany był na czarno. Prawie młokos. Na głowie miał zdeformowany kapelusz, na twarzy dzioby po ospie. W kieszeni palta zwinięta w rulon gazeta.

-Czy my się znamy?- zapytał Kropotkin

-Nie sędę – powiedział dziobaty – pozwoli Pan (tu uchylił kapelusza pokazując kruczoczną czuprynę) – moje nazwisko Szwarcbard. Samuel Izakowicz Szwarcbard.

I chciał najwidocznie jeszcze coś dodać, ale jego słowa zagłuszył łomot, który nagle rozległ się po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Coś ciężkiego spadało ze schodów.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

105. [0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 1, 1.](#)

Październik 28, 2009

- Tak dłużej być nie może – powiedziała pełnym irytacji głosem – musisz coś z tym zrobić!

Od czasu gdy Gulielmo podarował mu parkę królików, mały Leonardo spędzał całe dni przed klatką. Sytuacja stała się dramatyczna w momencie gdy pojawiło się liczne potomstwo. Usłyszawszy, że szczęśliwi rodzice mają skończyć w garnku, mały dostał ataku hysterii. Wyrok został chwilowo odroczone. A teraz, gdy króliczka znów była kotna, mały klęczał godzinami z nosem pomiędzy prętami i tyle było z niego pożytku.

Gulielmo podniósł głowę sponad papierzyk i rozejrzał się nieprzytomnie.

- Mały całkiem zgłupiał na punkcie tych królików – dodała – stoi od tygodnia przed klatką i coś mruczy pod nosem. Zeby się z nimi

choć bawił, ale nie, tylko stoi, patrzy i kombinuje jak koń pod górę.

Jutro będzie potrawka z królika – Gulielmo uśmiechnął się do żony – a na pocieszenie kupię małemu parkę żółwi. I nie martw się, wyjdzie na ludzi.

Dziecko, aby się prawidłowo rozwijać, powinno mieć jakieś zwierzątko, pomyślał. Dbłość o właściwe wychowanie potomstwa miała w końcu w rodzinie Bonaccich długą tradycję.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [dydaktyka](#), [dbałość o rozwój intelektualny dziecka](#)

106. [Walenrodym teutoński](#)

Listopad 4, 2009

Nie, nie będzie śmiesznie. Będzie o tym jak jest, w zależności od tego jak się patrzy. Czasem jest tak, że nawet nie wiadomo jakie pytanie należałoby zadać.

Dwa życiorysy. Jakże odmienne. Choć są też zaskakujące zbieżności. Rok urodzenia: 1905, miejsce urodzenia: Münster w Nadrenii Pn. Westfalii. Zwolennicy prostolinijności przekazu mogą mieć z tymi biografiami pewne trudności. Niemniej jednak, a może właśnie dlatego, zasługują one na przypomnienie.

A zatem pierwszy z nich. Fakty, fakty, fakty. Przyszedł na świat w dobrze sytuowanej rodzinie prezydenta sądu krajowego, rodzice określali go jako najtrudniejszy z siedmiorga dzieci, potem uchodził za inteligentnego aczkolwiek krnąbrnego ucznia. Po zdanej w 1925 roku maturze studiował w Aachen,

Marburgu i Berlinie na tamtejszych politechnikach, w 1931 roku uzyskał tytuł inżyniera. W trakcie studiów był członkiem Corps Teutonia Marburg, związku studentów o nader konserwatywno-narodowej orientacji. Karierę urzędniczą (inspektor d/s górnictwa tzw. Bergreferendar, potem Bergassessor) rozpoczyna wraz z dojściem do władzy Narodowych Socjalistów, w 1933 roku wstępuje również do **NSDAP**, rok później widzimy go w mundurze **SA**. W 1937 roku rozpoczyna studia medyczne. Fakt ten będzie miał decydujące znaczenie gdy w 1941 roku zgłosi swój akces do SS. Po przeszkoleniu w Arnheim i Oranienburgu zostaje skierowany do tzw. **Hygiene-Institut der Waffen-SS**, gdzie szybko awansuje zostając szefem oddziału „Techniczna Dezynfekcja”. Kierowana przez niego jednostka posiadała jasno i precyzyjnie sformułowane zadanie, polegało ono na zagwarantowaniu odpowiedniej jakości jak

również ciągłości dostaw gazu o nazwie cyklon B do miejsc przeznaczenia. W 1942 roku zostaje odkomenderowany do obozu Bełżec, a następnie do Treblinki, gdzie bierze udział w pracach grupy ekspertów mających udoskonalić zainstalowane tam komory gazowe. Było to zadanie trudne, bo eksperymenty nie mogły kolidować z bieżącą pracą pracujących na granicy wytrzymałości urzędzeń. Aresztowany przez francuską żandarmerię w kwietniu 1945 roku, spisuje dokładnie swe wspomnienia, nadając im formę szczegółowego raportu. Raport zostanie później wielokrotnie wykorzystany jako materiał dowodowy: w procesie przeciw szefom IG-Farben, w procesie Norymberskim, w procesie Eichmanna w Jerozolimie. Przeniesiony w lipcu 1945 roku do paryskiego więzienia wojskowego Cherche-Midi zostaje odnaleziony martwy w swej celi. Nie udało się wyjaśnić czy popełnił samobójstwo, czy powiesili go

współwięźniowie.

Ponieważ w obliczu podanych powyżej, niewątpliwie prawdziwych faktów łatwo o oceny, spróbujmy raz jeszcze.

Urodził się w rodzinie wielodzietnej, jego dzieciństwo naznaczone było niekończącymi się konfliktami z przesadnie surowym ojcem. Nauczyciele podkreślają jego wrażliwość, inteligencję i ciągłą gotowość do wstawiania się za słabszymi i szykanowanymi kolegami. Z chwilą zdania matury angażuje się bez reszty w **CVJM** – niemieckim oddziale Związku Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej. Jest przeciwny wszelkiej przemocy, krytykuje nadużywanie alkoholu i tryb życia sprzeczny z wartościami chrześcijańskimi, które pojmuje dosłownie. W trakcie studiów doprowadzi to do nieuniknionych konfliktów i wykluczenia ze studenckiej korporacji. Po uzyskaniu dyplomu wybiera służbę urzędniczą, jako lojalny urzędnik wstępuje – podobnie jak miliony

współobywateli – do demokratycznie wybranej partii rządzącej, rok później widzimy go, podobnie jak większość jego kolegów z pracy, w mundurze masowej organizacji bezgranicznie oddanej wodzowi, narodowi i ojczyźnie. W międzyczasie jest w lokalnych władzach CVJM i prowadzi tzw. Bibelkreis – dyskusyjne stowarzyszenie krzewiące ideały chrześcijańskie i propagujące gdzie się da Słowo Boże. Również wśród górników, co prowadzi do otwartego konfliktu z partią. Mimo że świadom jest ryzyka, nie zniechęca go to. W 1936 roku zostaje po raz pierwszy zaaresztowany, następnie zwolniony z aresztu ale również karnie wykluczony z partii. To zaś było równoznaczne z utratą urzędniczego stanowiska. Rozpoczyna studia medyczne, latem 1938 roku następuje ponowne aresztowanie, po dwóch miesiącach przesłuchań i tortur zostaje zwolniony. Wybuch wojny. Z zamkniętych ośrodków

psychiatrycznych dobiegają niepokojące wieści: rozpoczęto wdrażanie programu eutanazji niedorozwiniętych i chorych psychicznie. Wiosną 1941 podejmuje brzemienne w skutki decyzję, którą później w swych wspomnieniach uzasadni w sposób następujący:

„Gdy dotarły do mnie informacje, że w Grafeneck i Hadamar i w innych ośrodkach rozpoczęto zabijanie chorych psychicznie, zdecydowałem się podjąć próbę aby tam dotrzeć i naocznie przekonać się co tam się dzieje”

Aby dotrzeć do miejsc kaźni ubrał mundur SS. Ku swemu przerażeniu – jak później twierdził – przekonał się, że pogłoski nie dorównywały potwornej prawdzie. W hierarchii urzędniczej Instytutu Higieny SS robi szybką karierę i ku swemu zdumieniu zostaje mianowany szefem oddziału odpowiedzialnego za dostawy gazu do obozów zagłady. W swych kontaktach z przedstawicielami przemysłu chemicznego

próbuję uświadomić swym partnerom, że gaz nie jest stosowany, jak się powszechnie twierdzi, do odwszawiania odzieży, lecz do masowego zabijania ludzi. Bez skutku. W Treblince i Bełżcu zostaje wyznaczony do uczestnictwa w pracach, których celem miało być przebudowanie komór gazowych i zastąpienie spalin cyklonem B. Stara się zapamiętać to co widzi i słyszy. 20. sierpnia 1942, w pociągu z Warszawy do Berlina nawiązuje kontakt ze szwedzkim dyplomatą **Göranem von Otter** i zdaje mu relację z tego, czego był świadkiem w wizytowanych obozach zagłady. Prosi o przekazanie tej informacji aliantom. Von Otter napisze sprawozdanie, to zaś pokryje się kurzem w Sztokholmie, relacja dziwnego SS-mana zostanie uznana za histeryczną i niewiarygodną. Następują kolejne próby przekazania informacji, w lutym 1943 roku przez przyjaciela w Holandii (meldunek radiowy dociera do Londynu, pozostaje jednak

bez konsekwencji), następnie przez **nuncjusza papieskiego** w Berlinie (ten odmawia spotkania, zgadza się jednak na przesłanie wiadomości do Watykanu). W międzyczasie próbuje pomagać ukrywającym się przed gestapo bliźnim i zdoła zadeklarować kolejny transport gazu jako „nie nadający się do użytku i podlegający natychmiastowemu zniszczeniu”. Pograżony w coraz głębszej depresji i bliski szaleństwa dotrwa do końca wojny, w kwietniu 1945 roku zgłasza się na posterunek francuskiej żandarmerii polowej i prosi aby go zaaresztować. Zwolniony z aresztu spisuje swój raport i przekazuje go Amerykanom ścigającym zbrodniarzy wojennych. Aresztowany ponownie przez Francuzów zostaje przeniesiony do paryskiego więzienia w którym zginie w niewyjaśnionych okolicznościach.

Kurt Gerstein nie doczekał 40 roku życia. Obydwie biografie są prawdziwe i zawierają jedynie udokumentowane historycznie fakty.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Gerstein](#), [Holocaust](#), [jednoznaczność interpretacji](#), [von Otter](#), [nuncjusz papieski](#).

107. [Koszmar](#)

Listopad 9, 2009

- Co się stało?
- Miałem koszmarne sen, brrrr...
- ???
- Byłem znów w zamierzchłej przeszłości. Wszyscy ubrani byli jakoś śmiesznie, zgodnie z obowiązującą w połowie lat siedemdziesiątych modą. Stałem przed okienkiem pocztowym. Coś mnie pokusiło, aby wysłać do redakcji telegram z wymówieniem. Treść była głupia, na formularzu widniały jedynie słowa:
„Wypowiadam stosunek pracy ze skutkiem natychmiastowym. Jadę do Patagonii”
- Ależ Bruce!!

- Absurdalne, prawda? Ale to nie wszystko. Dalej śniło mi się, że idiotyzm tego telegramu dotarł do mnie dopiero po jego nadaniu. Urzędnik w okienku powiedział, że nic już nie da się zrobić i że muszę jechać do Patagonii. Byłem przerażony, chciałem się obudzić i nie mogłem.

- To był tylko sen.

- Wiem, Elisabeth, wiem. Ale to było takie realne. Urzędnik był nieubłagany. Kolejka za mną wydłużała się, a ja ścisnąłem w dłoni kurczowo oprawiony w czarne płótno notatnik i przypatrywałem się jego ustom. Nagle, sam nie wiedząc dlaczego, zapragnąłem go pocałować.

- Biedaku! Co za horror!

Elisabeth powoli podniosła się z posłania i pokuśtykała do kuchni. Bruce pozostał w łóżku czekając na swe poranne kakao. Za oknem powoli budziła się zamglona londyńska pogoda.. Życie emeryta, pomyślał, poza bólami

reumatycznymi ma też swoje małe, codzienne przyjemności.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [In Patagonia](#), [inaczej](#), [zagadki literackie](#)

108. [Bajki dla niegrzecznych dzieci \(1\)](#)

Listopad 10, 2009

Zaniedbywanie najmłodszych czytelników jest karygodne. Najwyższy czas to naprawić.

Dzisiaj: **“Pasikonik i Mrówka”**.

Był sobie pewnego razu pasikonik, stworzenie wesołe i beztroskie. Całymi dniami radował się i oddawał różnym przyjemnościom takim jak jedzenie, picie, śpiew i niepohamowany seks.

Nie uszło to uwadze zamieszkującej w

bezpośrednim sąsiedztwie mrówki. Mrówka była pilna, pracowita i przewidująca. Krótko mówiąc: poukładana. Wiedziona miłością bliźniego, mrówka postanowiła zwrócić uwagę pasikonika na irracjonalność jego zachowania. I zwróciła.

- Oddal się ode mnie mrówko – powiedział pasikonik. Należy zaznaczyć, że pasikonik użył innego sformułowania, ale sens był zbliżony.

Mrówka, pełna chęci czynienia dobra, nie zamierzała zrezygnować. Włączyła się za pasikonikiem zręczając i rozpościerając przed nim ponure wizje naznaczonej głodem i nędzą przyszłości. Jej poczucie misji było tak silne, że zaniedbała wszelkie inne obowiązki, w tym niestety również – gromadzenia zapasów na zimę.

Gdy nadeszły jesienne chłody, jej sytuacja stała się nie do pozazdroszczenia. Przed nadejściem mrozów nabawiła się grypy, a potem zapalenia płuc i umarła.

Nie wiemy co stało się z pasikonikiem. Podobno pożyczył pieniądze i wyjechał do ciepłych krajów. Ale czy można wierzyć wszystkiemu co ludzie wygadują?

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Bajki dla niegrzecznych, brudnopis](#) · Tagi: [dydaktyka](#), [Mrówka](#), [Pasikonik](#), [bajki dla niegrzecznych dzieci](#), [dowolność.](#), [grypa](#), [zapalenie płuc](#)

109. [Bajki dla niegrzecznych dzieci \(2\)](#)

Listopad 14, 2009

Dzisiaj bajka o nietrudnym do odgadnięcia morale. A zatem: **“Nowe szaty cesarza”**

—

Dawno, dawno temu, na dwór cesarski

przybyło dwóch tkaczy i zaprezentowało władcy cudowną tkaninę. Jej cudowność polegała na tym, że jedynie ewidentni głupcy nie byli w stanie jej zobaczyć. Tkanina spodobała się Najjaśniejszemu Panu nadzwyczaj. Do tego stopnia, że zapragnął aby uszyto mu z niej nową szatę. Życzenie władcy było rozkazem – garderoba cesarska wzbogaciła się o nowy, lekki, praktyczny, a zarazem wzbudzający powszechny podziw strój.

Gdy cesarz prezentował swe nowe szaty ludowi, ten wpadł w zachwyty graniczący z euforią. Ochom i achom nie było końca. Jakiś mały gówniarz usiłował wprawdzie zakłócić uroczystość, ale – ku zadowoleniu ogółu – szczęśliwie udało się go skutecznie uciszyć.

Minęły lata. Z chwilą pojawienia się przemysłu, ubrania z cudownej tkaniny skierowano do masowej produkcji. Obecnie cieszą się szeroką popularnością i można je nabyć po przystępnej

cenie.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Bajki dla niegrzecznych, brudnopis](#) · Tagi: [bajki dla niegrzecznych dzieci](#), [skuteczny marketing](#), [Andersen](#), [Nowe szaty cesarza"](#)

110. [Szczepienia przeciw grypie. Dylematy.](#)

Listopad 17, 2009

Puchatek był w zasadzie za. Krzyś i Tygrysek też. Krzyś nawet bardzo.

Kłapouchy i Kangurzyca byli przeciw. To jednak nie powinno nikogo dziwić, Kłapouchy niemal zawsze był przeciw. Gdzieś coś słyszał i niepokoiło go to coś. Zapytany o szczegóły, wymruczał coś o wpływie planet na jakość szczepionki. Problemem była Kangurzyca. Ze

względu na jej ośli upór, dyskusje ciągnęły się w nieskończoność. Kangurzyca przeczytała w gazecie, że szczepionka może zaszkodzić Maleństwu i domagała się gwarancji. Ponieważ zapomniała tytułu gazety, nikt nie rozumiał do końca o jakie gwarancje jej chodzi. Ona chyba też nie.

A potem Prosiaczek zachorował na grypę i żarty się skończyły.

- Umieram! - oświadczy zebrany u wezłowa przyjaciołom.

Krzysiu poczuł ulgę. Obóz zwolenników szczepień ochronnych rósł w siłę. Teraz należało tylko spokojnie poczekać na dalszy rozwój wypadków.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Bajki dla niegrzecznych, brudnopis](#) · Tagi: [grypa](#), [Kubuś Puchatek](#), [Szczepienia](#), [Bezsens](#), [jałowe dyskusje](#)

111. [Noc Nr. 345. Do poduszki.](#)

Listopad 24, 2009

Pewien przesławny król polecił ogłosić ludowi, że „każdemu, kto odważy się dać żebrakowi jałmużnę, obcięte zostaną obie dłonie”.

Poddani, przejęci trwogą, przestali dawać jałmużnę i ku smutkowi Allaha nikt nikomu nie ważył się podarować nawet okruszków chleba.

Zdarzyło się jednak, że do pewnej niewiasty zbliżył się żebrak (a zaprawdę cierpiał dotkliwy głód i niedostatek) i powiedział: daj mi czcigodna niewiasto drobny datek, albowiem cierpię głód.

Tu Szeherezada przerwała opowieść, bo za oknem widoczna była jutrzienka i pokornie czekała na królewski wyrok. Król zaś, ciekaw dalszego ciągu, łaskawie pozostawił ją przy życiu aż do momentu gdy zapadła noc trzysetna i czterdziesta i piąta.

a Szeherazada podjęła swą opowieść tam gdzie ją przerwała.

- Jakże bym mogła dać ci jałmużnę miły żebraku – rzekła kobieta – skoro nasz dobrotliwy władca zapowiedział, że każe mi wówczas obciąć dłonie?

- Błagam Cię o jałmużnę w imię Allaha sprawiedliwego – zaklinał ją żebrak.

- Allaha? W takim razie, to co innego – odparła niewiasta – w takim przypadku nie widzę problemu. Proszę oto dwa kawałki chleba. I smacznego zyczę!

Gdy wieść o tym zdarzeniu dotarła do króla, ten wezwał niewiastę przed swoje oblicze i polecił uciąć jej obie dłonie. Tak się też stało, rach ciach i po sprawie. Pozbawiona rączek powróciła do domu rodzinnego. Król zaś, jak to bywa w zwyczaju orientalnych władców, rozesłał sługi w cztery strony świata w celu wzbogacenia swego haremu o nowe atrakcje.

Dla odmiany życzył sobie żony nie tylko pięknej, ale również mądrej i obdarzonej łagodnym charakterem. W końcu, po długich poszukiwaniach, znaleziono odpowiednią kandydatkę. Nawet mamusi króla się spodobała.

- Jest tylko mały problem – powiedział Wielki Wezyr – ona ma pewien mały mankament.

- Jakiż to? – zainteresował się władca

- Nie ma obu rąk. Obcięte.

- Niech rzucę okiem – ożywił się król.

Przyprowadzono zatem niewiastę przed oblicze monarchy, a ten – olśniony jej wdziękiem i urodą – natychmiast ją poślubił. Radości było co niemiara. Oblubieńcy radowali się, drogie dzieci, do tego stopnia, że wkrótce kobieta bez rąk powiła synka. Nie pytajcie co to znaczy powiła, powiła i już. Szczęście małżonków nie trwało jednak zbyt długo, pozostałe żony króla, zazdrosne że aż strach, oczerniły ją przed

władcą, no przecież mówię, oczerniły. Król się strasznie zdenerwował i polecił wygnać kobietę bez rąk na pustynię. Dzieciątko mogła zabrać ze sobą. Szła przez tę straszną pustynię, szła – nie płacz gówniarzu – aż doszła do wielkiej rzeki. Ponieważ była spragniona, uklękła przy brzegu i pochyliła się, aby napić się wody, niestety przytwierdzone do jej grzbietu niemowlę wpadło – plusk – w odmęty. I tyle je widziała.

Dokąd uciekasz, natychmiast wracaj do łóżka. Natychmiast! Człowiek sobie żyły wypruwa, czyta bajki po nocach, a niewdzięczny bachor ni z tego ni z owego ucieka. Wracaj natychmiast!!!!

—
Osobom, które posądzą mnie o chorobę wyobraźnię, pragnę polecić (ponowną) lekturę Baśni z 1000 i jednej nocy. Pierwowzór uroczej baśni do znalezienia np. [tutaj](#).

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Bajki dla niegrzecznych, brudnopis](#) · Tagi: [Bajki z 1001 nocy](#), [Szeherezada](#), [Okaleczenia](#), [Niewdzięczność dzieci](#).

112. [Krzyże. Przyczynek do aktualnej debaty.](#)

Grudzień 2, 2009

Osoby traktujące Katechizm i książeczkę do nabożeństwa jako nie podlegające jakiegokolwiek dyskusji źródła niepodważalnej prawdy historycznej proszone są o nie czytanie tego tekstu. Pozostałych pasażerów prosimy o zajęcie miejsc i zapięcie pasów. Będzie strasznie.

Urwanie głowy z tymi krucyfiksami.
Wszystkiemu jest winien Poncjusz P.
Wszystkiemu. Ale po kolei. .

Jeszua, zwany potem powszechnie Chrystusem (Χριστός) według większości historyków urodzony na 4 do 8 lat przed własnymi

narodzinami, a zmarły śmiercią męczeńską pomiędzy 30 a 33 rokiem naszej ery, jest postacią, której istnienie jest bezsporne. Nie wiemy wprawdzie ani kiedy dokładnie żył, ani też kiedy umarł, gdyby Józef Flawiusz nie wspomniał w Testimonium Flavianum jego imienia nie wiedzielibyśmy nawet czy z całą pewnością istniał (do jakiego stopnia polegać można na późniejszej wzmiance Tacyty lub powstałych ćwierć tysiąclecia później spekulacjach Euzebiusza z Cezarei raczej trudno obecnie ocenić). Nieważne. Ważne jest zakorzenione w nas wszystkich przeświadczenie, że Jozua zginął na krzyżu i że dokładnie wiemy jak ten krzyż wyglądał. Wiemy? Otóż wiemy mało. Chyba nam się tylko wydaje że wiemy.

Założmy jednak dla wygody, że dajemy wiarę Ewangelii (którą trudno uznać za niepodważalne źródło historyczne, ale co tam) i że było rzeczywiście tak jak napisane jest w

Piśmie. Dla przypomnienia: Sanhedryn domagał się wprawdzie wyroku śmierci, jego wydanie, jak również wybór sposobu wykonania pozostawało w gestii rzymskiego Prefekta, w tym przypadku – Poncjusza P. I tutaj robi się dziwnie i zupełnie niezrozumiale. Błuznierstwo – a przypomnijmy, o nie właśnie oskarżony był Chrystus – było bowiem na terenie Judei zwyczajowo karane ukamienowaniem. Przybijanie do krzyża zarezerwowane było dla buntowników, szczególnie zbuntowanych niewolników, rabusiów ze szczególnym uwzględnieniem piratów i pospolitych morderców.

Rozmaite dygresje

Nie każdego wolno było w obrębie Imperium ukrzyżować. Nie wolno było na przykład przybić do krzyża obywatela rzymskiego, Cycero wypowiedział się w tej kwestii jednoznacznie:

“Nomen ipsum crucis absit non modo a

corpore civium Romanorum, sed etiam a cogitatione, oculis, auribus.”

W przypadku popełnienia wyżej wzmiankowanych czynków, obywatel miał święte i niezbywalne prawo być ściętym. Ale mniejsza o to. Wróćmy do krzyży. Krzyże, wbrew powszechnemu przekonaniu przeważnie nie były krzyżami. Przeważnie były to słupy. Poprzeczki, czasem jedna, czasem dwie, były raczej rzadkością. Co do tego kto wymyślił przybijanie ludzi do drewna nie ma zgody. O palmę pierwszeństwa walczą Fenicjanie z Asyryjczykami i Persami. Grecy nauczyli się od Persów i z upodobaniem stosowali ten rodzaj kary w stosunku do oskarżonych o kradzież. Psychopata o imieniu Aleksander (nazwany z niezrozumiałych powodów przez potomnych wielkim), zerwał z tą tradycją i stosował sankcję według upodobania i raczej na oślep. Na przykład po zdobyciu Tyru nakazał ukrzyżowanie wszystkich męskich

mieszkańców miasta, wszystkich, jak leci. Kobietom się upiekło. Po zwyczajowym zgwałceniu zostały sprzedane jak bydło w niewolę. Rzymianie nauczyli się od Greków i stosowali ten rodzaj kary ze szczególnym upodobaniem w stosunku do pojmanych zbiegłych niewolników, wychodząc z najprawdopodobniej słusznego założenia, że efekt będzie raczej (dla jeszcze nie zbiegłych) odstraszający.

Koniec dygresji.

Powróćmy zatem do Chrystusa i wydającego wyrok Poncjusza P. Jego wybór dotyczący narzędzia kaźni pozostaje wprawdzie niezrozumiałą, ale z drugiej strony nie całkiem nieprawdopodobny. Poncjusz P. lubił krzyżować. Lubiał do tego stopnia, że czasem nakazywał przybijanie do krzyży dużych grup ludności bez specjalnej troski o przeprowadzenie procesu. Upodobanie to przyczyniło się w końcu do jego zguby. W 36

roku naszej ery nakazuje zupełnie bezsensowne ukrzyżowanie dużej grupy pielgrzymów z Samary i tego jest już za dużo nawet jego zwierzchnikom. Legat Syrii, Lucjusz Witeliusz, odwołuje go ze skutkiem natychmiastowym z zajmowanego stanowiska i nakazuje stawienie się przed Tyberiuszem w celu wiadomym. Zanim Poncjusz P. dotrze do Rzymu, Tyberiusz umrze i miłośnikowi masowych ukrzyżowań upiecze się, ale nie na długo. Kaligula zadba o to aby mu się nie nudziło, ale to już zupełnie inna historia.

Znosi nas. Wróćmy zatem ponownie do interesującego nas ukrzyżowania. Autor (lub autorzy) Ewangelii Jana w ponad 40 miejscach wymieniają narzędzie kaźni nazwając je stauros (σταυρός), sam zaś akt nazywają anastauroo. Stauros to nie krzyż. To raczej chyba na pewno słup, a Anastauroo to powieszenie delikwenta na słupie. Pomylenie słupa z krzyżem jest trudne. Jeśli zatem pozostaniemy w zgodzie z

Ewangelią, obecna kontrowersja dotycząca wieszania symboli religijnych w instytucjach publicznych nabiera nowego posmaku. Jeśli jednak założymy, że Mesjasz przybity został na rozkaz Prefekta do krzyża, to sytuacja robi się jeszcze dziwniejsza. Najpopularniejszym w owych czasach rodzajem krzyża nie była bowiem konstrukcja znana nam z nowożytniej ikonografii. Popularne, ba powszechne, było urządzenie zwane crux decussata. Były to dwie belki skrzyżowane na kształt litery X. Ta forma krzyża przetrwała do dziś nie tylko w heraldyce i weksykologii, możemy ją podziwiać również przed niestrzeżonymi przejazdami kolejowymi. Nieporozumieniem jest jednak przeświadczenie, że ten rodzaj narzędzia kaźni wymyślono specjalnie dla św. Andrzeja Apostoła. Prawdą jest, że w przypadku krzyżowania było to powszechnie stosowane narzędzie.

Zwolennicy wieszania symboli religijnych w

szkołach, sądach i komisariatach mają zatem do wyboru pomiędzy pozostaniem w zgodzie z Ewangelią i zabieganiem o wieszanie symbolicznego słupa, lub zbliżeniem się do prawdy historycznej i wieszaniem krzyża w postaci litery X. Tu jednak pojawia się następna trudność natury, powiedzmy sobie otwarcie, estetycznej. Po przybiciu ofiary do crux decussata, urządzenie stawiano w taki sposób, aby skazaniec wisiał do góry nogami.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Krzyże](#), [Wyrok Trybunału w Strassubrgu](#), [wojna o krzyże](#)

113. [Grypa. Zaufajmy fachowcom.](#)

Grudzień 11, 2009

Gdy tylko na horyzoncie zaczyna się majaczyć mniej lub bardziej odległe widmo epidemii,

albo co gorsza pandemii, wybija godzina wizjonerów, fałszywych proroków i wszelkiej maści szarlatanów. Pojawiają się domorośli znawcy epidemiologii walczący o lepsze z samorodnymi talentami medycznymi. Siewcy strachu usiłują przekrzyczeć znawców pewnych metod leczenia opartych na najdzikszych spekulacjach zakorzenionych w zasłyszanych, aczkolwiek niekoniecznie zrozumianych mądrościach – swoboda interpretacji jest przy tym raczej regułą niż wyjątkiem. Ilość tych którzy wiedzą (lub sądzą że wiedzą), przewyższa ilość tych, którzy tylko przypuszczają. Jedych i drugich cechuje skłonność do sądów kategorycznych, nadmiernej pewności siebie i niezłomnego przekonania o słuszności własnych poglądów, przekonania wynikającego przeważnie z twórczej interpretacji wiadomości pochodzących z drugiej lub trzeciej ręki. Racjonalne myślenie oparte na wiedzy

fachowej znajduje mniej zwolenników niż najdziwsze spekulacje ćwierćfachowców i brylujących autodydaktycznie zdobytą wiedzą doradców-samozwańców. Trudno, doprawdy trudno dociec źródeł tego masowego fenomenu.

Kropotkin nie może powstrzymać się od zdziwienia. Przecież wystarczyłoby zaufać fachowcom, ludziom z wieloletnim doświadczeniem i zdobytą mozolnie wiedzą medyczną. I kierować się ich zaleceniami ufając, że wiedzą co czynią, że udzielane przez nich wskazówki oparte są na solidnym, ba naukowym, fundamencie. Gromadzona pracowicie przez dwa i pół tysiąca lat wiedza medyczna zasługuje przecież na większe zaufanie. Nieprawdaż?

Kropotkin nic z tego wszystkiego nie rozumie. Nic. Obecna sytuacja nie jest wszakże całkiem nowa. Gdy w 1918 roku wybuchła epidemia Hiszpanki było podobnie. Na szczęście w porę zwrócono się po wskazówki i porady również

do fachowców. I ci potrafili się wypowiedzieć w sposób logiczny, trzeźwy, a mimo to zrozumiały. Wystarczyło tylko grzecznie poprosić i można było otrzymać sensowną poradę. Na przykład niejakiego Dr. med. R.C. Clarcka na łamach „The News of the World“:

“Wash inside of nose with soap and water each night and morning. Force yourself to sneeze night and morning, then breathe deeply. Do not wear a muffler. Take sharp walks regularly and walk home from work. Eat plenty of porridge.”

*Flu prevention suggestions of R.C. Clarck MD published in **The News of the World** from November 3, 1918*

...

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty, brudnopis](#)

·Tagi: [grypa](#), [szarlatani](#), [wiedza medyczna](#), [ignorancja](#), [przesady](#)

114. [A mad tea party revisited](#)

Grudzień 14, 2009

- Bo oni wszyscy tacy – powiedział Marcowy Zając – chodzi im tylko o jedno!

- Niewykluczone – powiedział Szalony Kapelusznik – że chodzi im głównie o herbatę. Lub herbatniki.

Na odgłos słowa „herbatniki” Suseł obudził się i zaczął przyglądać się Alicji z uwagą graniczącą z natarczywością.

- Czy ktoś – ziewnął – czy ktoś mówił coś o melasie?

- Jedno tylko mają w głowie – dorzucił Marcowy Zając – i nie jest to melasa.

- Acha – mruknął rozczarowany Suseł. I zasnął.

Przez chwilę panowało milczenie. Ciszę przerywało jedynie wymowne siorbanie Szalonego Kapelusznika. I szelest tkaniny. Alicja poczuła nagle dłoń smutnego sąsiada w

oklicy gdzie kończyła się podwiązka, a zaczynał brak podwiązki.

- O jedno im chodzi – powtórzył ponuro Marcowy Zając

- Jest taka zagadka – przerwał Szalony Kapelusznik – chodzi w niej o...

-Melasę!!? – ożywił się suseł

- Nie – odparł Kapelusznik – nie o melasę. I o to, co ma na myśli Marcowy Zając, również nie.

- Czy mógłby Pan zdjąć rękę z mojego kolana – zapytała Alicja – łaskocze mnie pan!

- To nie jest kolano – zauważył smutny sąsiad.

- A ten Dodgson to znów... – zaczął Marcowy Zając, ale pod wpływem spojrzenia Kapelusznika natychmiast zamilkł.

Alicja miała dziwne wrażenie, że powinna jeszcze coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedziała co. Dłoń smutnego sąsiada powoli

wędrowała w rejony nie związane z podwieczorkiem. Wbrew pozorom nie było to przyjemne.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Bajki dla niegrzecznych, brudnopis](#) · Tagi: [bajki dla niegrzecznych dzieci](#), [Melasa](#), [nieodparte konkluzje](#), [wnioski](#)

115. [Początek ostatniego rozdziału](#)

Grudzień 17, 2009

Kiedy Cukerbrot dowiedział się, że żona Kacembacha urodziła trojaczki, ubrał swój najlepszy garnitur na prawie czysty podkoszulek i pożyczony od brata einsteckkragen. Wybór garnituru nie był trudny ponieważ miał tylko jeden. Szczerze powiedziawszy, poza wzmiankowanym garniturem nie posiadał chwilowo innego okrycia, chyba żeby liczyć jesionkę zastawioną

w lombardzie na Zarzeczcu. Następnie, za uzyskane pod zastaw zegarka pieniądze, nabył w okolicach Zaułka Rzeźniczego bukiet czerwonych róż i podążył energicznym krokiem w stronę Nowego Rynku gdzie pod trzynastką mieściła się kancelaria Kacembacha. Był dobrej myśli.

Kacembacha w kancelarii nie było. Spotkany na wiodących do wejścia budynku schodach ślepiec próbował mu bezskutecznie sprzedać los na loterię, Niebo zaciągnęło się, najwidoczniej zbierało się znów na deszcz. Cukerbrot rzucił okiem na przegub, na którym jeszcze przed godziną znajdował się zegarek, odczytanie godziny z przegubu przerastało jednak jego możliwości. Stojąc na środku trotuaru narażał się na potrącenia licznych o tej porze dnia przechodniów. Rozejrzał się bezradnie. Ulicą powoli szły dwie zakonnice. Lufa schowanego w kieszeni spodni rewolweru uciskała go dotkliwie w pachwinę.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [1947](#)

116. [Opowieść Wigilijna](#)

Grudzień 24, 2009

Dowódca straży Ezechiel (syn Ezechiela, poborcy) miał wszystkiego serdecznie dosyć. Wszystkiego. Dzień targowy zakończył się tumultem wywołanym jak zwykle przez poganiaczy osłów, którzy opiwszy się winem palmowym rozpoczęli zaczepiać przechodzące niewiasty. Skończyło się przewracaniem straganów i ogólnym mordobiciem. Po zapadnięciu zmroku straż była wzywana jeszcze wielokrotnie, po raz ostatni przez Izjasza, właściciela zajazdu, w którego stajni zagnieździło się dwoje włóczęgów. Kobieta była w zaawansowanej ciąży, mężczyzna, najwidoczniej wędrowny rzemieślnik, obszarpany i brudny, stawiał początkowo opór,

dał się jednak przekonać, że poród w stajni nie jest dobrym pomysłem. Skończyło się na tym, że dziecię przyszło na świat w Ezechielowej kuchni, Rebeka pomogła i wyczerpana matka odpoczywała teraz wraz z potomkiem w przyległej sypialni.

Ezechiel zastanawiał się, gdzie wobec takiego rozwoju wypadków spędzą z żoną nadchodzącą noc. Rozmyślenia przerwało łomotanie do drzwi. W progu stał znów wzburzony Izjasz. W obręb zabudowań wtargnęła gromada pastuchów, nie potrafili wyjaśnić w jakim celu, bredząc coś o jakimś stworzeniu ze skrzydłami, które poleciło im udać się do izjaszowej stajni i nie ma gadania. Czego to ludzie nie wymyślą. Ezechiel obiecał Izjaszowi interwencję licząc w cichości ducha, że sprawa rozejdzie się – jak zazwyczaj – po kościach. Wpierw musiał się zająć trzema najwidoczniej zbłąkanymi cudzoziemcami, nikt nie mógł zrozumieć o co im chodzi, wykrzykiwali niezrozumiałe słowa

w równie niepojętym narzeczu wskazując na przemian na przystroczone do siodeł wielbłądów sakwy i na niebo.

Od czasu pojawienia się tej komety, pomyślał Ezechiel, ludzie zachowują się co najmniej dziwnie. Dzień jak co dzień, niby nic się nie zdarzyło, a człowiek namorduje się jak koń pod górkę. W mroku otaczającym przedmieścia rozbrzmiewało wycie bezpańskich psów. Tej nocy Betlejem długo jeszcze nie mogło zasnąć.

—

Są święta, ludzie składają sobie życzenia. To dobry zwyczaj. A zatem: wszystkiego ludzkiego. Wszystkim. Tobie też.

Sobie życzę, aby pełni świątecznego uniesienia bliźni dobrze życzyli sobie i innym również w pozostałe dni roku. Może to i trudne, ale czy niemożliwe?

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Betlejem](#),

[jakoś tak](#)

117. [Getting away from binary thinking \(12/28\)](#)

Grudzień 29, 2009

Starej Majchrzakowej ukazał się we śnie Adolf Hitler. Stał na kładce przerzuconej nad strumieniem oddzielającym pole starego Serwety od łąk księżęcych i taki blask od niego bił, że aż czy bolały. Ubrany był w damski szlafrok w kwiaty, na bosych stopach miał kąpielowe klapki koloru lila. Stara Majchrzakowa chciała się we śnie przeżegnać, albo chociaż splunąć na ziemię i powiedzieć: idź precz maro nieczysta, ale nie mogła. Stali więc tak naprzeciw siebie przez dłuższą chwilę, Majchrzakowa wpatrywała się w Hitlera, Hitler wpatrywał się w Majchrzakową, w porastającym brzegi strumienia tataraku słyhać było kumkanie żab. W końcu Hitler przełknął

ślinę, wciągnął ze świstem powietrze, machnął prawą dłonią w kierunku widniejącego na horyzoncie elewatora i wyszeptał: pójdz dziecię, ja cię uczyć każę.

Tego już było starej Majchrzakowej za dużo i postanowiła się bezzwłocznie obudzić.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Hitler](#), [prowincja](#), [polskie traumy](#), [odwyk](#)

118. Postanowienia noworoczne. Przechytrzyć.

Grudzień 31, 2009

Zaśnieżony (adekwatnie do pory roku) krajobraz powinien działać kojąco. Nie działa. Kropotkin siedzi przy biurku pogrążony w ponurej zadumie. To, co spisane, nabiera mocy. Tylko to. Przed Kropotkinem leży kartka papieru i prowokuje niepokalaną czystością.

Niekończąca się lista niezrealizowanych zamierzonych planów wisi nad Kropotkinem i domaga się uzupełnienia o nowe, niezużyte jeszcze, w pewien sposób dziewicze zamierzenia.

Z drugiej strony: ileż to razy dobre postanowienia noworoczne zamieniały się (niepostrzeżenie) po upływie kilku dni w pobożne życzenia? Z przygnębieniem stwierdza, że realizacja dobrych postanowień skazana jest – zgodnie z nieznanym jeszcze prawem natury – na porażkę. Sromotną klęskę, która nadejdzie z prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością.

Postanawia zatem w nowym roku udawać się później na spoczynek i wstawać zdecydowanie później. Unikać sportu i stronić od ruchu na świeżym powietrzu. Palić i pić dzielnie, odżywiając się przy tym konsekwentnie niezdrowo. Więcej tłuszczu i węglowodanów, za to mniej owoców i warzyw – notuje na

kartce. Mniej czytać, a jeśli się nie uda, unikać przynajmniej pozycji wymagających intelektualnego wysiłku, koncentrując się na twórczości łatwej, trywialnej i mało wymagającej. Zacząć wreszcie regularnie oglądać telewizję. Wrzeszczeć na bliskich, stronić od instrumentów muzycznych, zaniedbać naukę języków obcych. Spóźniać się z regularnością szwajcarskiego zegarka.

Po upływie kwadransa lista jest gotowa. Kropotkin przypatruje się jej z rosnącą ufnością. Powinno się nie udać. Statystyka jest tym razem po jego stronie.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Postanowienia noworoczne](#), [statystyka](#), [ironia losu](#), [realizm magiczny](#)

119. [Ku pokrzepieniu serc.](#) [Niepamięć Narodowa.](#)

Styczeń 1, 2010

Mówienie źle o sobie nawzajem ma wśród naszych rodaków długą i starannie pielęgnowaną tradycję. W zasadzie o każdym można powiedzieć coś dobrego. Nawet o największej kanalii. Nieprawdaż? Ale czy trzeba? Sprawy zaczynają się jednak naprawdę komplikować, gdy rodak zasługuje na to aby mówić o nim dużo, głośno a przede wszystkim dobrze. Wtedy jest kłopot.

Będzie o jednym z wielkich narodowych nieobecnych. Nieobecnych w pamięci ogółu, nieobecnych w panteonie wybitnych rodaków, panteonie z którego zasobów tak chętnie czerpiemy obfitymi garściami gdy przychodzi stawiać pomniki, nazywać uczelnie, żłobki, place i ulice. Mamy wprowadzić Instytut Pamięci Narodowej, ten jednak – zajęty w

ramach wymierzania sprawiedliwości dziejowej priorytetowym ustalaniem szczegółów życiorysu szwagra drugorzędnego szpicla w mieście niegdyś powiatowej w celu zbadania zgodności plotek z kwitami – nie ma czasu na duperele. Spróbujmy zatem pomóc.

Po przestudiowaniu kilku znanych obcojęzycznych encyklopedii i leksykonów można doznać pewnego zdziwienia. Zdaniem Anglików, Niemców, Francuzów – ba nawet Czechów, Słowaków i Rosjan, był nasz krajan geniuszem. Wielka Encyklopedia PWN jest o wiele skromniejsza zadowalając się skąpą wzmianką. Jeśli interesuje Cię czytelniku fascynujący życiorys jednego z najbardziej cenionych na świecie polskich uczonych, mogę Ci polecić jedną z rozlicznych monografii poświęconych jego życiu i dorobkowi. Jest ich multum, wciąż ukazują się nowe. Jeśli znasz języki obce, z pewnością nie będziesz miał trudności z zapoznaniem się zarówno z

biografią jak i osiągnięciami naszego rodaka. Jeśli nie – raczej marny Twój los.

Anglicy na przykład piszą o nim tak:

His work had a major impact on 20th century linguistic theory, and it served as a foundation for several schools of phonology. He was an early champion of synchronic linguistics, the study of contemporary spoken languages, which he developed contemporaneously with the structuralist linguistic theory of Swiss linguist Ferdinand de Saussure. Among the most notable of his achievements is the distinction between statics and dynamics of languages and between a language, that is, an abstract group of elements, and speech (its implementation by individuals). Together with his students (...), he also shaped the modern usage of the term phoneme, which had been coined in 1873 by the French linguist A. Dufriche-Desgenettes.

Wiadomo o kogo chodzi, prawda? Nie? No to

czytajmy dalej:

Three major schools of 20th century phonology arose directly from his distinction between physiophonetic (phonological) and psychophonetic (morphophonological) alternations: the Leningrad School of Phonology, the Moscow School of Phonology, and the Prague School of Phonology. All three schools developed different positions on the nature of (his) alternational dichotomy. The Prague School was the best known outside of the field of Slavic linguistics. Throughout his life he published hundreds of scientific works in Polish, Russian, Czech, Slovenian, Italian, French and German

No, teraz nie powinno być już chyba większych trudności.

Był patriotą. Był (naprawdę) wybitnym uczonym. Był ofiarą prześladowań carskiej Ochrony. Genialnym publicystą. Najbardziej znaczącym organizatorem nauki polskiej w

trudnych czasach tworzenia zrębów polskiej państwowości. Był ponadto – jakby na to nie patrzeć – jednym z najbardziej cenionych polityków pierwszej dekady II Rzeczypospolitej. Twierdzenie, że zupełnie nie doceniamy naszego rodaka byłoby jednak sporą przesadą. Jego imieniem został w końcu nazwany ślepy zaułek na przedmieściach Wrocławia i przesmyk pomiędzy koszmarnym blokowiskiem i garażami w Ząbkowicach Śląskich.

Przyczyn takiego, nie zaś innego stanu rzeczy można się jedynie domyślać. Na przykład zapoznając się z odpowiednim [hasłem](#) w polskiej wersji Wikipedii.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [dobrze o ludziach](#), [Jan Baudouin de Courtenay](#), [Pamięć Narodowa](#), [Priorytety](#)

120. Za co ojczyzna powinna kochać Polaka?

Styczeń 6, 2010

Pewne pytania warto postawić mimo wszystko. Nawet, gdy z pozoru wydają się absurdalne. A w zasadzie – dokładnie dlatego. A więc za co? Dobry, łagodny charakter? Wyrafinowany zmysł estetyczny? Szacunek do bliźnich? Sławetną na cały świat uczciwość? Pęd do wiedzy? Bezinteresowność? Ponadprzeciętną wrażliwość? Krytyczny stosunek do samego siebie? Nie rańmy się niepotrzebnie i lepiej nie wymieniamy dalej. Prawda jest bezwzględna, warto jednak spojrzeć jej prosto w oczy: ojczyzna Polaka nie kocha. Od stuleci kopie go w tyłek, zsyła jedną plagę za drugą, podśmiechując się przy tym cicho i szydąc. Polak zdaje się tego nie zauważać i kocha ojczyznę miłością tak głęboką jak nieodwzajemnioną, obwiniając za swe

nieszczęścia wszystkich i wszystko, a najchętniej rodzinę, sąsiadów bliższych i dalszych oraz (ewentualnie) mniejszości etniczne. Obcych, którzy mu źle życzą, prawdopodobnie zazdroszczą i chyba na pewno nie lubią. Już w pierwszej czytance można o tym przeczytać, dalsze lektury szkolne tylko pogłębiają pierwsze wrażenie. Po przebyciu młodzieńczej choroby romantycznej (na którą obecnie prawie nikt już nie umiera), Polak przeciera oczy i popada w mistycyzm, przedsiębiorczość lub alkoholizm. Innej drogi nie ma. Chyba, że uwzględnimy seminarium duchowne. Ale to się ze zrozumiałych względów nie liczy.

Najwyższy czas, aby wreszcie coś z tym zrobić. Są rodzaje normalności na które można, ale niekoniecznie trzeba się godzić.

(Autor nieznany)

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Pytania](#)

[zasadnicze, znalezione w bagażniku](#)

121. [Krzepiąca myśl](#)

Styczeń 8, 2010

Seth Godin, formułując swe nader powabne [ogólne prawo ewolucji mediów](#), idzie na skróty przez trawnik. Ale dochodzi do ciekawych wniosków. Sprawa wygląda według niego (w przybliżeniu) mniej więcej tak:

1. Technicy wymyślają i uruchamiają.
2. Technicy obdarzeni zmysłem estetycznym doskonałą, podnosząc przy tym poziom.
3. Artyści przejmują medium od techników.
4. Księgowi przejmują od artystów
5. Biurokraci zajeżdżają medium na śmierć, łądując ostatecznie w (nudnym) banale.

Godin nie widzi możliwości wyrwania się z tego zaklętego kręgu. Widzi ten schemat w przeszłości (malarstwo olejne), terażniejszości

(telewizja) i jest przekonany, że los ten oczekuje również to, co dobre w sieci.

Kropotkin nie podziela poglądu Godina. Zarówno plotka jak i pomówienie od tysięcy lat znajdują się od początku w ręku artystów gatunku. I nic na to nie wskazuje, aby coś się miało pod tym względem zmienić. Jest to krzepiąca myśl – myśli – chyba, że uznamy iż jest to wyjątek potwierdzający regułę.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty, brudnopis](#)

·Tagi: [Kropotkin](#), [Godin](#), [ewolucja mediów](#), [pomówienie](#), [plotka](#)

122. [Artystom wolno więcej](#)

Styczeń 14, 2010

Szlachectwo zobowiązuje. Muzyka łagodzi obyczaje. Powtarzane do znudzenia komunały zapraszają do postawienia znaku zapytania.

Dzisiaj: **Il principe Carlo Gesualdo di Venosa.**

Genialny był ten Gesualdo. Naprawdę genialny. Będąc (prawdziwym) księciem, był również jak najbardziej prawdziwym artystą. Pod każdym względem. Próby zrobienia z niego jedynie uzdolnionego dyletanta skazane są na niepowodzenie. Kompozytorem się bywa, artystą trzeba się urodzić. Wyprzedził swój czas o wieki. Gesualdo pozostawił potomności (obok garści muzyki sakralnej) sześć zbiorów madrygałów niepodobnych do niczego co powstawało w jego czasach. To, co wyprawiał z polifonią, budziło i budzi nadal zdumienie. Jego sposób stosowania chromatyki pojawi się w zasadzie dopiero trzy wieki później i przyniesie chwałę Wagnerowi. Strawiński był nim zafascynowany. Britten go uwielbiał.

Jego ciekawe nad wyraz życie inspirowało innych przez stulecia, Tasso zaczął, Schnittke skończył. Znakomita biografia pióra [Glena](#)

[Watkinsa](#) nie jest jednak w Polsce zbyt szeroko znana. Wynika to z indolencji polskich wydawców. Gdyby ktoś im powiedział, że Carlo Gesualdo łączy w jednym życiorysie interesujące szeroki ogół dokonania Romana Polańskiego z dorobkiem Charlesa Mansona, pozycja zdołałaby wystawy rodzimych księgarń. Nie zdoła. Spróbujmy zatem zamknąć tę dotkliwą lukę, ograniczając się do ważniejszych (z punktu widzenia prasy brukowej) faktów.

Carlo Gesualdo urodził się w 1566 roku, tron książęcy objął w wieku lat dwudziestu. W zasadzie nie był splendorami specjalnie zainteresowany, tak się jednak jakoś złożyło. Objęcie ważnego stanowiska położyło kres słodkiej i upojnej młodości, która upływała mu na grze na lutni, rozmowach o sztuce, komponowaniu i uprawianiu seksu z kolegą kompozytorem o zabawnym imieniu Pomponio Nenna, jak również mniej znanym

młodzieńcem, niejaki Giovanni Macque. Trzeba się było wziąć do pracy, ta jednak, jak wiadomo, nie zawsze sprawia jedynie przyjemność. Pierwszym obowiązkiem księcia jest podtrzymanie rodu, w tym celu został ożeniony z **Marią d'Avalos**, kobietą o legendarnej urodzie i równie legendarnym apetycie seksualnym. Gesualdo był jej trzecim mężem, poprzednicy zmarli z wyczerpania. Piękna i łagodna Maria powiła wkrótce dziecko, córeczkę jak chcą jedni, chłopczyka jak twierdzą drudzy. Wkrótce zachodzi ponownie w ciążę, czuje się jednak zaniedbywana przez męża, który ma moc innych, nie cierpiących zwłoki i (łagodnie rzecz mówiąc) intensywnych zajęć. Maria popełnia błąd biorąc sobie kochanka, nie można jej wszakże zarzucić, że była mało wybredna. **Fabrizio Caraffa** jest nie tylko księciem, lecz również papieskim siostrzeńcem. To się liczy. Zycieliwi donoszą swemu panu co i jak, Gesualdo oświadcza

żonie (podstępnie), że udaje się na polowanie, ale się nie udaje, tylko chowa w pobliskich zaroślach. Po zapadnięciu zmroku wkracza (w towarzystwie uzbrojonych w różne ostre przedmioty sług) do swej sypialni. W łóżu leży piękna Maria, obok łóża stoi kołyska z niemowlakiem, sielankowy obraz zakłóca jedynie leżący na Marii Fabrizio Caraffa. To co się dzieje potem trudno nazwać działaniem w afekcie, Carlo G. był poinformowany o tym co może go czekać i miał w zasadzie czas aby sobie wszystko przemyśleć, a może nawet ochłonać. Książę własnoręcznie morduje kochanka pozbawionego nie tylko broni lecz także – co budzi zdziwienie współczesnych – odzianego w damską bieliznę. Następnie, na oczach żony kastruje zwłoki, pastwiąc się dość długo nad ciałem. Potem, kierując się podejrzeniem, że dziecko może być nieprawego łóża, postanawia zarznąć niemowlę. Biorąc pod uwagę nierówny stosunek sił (niemowlę jest

słabsze i nieuzbrojone) bez trudu udaje mu się zrealizować swój zamiar. Na koniec morduje niewierną żonę. Zostawszy potrójnym (a w zasadzie poczwórnym) mordercą, nakazuje wystawienie zmasakrowanych zwłok na widok publiczny, niech poddani się nie nudzą. Ponieważ jest księciem, są pewne problemy z postawieniem go przed sądem. To irytuje rodzinę Fabrizio Caraffy i postanawia ona, korzystając z przewagi liczebnej, wziąć sprawę w swoje ręce. Carlo G. opuszcza Venosę i udaje się do raczej niedostępnego zamku Gesualdo. Tam może się oddać w spokoju swym ulubionym zajęciom (głównie komponowaniu) do czasu, aż sprawa przycichnie. Wkrótce zresztą udaje się do Ferrary, gdzie pojmuje za żonę **Leonore d'Este**, odważna kobieta, jak by na to nie patrzeć. Małżonkowie doczekają się potomka, ten jednak umiera, a Gesualdo pogrąża się w głębokiej depresji. Zamknąwszy się ponownie w murach swego zamku, oddaje

się kompozycji dzieł sakralnych, modlitwie, a przede wszystkim umartwianiu powłoki cielesnej. Umartwianie powłoki polega na tym, że daje się codziennie wybatożyć do krwi przez nagiego młodzianka, dziecko prawie. Zatrudniał ich zresztą spore grono, na wypadek gdyby któryś zachorował albo się zmęczył. Sam też – jak głosi wieść gminna – rezygnuje podczas tych regularnych sesji z odzieży. Umiera z wycieńczenia w 1613 roku. Sacher-Masoch i markiz de Sade byli tylko epigonami. Tak po krótku brzmi historia Carla Gesualdo, księcia di Venosa, interesującego człowieka, szlachetnie urodzonego prekursora niekonwencjonalnych praktyk seksualnych z udziałem przemocy i nieletnich, wielokrotnego mordercy, pełnego skruchy grzesznika, a przede wszystkim genialnego artysty, którego utworami zachwycamy się po dzień dzisiejszy. Pojawiające się ostatnio pytanie, czy artystom wolno więcej, nie jest całkiem bezzasadne, nie

odzwierciedla jednak złożoności zagadnienia. Gesualdo wolno było więcej. Na zdrowie mu to nie wyszło.

—
Watkins postarza Gesualdo przenosząc jego urodziny na rok 1562. Jest to zabieg kontrowersyjny. Alfred Schnittke twierdził w jednym ze swych listów, że Watkinsowi nie we wszystkim można wierzyć.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Britten](#), [czy artystom wolno więcej](#), [Gesualdo](#), [Maria d'Avalos](#), [masochizm](#), [mord](#), [pedofilia](#), [sadyzm](#), [Schnittke](#), [Strawiński](#), [Tasso](#), [Wagner](#), [Watkins](#)

123. [Pana Hodgesa nie było w domu](#)

Styczeń 20, 2010

Domokrążca, mały czarniawy człowieczek w zatłuszczonych binoklach i wytartym

garniturze, nie zamierzał łatwo rezygnować.

- Do każdego odkurzacza – tu wskazał na stojący posłusznie obok nogawki spodni kulisty model Hoovera – dodajemy, naturalnie bezpłatnie, jeden egzemplarz Biblii. W twardej oprawie.

Ann Elisabeth była zmęczona i zirytowana. Natrętny sprzedawca zachwalał swój towar już od kwadransa. Jej wzrok powędrował nad głową komiwojażera i zatrzymał się na chwilę na martwym o tej porze dnia neonie samochodowego kina.

- Ponadto – dorzucił jakby mimochodem czarniawy – niektóre osoby, które odmówiły nabycia odkurzacza, spotkało krótko potem poważne nieszczęście.

Tego było już za dużo. Poczwała jak wzbiera w niej gniew.

- Wynocha – powiedziała krótko – wynoś się pan, bo zawołam policję.

- Może jednak skłonna byłaby pani

przemyśleć...

- Prędzej trafi mnie na miejscu meteoryt – krzyknęła – nim kupię pański zasrany odkurzacz.

Zatrasnęła z hukiem drzwi. Przez chwilę stała w przedsionku przysłuchując dobiegającemu z zewnątrz odgłosowi powoli oddalających się kroków.

- I dla takich pętaków – pomyślała wracając do pokoju i moszcząc się na sofie – człowiek przerywa popołudniową drzemkę.

Powoli uspokoiła się. Z głośników stojącego w pobliżu radia rozbrzmiewała cicha muzyka.

Wkrótce znów zmorzył ją sen.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [1954](#), [głupio wyszło](#), [Sylacauga](#)

124. Kara śmierci. Zadawalające rozwiązanie problemu.

Styczeń 29, 2010

Dialog pomiędzy zwolennikami oraz przeciwnikami kary śmierci rzadko polega na wymianie i ocenie argumentów i dlatego jest w zasadzie niemożliwy. Mimo to spór toczy się wartko od lat. Obie strony okopały się skutecznie i nic nie wskazuje na to, aby ta pozycyjna wojna miała się w najbliższym czasie zakończyć.

Przeciwnicy najwyższego wymiaru kary nie mają zamiaru wsłuchiwać się w atawistyczny bełkot entuzjastów archaicznych rozwiązań, wskazując na subtelny różnicę pomiędzy odwetem i karą. Jak również postęp cywilizacyjny, obowiązek poszanowania praw człowieka, możliwość sądowych pomyłek i statystyki dotyczące skuteczności sankcji – statystyki, z których nie da się wywieść

jednoznacznych wniosków.

Zwolennicy tzw. czapy nie chcą i nie mogą znieść naiwnego gładzenia humanistów przepelnionych miłością do człowieka jako takiego. Człowiek jako taki jest bytem abstrakcyjnym, strach przed czającym się za przymkniętymi drzwiami złem z cegłą w dłoni jest realny. Przywoływane są statystyki (z których nie da się wywieść jednoznacznych wniosków) jak również *thought-terminating cliché*, której istotą jest niewinne pytanie jaki wymiar kary proponowałby humanista dla osobnika który by zgwałcił, a potem bestialsko zamordował jego własną, humanistyczną żonę, córkę, mamusię, niepotrzebne skreślić.

Dygresja

Fakt, że wśród zwolenników religii, której fundamentem jest bezwarunkowa miłość bliźniego oraz idea przebaczenia zbłąkanym owieczkom popularność zabijania przestępcy w majestacie prawa jest zdecydowanie większa

niż wśród obrzydliwych i pozbawionych wartości ateistów, może dziwić. Podobnie jak dziwi skłonność tych ostatnich do posługiwania się cytatami z ewangelii w celu zapędzenia przeciwnika w kozi róg.

Józef K. wierzy głęboko, że znalazł sensowne i zadowalające rozwiązanie problemu. Pomysł polega na przeprowadzeniu ogólnonarodowego referendum, aktu, który objąłby wszystkich dorosłych rodaków. W zależności od poglądów uczestnicy zostaliby zarejestrowani jako zwolennicy lub przeciwnicy kary śmierci. Stosowano by ją w przyszłości jedynie w stosunku do tych, dla których ten rodzaj sankcji jest godzien akceptacji, sensowny i zadowalający.

Józef K. jest przekonany, że w ten sposób wilk byłby syty i owca cała. Tego przekonania nie wydają się podzielać ani wilk, ani owca, co napełnia Józefa K. nie tylko zdziwieniem, lecz również, w pewnym sensie, smutkiem.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Nocny lot](#), [brudnopis](#) · Tagi: [debaty](#), [Józef K.](#), [kara śmierci](#), [logika](#)

125. [Pustka](#)

Luty 5, 2010

P t t po cie lęd . y
dr k
o
st ca . h c
s e s
lżej
ję d wy wszyscy
y s e cji

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [Astapowo](#), [szarość](#), [biel](#), [zima](#)

126. [Nasz wielki wynalazca \(1\)](#)

Luty 8, 2010

Pewne daty są jednak ważne. Na przykład 28 stycznia 1807 roku. Tego dnia, po raz pierwszy na ulicy miasta zapłonęły gazowe latarnie. Było to w Londynie, ulica nazywała się Pall Mall. Gazowe oświetlenie było wynalazkiem epokowym. Ulice przestały być po zapadnięciu zmroku obszarem bezprawia. Oświetlenie gazowe zyskało natychmiast rozlicznych zwolenników, ba – żarliwych entuzjastów. Gazownie zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Pierwszy budynek użyteczności publicznej uzyskał nowoczesne oświetlenie gazowe 1 kwietnia 1814, dwa lata później Baltimore mogło się poszczycić latarniami zdobiącymi wszystkie ulice miasta. W 1823 roku większość brytyjskich miast posiadała zarówno gazownie, jak i jasno oświetlone

trotuary. Gdy w 1828 roku zapłonęły latarnie na ulicach Drezna, mieszkańcy Berlina i Hanoweru zdążyli się do nowego luksusu już przyzwyczaić. W latach 1832-1838 powstaje sieć połączeń zaopatrująca w gaz świetlny nie tylko wiedeńskie urzędy, pałace i banki, lecz również domy zwykłych obywateli. Każdy chce mieć w domu czysto i jasno. W połowie XIX-wieku już we wszystkich europejskich metropoliach (podkreślmy: metropoliach) jest jasno. Ale nie tylko w metropoliach, w znajdującej się nieopodal Drezna wsi Burg, gazowe lampy płoną od ponad dwudziestu lat. Ludzkość wchodzi w drugą połowę XIX wieku z uzasadnioną nadzieją na życie w coraz jaśniejszej rzeczywistości. Kopcące knoty świec, kaganków i lamp na olej odchodzą zasłużenie do lamusa. Zwycięski pochód (coraz bardziej doskonałego) oświetlenia gazowego zostanie jednak wkrótce zatrzymany. Zaczyna się rok 1853. W Stanach Zjednoczonych

Thomas Alva Edison rozpoczyna nauki szkolne, nikt nie podejrzewa, że już niedługo rozpocznie majstrować nad wynalazkiem, który nazwie żarówką.

31. lipca 1853 nasz wybitny rodak, **Jan Józef Ignacy Łukasiewicz** przedstawia swój epokowy wynalazek: lampę naftową.

Tego dnia (a w zasadzie wieczoru), w szpitalu pijarów na lwowskim Łyczakowie chirurg Zaorski zoperował wyrostek robaczkowy pacjentowi Choleckiemu. Nie wiadomo, czy pacjent przeżył. Wiadomo, że nowe oświetlenie przewyższało znacznie stosowane dotąd łojowe świece. Rozpoczęła się era oświetlenia naftowego. W Polsce.

—
cd nastąpił. W następnym wpisie.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [fakty](#), [Ignacy](#)

[Łukasiewicz](#), [innowacje](#), [kolejność](#), [legendy](#), [mity](#)

127. [Nasz wielki wynalazca \(2\)](#)

Luty 10, 2010

“31. lipca 1853 nasz wybitny rodak , Jan Józef Ignacy Łukasiewicz przedstawia swój epokowy wynalazek: lampę naftową.”

—
Ignacy Łukasiewicz nadaje się. Na jego przykładzie można prześledzić w jaki sposób powstaje zbiór mitów, przekłamań i uproszczeń zwanych też powabnie historią narodową.

Oficjalny kanon twierdzi że:

1. był on wynalazcą lampy naftowej
2. jako pierwszy otrzymał naftę drogą destylacji
3. był pionierem, a w zasadzie ojcem przemysłu naftowego

Tyle kanon. Uczono nas w szkole, „stoi” wielkimi wołami w encyklopedii, wizerunek zdobi okładkę zeszytu, pan z bródką spogląda spiszowym wzrokiem z cokołu. Więc coś w tym chyba musi być? Niekoniecznie.

Dygresja

Należałoby tutaj zaznaczyć, że Ignacy Łukasiewicz był postacią pozytywną. I w swoisty sposób wyjątkową. Żeby nie było zbyt wielu wątpliwości. Był świetnym organizatorem, filantropem, wizjonerem i rzutkim przedsiębiorcą. I jako taki zasługuje na pamięć. Tajemnicą pozostaje fakt, dlaczego w większości (samopowielających się) źródeł -poczynając od encyklopedii, a kończąc na podręcznikach szkolnych – autorzy upierają się, aby zrobić z niego koniecznie polskiego Edisona i Lavoisiera. Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

Koniec dygresji

Kto wynalazł lampę naftową?

Trudno powiedzieć. Łatwiej powiedzieć kto (jako pierwszy) nalał do niej nafty w Małopolsce. Historycy techniki (nie nasi, i chyba na pewno nie patrioci) są raczej zgodni co do tego, że [lampę](#) (do złudzenia przypominającą „wynalazek” Łukasiewicza) skonstruował w 1781 roku Szwajcar Aimé Argand. Ulepszając inne, uprzednio istniejące modele. Trudno mu odmówić pierwszeństwa: jego wynalazek [lampy na paliwo płynne](#) zawiera wszystkie cechy znanej nam lampy (pojemnik na paliwo płynne, okrągły knot przesuwany przy pomocy zębarki, palnik, kulisty, szklany klosz). Lampa [upowszechniła](#) się w nie tylko Europie, lecz również w nowym świecie na przełomie XVIII i XIX wieku. Nie będziemy nudzić szczegółami, łatwo znaleźć – jeśli się tylko wie czego się szuka. I chce znaleźć. Co zatem stało się w lipcu 1853 roku we Lwowie? Odpowiedź jest prosta. Niejaki

pan Łukasiewicz przedstawił światu lampę Arganda (zbudowaną przez trudniącego się wyrobem takowych lwowskiego blacharza Adama Bratkowskiego). W lampie paliła się nafta – produkt destylacyjnych eksperymentów farmaceuty [Jana Zeha](#). Zeh pracował nad procesem destylacyjnym 5 lat, w ostatnim półroczu asystował mu świeżo upieczony magister farmacji z talentem do autopromocji. Zdolny człowiek, ale żeby od razu wynalazca? Podobnych demonstracji dokonano wówczas wiele. Wystarczy np. zajrzeć do amerykańskiej encyklopedii pod hasło Robert E. Dietz. Albo zajrzeć do „Les Merveilles de la science – Description populaire des inventions modernes” Luisa Figuier (z 1860 roku) – tam się aż roi od nazwisk.

Legenda o Łukasiewiczu, wynalazcy lampy naftowej pojawiła się w prasie polskiej późno – w 1932.* Droga od hagiograficznej kaczki dziennikarskiej do haseł encyklopedycznych i

pierwszej czytanki była szybka i z górki.

Kto otrzymał jako pierwszy naftę drogą destylacji?

Też trudno orzec. Pierwsza opis rafinacji oleju skalnego pochodzi z IX wieku, autorem jest perski lekarz i chemik Abū Bakr Muhammad ibn Zakariyā Rāzī.

Otrzymały produkt nazwał „nafftah”, nazwa przywędrowała do Polski przez Turcję, dlatego jako jedni z nielicznych mamy u nas naftę, podczas gdy inni mówią kerosene, paraffine liquide lub petroleum. W czasach nowożytnych o palmę pierwszeństwa kłóć się Abraham Pinio Gesner (Kanadyjczyk) James Young (Szkot) i Samuel Martin Kier (Amerykanin). Jako surowca wyjściowego używali na przemian węgla i ropy. Problem polega na tym – że nie tylko używali, lecz również opatentowali proces destylacji nafty przed Łukasiewiczem. Który ze swej strony niczego nie opatentował, bo nie miał co opatentować. W

wiedeńskich archiwach znajdujemy natomiast patent** procesu destylacji na nazwisko [Jana Zeha](#). Udzielony na okres lat czterech. Zeh miał patentów więcej, jeden nawet na spółkę z Łukasiewiczem (dotyczący technologii produkcji świec parafinowych). Miał jednak pecha. Po śmierci żony popadł w depresję i nie interesował się więcej marketingiem. Został więc skutecznie zapomniany.

Kto był pionierem i twórcą światowego przemysłu naftowego?

Tutaj zaczynają się schody. Prac próbujących prostować kręte ścieżki wytyczone przez mitotwórców jest wiele. W zasadzie są też historykom znane. Na nic. Ojcem jest – bo ma być Łukasiewicz. Wywiercił pierwszy szyb naftowy – i się zaczęło. Wpierw Galicja, a potem cały świat. I nie jest zupełnie istotne, że przedtem od ponad półwiecza na tych samych terenach funkcjonował dynamiczny przemysł wydobywczy, że byli przedtem Jan Mittis i

Józef Hecker, szyby-studnie Eggera i Hoeffera, że ustawa regulująca zasady wydobywania ropy naftowej powstała w roku 1810. Jeśli fakty przeczą mitowi – tym gorzej dla faktów. Józef Hecker oświetlał w 1820 roku lampami napełnionymi własnym naftowym destylatem ulice w Drohobyczu. Może gdyby był polskim patriotą i katolikiem, a nie niemieckim, protestanckim fabrykantem z Pragi to miałyby u potomności jakieś (większe) szanse?

Reasumując: Ignacy Łukasiewicz, magister farmacji i przedsiębiorca z Gorlic zbił w XIX wieku mająteczek na ropy. Był człowiekiem przedsiębiorczym i światłym. Majątkiem podzielił się z bliźnimi, ufundował kilka szkół i dołożył grosza do budowy trzech gościńców. Powstańców styczniowych wspierał. Z żoną mu nie wyszło. Potomni (rodacy) dmuchali w niego jak balon w nadziei że uda się stworzyć narodową relikwię. Udało się.

Przygotowałem w zasadzie listę około 30 (przeważnie obcojęzycznych) linków mających “podeprzeć” powyższy wywód. Wobec odnalezienia krytycznych polskojęzycznych opracowań [tu](#) i [tu](#) - zrezygnowałem.

/reedycja, dodane 15.02.10/

** Po raz pierwszy opisał osiągnięcia Łukasiewicza jako pionera kopalnictwa i przeróbki ropy naftowej (w dzisiaj nam znanej i obowiązującej formie) niejaki J. Pfanhauser, chemik, dziennikarz i popularyzator rodzimej nauki, publikując w 1929 roku w czasopiśmie “Przemysł Chemiczny” artykuł pod tytułem “Kto podłożył podwaliny pod przemysł naftowy w Polsce”). To prawdopodobnie z tego artykułu czerpali swą wiedzę dziennikarze pisząc okolicznościowe artykuły w przededniu 60 rocznicy lwowskiego pokazu.*

*** Istnieją rozbieżne zdania, czy to co otrzymał zeh można nazwać patentem. Był to raczej rodzaj koncesji, zwany przez niektórych autorów “przywilejem”. Wątpliwości są zasadne, wiedeński Urząd Patentowy powstał w 1899 roku. Ropa na Podkarpaciu wyczerpała się (w zasadzie) w 1875.*

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [brudnopis](#) · Tagi: [stereotypy](#), [mity](#), [tworzenie historii](#), [brązownictwo](#), [Ignacy Łukasiewicz](#), [Jan Zeh](#), [pomyłka](#), [lampa naftowa](#)

128. Pozory idiotyzmu. Idiotyzm pozorny.

Luty 16, 2010

Nie, nie wszystko co z pozoru wydaje się idiotyzmem, musi nim również być. Czasem rzecz jest bardziej skomplikowana niż to się z początku wydaje.

Powtarzaną do znudzenia maksymę „czas to pieniądz” wypowiedział jako pierwszy (po angielsku) **Benjamin Franklin** w 1748 roku. Tak, tak, ten Benjamin Franklin. Nieważne z jakiej okazji i komu to powiedział, nie będziemy się rozdrabniać. Kto ma ochotę, niech sprawdzi. Efektowny komunał wczepił się zębami i pazurami w korę mózgową następnych pokoleń, podobno byli nawet tacy, którzy naiwnie sądzili, że to prawda.

Otóż nie. Powiedzmy sobie uczciwie: czas i pieniądz to zupełnie odmienne zjawiska. Przekona się o tym każdy, kto ufając obiegowej mądrości spróbuje używać ich zamiennie. Np.

oferując jako ekwiwalent zapłaty za dowolne dobra doczesne dowolną ilość czasu. Trywialne, ale przekonuje. Czasu nikt (jako środka płatniczego) nie chce. Z drugiej strony, za naiwne uznać należy próby przyjemnego spędzenia określonej kwoty. Wydać można. Spędzić nie. Nie da się i już. W sugestii, że powiedzenia nie należy brać dosłownie – chyba coś jest.

Gdy zeskrobiemy z komunału warstewkę sreberka, ukaże się jednak druga, o wiele bardziej interesująca warstwa. Zarówno w przypadku czasu jak i pieniądza istnieją (przynajmniej od momentu wymyślenia FIAT-money) poważne wątpliwości dotyczące ich rzeczywistego istnienia. Zdefiniować też trudno, powszechnie obowiązującej i jednoznacznej definicji pieniądza (wbrew pozorom) nie posiadamy. Z czasem jest raczej podobnie. Zarówno w jednym, jak i drugim przypadku, mimo sążnistych bibliotecznych

zwałów, nie rozumiemy istoty zjawiska. Nadal aktualna pozostaje bezradność wyrażona przez św. Augustyna w jego Confessiones: „*Czas, czym jest czas? Gdy mnie nikt nie pyta – wiem. Gdy próbuję wyjaśnić temu, który mnie pyta – nie wiem.*”

Kropotkin, wpadłszy w poważne tarapaty, odkrywa że brak pieniędzy nie przekłada się automatycznie na brak czasu. Wspominając miniony finansowy dobrobyt próbuje pożyczyć kilka spokojnych chwil od licznych niegdyś przyjaciół. Nie jest to proste, co utwierdza go w przekonaniu, że również powiedzenie „prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie” można o kant. Rozbić.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Z pamiętnika idioty](#), [brudnopis](#)

·Tagi: [Czas](#), [pieniądz](#), [bonmoty](#), [Benjamin Franklin](#), [św. Augustyn](#)

129. [Hagiografia: Św. Agata.](#) [Bezkompromisowość dziewicza](#)

Luty 18, 2010

Świętych Agat jest od groma. Przynajmniej dziewięć. Dzisiaj oryginał: Święta Agata z Katanii. Zwana też czasem Agatą Sycylijską. Rozpocząć należałoby od **Decjusza**. Był cesarzem – nader energicznym – przez dwa lata z kawałkiem. W 249 roku sięgnął po władzę w sposób zgodny z uświęconą tradycją, czyli mordując swego poprzednika i prosząc grzecznie senat o przyznanie mu wakującego stanowiska. Senat nie zwykł w takich przypadkach odmawiać i entuzjastycznie przyznał. Ponieważ cesarstwo rozłaziło się w szwach, nowo upieczony władca postanowił coś z tym zrobić. Pomysł polegał na wydaniu edyktu nakazującego wszystkim poddanym dostarczenie świadectwa lojalności poprzez złożenie ofiary jego autorowi. Ze stanowiskiem

cesarza związane były mianowicie dodatkowe przywileje i udogodnienia, jednym z nich był awans na boga. Niektórzy chrześcijanie mieli dylemat moralny ze względu na kategoryczny imperatyw zawarty w pierwszym przykazaniu. Większość nie miała – co później doprowadziło w gminach chrześcijańskich do pewnych niesnasek.

Legenda głosi (podczas gdy historia milczy) że Agata spodobała się namiestnikowi Sycylii, niejakiemu Kwincjuszowi (Quintianus) który, mimo że była chrześcijanką, postanowił jej się oświadczyć. Jak większość neofitów, Agata przejęła się nową religią do tego stopnia, że postanowiła żyć i umrzeć w dziewictwie. Kwincjusz, urażony w swej miłości własnej, jedynie częściowo wyszedł jej marzeniom na przeciw, a mianowicie ułatwiając jej zejście. Przedtem jednak rzucał jej kłody pod nogi, umieszczając ją (prawdopodobnie w celach dydaktycznych) w miejscowym burdelu,

zwanym też bardziej oględnie lupanarem. Legenda głosi dalej (i tu się robi niesamowicie), że po miesiącu spędzonym w przybytku płatnej miłości Agata nadal pozostawała dziewicą. Potomni słusznie uznali to za cud. Kwincjusz natomiast, nie tylko się zirytował, lecz wykorzystując edykt Decjusza wtrącił nieboraczkę (nadal dziewicę) do więzienia. Gdy i to nie pomogło, nakazał amputować jej obie piersi przy pomocy żelaznych szczypiec. Może to było bardzo bolesne i mało estetyczne, ale posłużyło wielu malarzom renesansu i baroku za źródło [inspiracji](#). Zwykli oni przedstawiać męczenniczkę zapiętą wysoko pod szyję, ale za to z tacą w ręku. Na tacy leżały piersi. Z konwencji wyłamał się później [Tiepolo](#), u niego tackę trzyma jakiś chłopczyk, z tego powodu obraz jest niestety mniej śmieszny.

Wtrąconej do lochu przybywa – zupełnie nieproszony – na ratunek duch św. Piotra i usiłuje posmarować rany jakimś mazidłem.

Agata grzecznie ale stanowczo odmawia. Było to postępowanie przewidujące, następnego dnia zostaje, na rozkaz Kwicjusza, upieczona żywcem. Egzekucja zostaje podobnież przerwana przez trzęsienie ziemi. Wbrew przysłowiu twierdzącemu że „co się odwlecze, to się nie upiecze” kaźń kontynuowano gdy tylko wstrząsy ustały.

Z jakiegoś niepojętego powodu, ludność Katanii uznała, że fakt ocalenia miasta w trakcie mającego miejsce rok później wybuchu Etny to zasługa męczenniczki. Kwincjusz już tego nie dożył, zmarł kopnięty przez własnego konia. Również Decjuszowi się nie poszczęściło, wybrał się na wyprawę przeciw Gotom i już z niej nie wrócił.

Wspomnienie liturgiczne Agaty, męczennicy w kościele katolickim obchodzone jest 5 lutego. Agata prawosławna obchodzona jest natomiast 18 lutego.

Jej atrybutem jest dom w płomieniach. Czasem

też misa z obciętymi piersiami. Jest patronką kominiarzy, ludwisarzy, odlewników i z niewyjaśnionych przyczyn – również pielęgniarek.

Modlitwa do św. Agaty pomaga w schorzeniach piersi i chroni przed piorunami w czasie burzy. Pogląd, jakoby w przypadku wybuchu pożaru, modły do św. Agaty należy poprzedzić zawiadomieniem straży pożarnej, zwykło się zaliczać do niebezpiecznych herezji.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Trivia](#), [brudnopis](#) · Tagi:

[Decjusz](#), [Etna](#), [Hagiografia](#), [pożar](#), [św. Agata](#)

130. [Encyklopedia rzeczy bezpowrotnie minionych \(1\)](#)

Luty 22, 2010

Zapach dworców, wiatr rozwiewający włosy
gdy wychylasz się z okna wagonu, pęd

ciepłego, pachnącego parą i sadzą powietrza.

Konduktor w tramwaju i autobusie. Czarna skórzana torba z mosiężnym zamkiem wisząca na umundurowanej szyi. Miejsce dla konduktora jako sacrum: nie wolno usiąść.

Budki telefoniczne, ciężka od ludzkich rozmów słuchawka o smaku metalu.

Tramwaje ze stopniami, na których można było stać w czasie jazdy fantazyjnie trzymając się mosiężnej poręczy ręką wolną od przyglądania fryzury.

Siatki na zakupy wypełnione dobrami budzącymi ogólne pożądanie.

Poczekalnie gabinetów lekarskich z masywnymi popielniczkami i trudną do przeoczenia emaliowaną spluwaczką w kącie. Zapach lizolu, jodyny i potu ludzi przestraszonych nieuniknionym.

Czarno białe zdjęcia zdobiące gablotkę miejscowego fotografa. Na fotografii

obowiązkowy pierwszy komuniant, w garniturku udającym dorosły i z obligatoryjną gromnicą w kurczowo zaciśniętej piąstce. Przegub zdobi (w sposób widoczny) pierwszy pękaty zegarek.

Odgłos kopyt końskich na bruku. Mleko jedzie.

Ulice miast wymarłe z okazji filmu fabularnego pokazywanego (raz na tydzień) w telewizji. Z każdego uchylonego okna dobiega ten sam odgłos.

Informacja o wysokości nakładu książki w stopce redakcyjnej.

Tęgie niewiasty opierające biust o parapet otwartego na oścież okna. Nic im nie umknie. Epoka przedtelewizyjna nakazuje zaspokoić ciekawość w sposób prosty lecz skuteczny.

Pocztówki dźwiękowe z motywami kwietnymi i nieodłącznym rżeniem i szumotrzaskiem.

Szatniarz jako zawód pozwalający na życie spokojne, ciekawe i dostatnie.

Herbata z fusami pita w biurach z wyszczerbionych i zawsze zbyt gorących szklanek.

Niedzielne rodzinne spacery po głównej ulicy miasta połączone z oglądaniem sklepowych wystaw. Nabożne skupienie oglądających pralkę, spłowiełe od słońca koperty płyt długogrających bądź odkurzacz.

Opublikował/a telemach

Zamieszczone w [Marginalia](#), [brudnopis](#) · Tagi: [Bezpowrotnie minione](#), [Pamięć](#)

131. [Długie pożegnania](#)

Marzec 4, 2010

Zima chyliła się ku schyłkowi gdy Bargeld, pozbawiony środków do życia i perspektyw na lepsze jutro, zdecydował się wreszcie wybrać rozwiązanie ostateczne. Napisał długi list z wyjaśnieniami, ale go podarł przypomniawszy

sobie, że wobec wszechogarniającego poczucia braku sensu, wyjaśnianie czegokolwiek podważyłoby jego wiarygodność.

Wiarygodność była dla Bargelda ważna. Dotychczas. W obecnej, nowej sytuacji – pewnie już nie. Przez chwilę poczuł coś na kształt żalu, ale na ponowne pisanie listu nie miał ochoty. Na zastanawianie się, czy brak ochoty jest wystarczającą wymówką – również nie. A poza tym tak czy owak zapomniał już co napisał.

Taki Gogol – pomyślał – to miał przynajmniej rękopis. Arcydzieło, które mógł przed zejściem spalić. Bargeld nie miał rękopisu. Maszynopisu, zresztą, również nie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie napisać jednak naprędce czegoś, co mógłby następnie zniszczyć, przypomniał sobie jednak, że maszynę do pisania zaniósł do lombardu, a kwit zastawny użył do zrobienia sobie skręta z resztek machorki znalezionej w kieszeni jesiennego palta.

Wieczorem widziano go jeszcze ponoć w „U Welfki“, a następnie (rzekomo) w drodze pędzącej w stronę Zarzecza. A potem jak kamień w wodę.

Opublikował/a telemach
Zamieszczone w [brudnopis](#)